

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻULAW • NR. 1 (39) • 2020





Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2020 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos Invest

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
DZIAŁ REGIONALNY
80-806 Gdańsk, ul. Targ Rakowy 5/6
☎ 58 301-48-11 w. 227, 237

PROWINCJA

KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 1 (39)

2020

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji
Piotr Napiwodzki
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy:

Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Bogumił Wiśniewski, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski

Projekt okładki: Mariusz Stawarski

Ilustracje na III i IV str. okładki: Prace plastyczne Martynty Baranowicz

Skład komputerowy i przygotowanie do druku:

KIMSO Marcin Żakiewicz

Druk: Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81-574 Gdynia

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Spółdzielni Socjalnej Fabryka Inicjatyw w Malborku, Sztumskiemu Centrum Kultury,
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim,
Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury – sklep Tabularium
Sztumskie Centrum Kultury
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy –
Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl
Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Trzydziesta dziewiąta „Prowincja”	5
Poezja	
Borys Bartfeld	6
Nina Jurewicz	9
Proza	
Krzysztof Bochus – Boski znak	11
Tomasz Wandzel – Chłopiec z Kresów	16
Piotr Napiwodzki – Wilhelm z Modeny w podróży, część 8	21
Esej	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	26
Andrzej Kasperk – Wincentego Pola relacja z podróży po Żuławach.....	32
Wspomnienia katyńskie	
Nie wolno uczestniczyć w kłamstwie – z profesorem Marianem Szarmachem rozmawia Adam Langowski	38
Spojrzyć w twarz Katyniowi – z Elżbietą Rozkwitalską rozmawia Adam Langowski	45
Dziadek nigdy nie poznał najmłodszej córki – z Wandą Makarą rozmawia Julia Kaczmarczyk	51
Leszek Sarnowski – Ze szkoły do katyńskiego lasu.....	56
Wędrowki po prowincji	
Izabella Nierojewska-Driemel – Wiatraki moich marzeń.....	63
Mariusz Wiśniewski – Żywy skansen architektury drewnianej w Żuławkach i Drewnicy	77
Wiesław Olszewski – Ceglana zagroda	83
Krystyna Błaszczuk-Ryszkowska – Zaczęło się od komisji opieki nad książkami.....	86
Alicja Łukawska – Z „Córka organisty” w Markusach	94
Stanisława Wojciechowska-Soja – Homo viator utrudzony i radosny wędrowiec.....	101

Na tropach historii

- Grażyna Nawrońska – Odkrywanie Prabut 114
Bogumił Wiśniewski – Fresk z kwidzyńskiej katedry 124
Łukasz Rzepczyński – Dąb Cesarza. Przyczynek do dziejów
Placu Plebiscytowego w Kwidzynie 131

Rozmowy

- Miłość od pierwszego dźwięku – z Kacprem Smolińskim,
muzykiem grającym na harmonijce chromatycznej, rozmawia Waław Bielecki .. 138
W literaturze zawsze i wszystko jest możliwe – z Marcelem Woźniakiem,
pisarzem, rozmawia Adam Kamiński..... 143
Z nożem na Latarni – z Lechem M. Jakóbcem – pisarzem, redaktorem
portalu: pomorski magazyn literacko-artystyczny
„Latarnia Morska”, rozmawia Artur D. Liskowacki 149

Prowincje bliskie i dalekie

- Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (10) 153
Paweł Zbierski – Dziennik kataloński (7) 163

Muzyka

- Waław Bielecki – Zapiski melomana 171

Magiczna prowincja

- Michał Majewski – Rodowo wioska sztuk i cudów..... 185

Galeria Prowincji

- Michał Laskowski – Martyny Baranowicz
„włamanie się do struktury widzialnego” 192

Okiem fotosnajpera

- Piotr Opacian – Żurawie 194

Recenzje

- Andrzej Kasperk – Świadectwo urodzenia..... 199
Janusz Ryszkowski – Lektury na czas epidemii 201

- Noty o autorach**..... 206

TRZYDZIESTA DZIEWIĄTA „PROWINCJA”

Rozpoczynamy dziesiąty rok naszego istnienia i kolejnym numerem naszego kwartalnika kładziemy się naszym Czytelnikom. Ostatnie tygodnie przyniosły nam trudny czas nieprzewidywalnej epidemii, czas kwarantanny, życia w odosobnieniu. Radzimy sobie jak potrafimy, także z naszą wspólnotą. Przyłączamy się do apeli o zostanie w domach, ale staramy się być razem wirtualnie, a nawet realnie, choćby muzykując wspólnie na balkonach, wspierając służbę zdrowia, pomagając osobom starszym robić zakupy, szyjąc w domowych zaciszach ochronne maseczki, dbając o rodzinę, a nade wszystko czytając. I po to jesteśmy między innymi my. Na czas „zarazy” nie wyimkamy i przygotowaliśmy dla Państwa kolejny numer kwartalnika, choć nie wiemy, kiedy będziemy mogli się zobaczyć na bezcennych dla nas spotkaniach promocyjnych.

W poezji postawiliśmy na młodość i doświadczenie, a także przekraczanie granic. Prezentujemy z jednej strony wiersze Borysa Barfelda, uznanego rosyjskiego poety z Kaliningradu, a z drugiej strony poetyckie próby niedawnej licealistki z Malborka, Niny Jurewicz. Proza to fragment najnowszego kryminału „Boski znak”, pochodzącego z Kwidzyna, Krzysztofa Bochusa oraz najnowsza powieść „Chłopiec z Kresów” Tomka Wandzla z Prabut i ostatnia część przygód „Wilhelma z Modeny” autorstwa Piotra Napiwodzkiego z Koślinki.

Profesor Andrzej C. Leszczyński tym razem o osamotnieniu, wstydzie, resentymentach i pograniczu, a Andrzej Kasperek ogląda Żuławy oczami Wincentego Pola.

Wspomnienia katyńskie to nasz, nie tylko rocznicowy, obowiązek pamięci. Stąd rodzinne opowieści o Stanisławie Szarmachu, Janie Skóreckim, Feliksie Pogorzelskim i Zdzisławie Gierlińskim.

W żuławskiej części wędrówek po prowincji Izabella Nierojewska-Driemel opisuje swoje doświadczenia „walki z wiatrakami”, dosłownie i w przenośni. Mariusz Wiśniewski prezentuje projekt żywego skansenu architektury drewnianej w Żuławkach i Drewnicy, a Wiesław Olszewski opowiada o ceglanej zagrodzie w Powałinie.

O początkach (a także nowym obliczu) biblioteki w Sztumie opowiada Krystyna Błaszczuk-Ryskowska, Stanisława Wojciechowska-Soja kreśli sylwetkę emigranta z Kociewia, a Alicja Łukawska opowiada o wyjątkowej recepcji swojej książki „Córka organisty” w gminie Markusy.

Grażyna Nawrońska opisuje swoje archeologiczne odkrywanie Prabut, Bogumił Wiśniewski zaprasza do kwidzyńskiej katedry, a Łukasz Rzepczyński kreśli dzieje cesarskiego dębu z Kwidzyna.

Wacław Bielecki rozmawia z muzykiem ze Sztumu Kacprem Smolińskim, o jego ostatnich koncertach między innymi z Agnieszką Duczmal. Marcel Woźniak, pochodzący z Kwidzyna pisarz, opowiada Adamowi Kamińskiemu, że w literaturze wszystko jest możliwe, a Artur D. Liskowacki w rozmowie z Lechem M. Jakóbbem, redaktorem naczelnym portalu literackiego „Latarnia Morska” z Kołobrzegu, przybliży naszym Czytelnikom to ważne pomorskie pismo.

Kolejne refleksje z prowincji dalszych i pogranicza przesyłają nam Krzysztof Czyżewski z Sejn i Paweł Zbiński z Katalonii.

Michał Majewski tym razem fotografuje magiczne Rodowo, a Piotr Opacian, fotosnajpera podgląda żurawie.

W „Galerii Prowincji” prezentujemy młodą artystkę, absolwentkę gdańskiej ASP, pochodzącą z Barcic Martynę Baranowicz, a na okładce, jak zwykle, króluje Mariusz Stawarski.

Przetrywajmy ten trudny czas razem i nie dajmy się wirusowi. Zostańmy w domu, jak długo będzie trzeba, i budujmy swoją siłę. Zapraszamy do lektury.

Redakcja „Prowincji”

Borys Bartfeld

Przekład Krzysztof D. Szatrawski

MINKOWSKIEGO CZAS POZORNY

Na Wilno mknąc drogą szybkiego ruchu,
Coraz większego nabierając pędu,
Autobus pożądliwie pochłania
Dostępną mu euklidesową przestrzeń,
Nie przekraczając granic realnego czasu,
Łukiem omija Kaunas z północy.

Gdzieś tutaj w cichym podmiejskim Aksonie
W przypadkowym pęknięciu nieprzerwanie płynącego czasu,
Jakie się zdarzyło między Litwą i Rosyjskim Imperium,
Chłopiec rezolutny przyszedł na świat w rodzinie litewskiego Żyda,
Handlującego, jak dozwolono w strefie osiedlenia
Bakaliami i wszelką drobnicą
W czasach pierwotnej akumulacji kapitału,
Którego nie zdobył przez nieporozumienie,
Mimo wielkiej cierpliwości i ślepego posłuszeństwa
Kanonom wiary oraz naukom miejscowego rebe.

Z Litwy do Prus Wschodnich, osiem lat później
Wyjechała rodzina zmieniając rosyjskie
Obywatelstwo na niemieckie, do Königsberga –
Praojczyzny cywilizacji fizyków,
Którzy w XX wieku odnieśli pyrrusowe zwycięstwo
Nad filozofami i wszelkimi innymi lirykami.

Gimnazjum Altstadt jak puszkę sardynek
Nabita przyszłymi genialnymi fizykami
I dowódcami, którzy przynieśli nieszczęście wiedzy
I rozkazy uszczęśliwionym żołnierzom,
Wyzwalające ich ze współczucia i winy
Za rozgrzeszony z góry gwałt.

Okulary ograniczają swobodę planów na przyszłość
Nie mniej, niż piąta pozycja w ankiecie,
Której jeszcze nie umieszczono, ale już efektywnie działa.
Okularnik dokonał wyboru. O świecie żywota Grand Prix

Akademii Paryskiej w dziedzinie teorii liczb
Za twierdzenie o reprezentacji dowolnej liczby
W postaci sumy kwadratów pięciu liczb naturalnych.
Zadanie w takim stopniu trudne, w jakim i abstrakcyjne,
Ani szczególnego pożytku z niego nie ma,
Ani wielkiego bogactwa, niespodziewana
Sława zwała się na kruche plecy studenta,
Który stał się geniuszem, nim stał się pełnoletni.

Minkowski kroczy korytarzem Albertyny
Naprzeciw drugiemu matematycznemu geniuszowi,
Potwierdzającemu swą aksjomatyką
Dobrze nam znaną geometrię Euklidesa,
By później w zamian zaproponować światu
Wielowymiarową przestrzeń Hilberta.

Konne przejażdżki w Rauschen
Do ulubionej jabłoni, powozem nad morze
Trzy godziny podróży mijały
Na rozmowach o cudach
Matematycznych tożsamości i niezwykle skomplikowanych
Orzeczeniach logicznych o kompletności niemożliwego
Zamkniętego systemu twierdzeń niesprzecznych, na Boga!
Nie ma w tym sprzeczności z zamkniętym
Boskim porządkiem świata... a także nieba.

A później Bonn, matematyczna samotnia,
Jak Eskimos na ogromnym lodowcu,
Oderwany od bliskich sercu brzegów,
Pozbawiony możliwości mówienia
W matematycznym języku swego plemienia.
I koresponduje z Królewcem jak polarnik,
Cierpiący i nieszczęśliwy
Z nadzieją na ocalenie.

Tymczasem stary Hertz, który nie dożyje
Trzydziestu ośmiu lat,
Zabawia Hermanna elektrodynamiką
Ruchomych układów
Jak i falami elektromagnetycznymi
Które odkrył w małym Bonn,
I w każdy czwartek zaprasza
Młodego profesora na domowy obiad.

A potem rodzinny Królewiec,
Nie na długo, na rok zaledwie.
Hilberta wezwano do Getyngi,
A Minkowskiego do Zurychu... nieważne,
Że niejaki Albert Einstein
nie był błyskotliwym studentem?
Ziarno zostało zasiane pomyslnie,
I berneński urzędnik miał kiedyś zepchnąć
Newtonowską konstrukcję świata
Z piedestału trzech setek lat
W relatywistyczną przepaść poznania.
Wszak ograniczone w swej prędkości światło
Przemierza pustkę podświadomości.

Ale zamysł był radykalny
Rozerwać trzy wymiary istnienia,
Przebiwszy hiperprzestrzeń osi urojonego czasu
I odrodzić jej symetrię.
Wszystko pięknie się układało,
Równanie Maxwella było niezienne.
Tylko upływ czasu pozostał nieodwracalny.

Bóg się przestraszył,
Oto zostało ledwie mgnienie
Do wyprowadzenia głównej tajemnicy
Algorytmu boskiego aktu stworzenia
Z funkcji gęstości boskiego istnienia
Zwykłego układu naszego ziemskiego żywota.

I gestem chirurga, rutynowo
Wycinającego wyrostek,
Bóg obrzezał skalpelem
Śpiewającą nić, genialnie napiętą
Od Litwy przez Królewiec,
Do Getyngi i z powrotem
Nadaremnie.
W styczniu nie było mu dane dokończyć
Ogólnej teorii zwyczajnego ludzkiego szczęścia.

Nina Jurewicz

O MÓJ SPOKOJU

w moim pokoju
wodne grochy dudnią o okna dachowe
gorliwie bębnią wałą i biją
obłe ładunki z mętnej deszczówki
potłukły wszystkie lustra
tak nieznośnie w rytmie twoich ulubionych utworów

w moim pokoju
okno rozbił grad
szkło jest wbite w puszysty dywan
burzową nocą się mienią odłamki
sennym błękitem twoich oczu

w moim pokoju
brudnymi liśćmi wiatr łóżko wyłożył
biała pościel w niej piach
zatechła woń wilgoci zdusiła twój zapach

w moim pokoju
z barwy grafitu na ścianach
wyleciał ptak chorobliwie przemoczony
wyrwał z zegarów wskazówki
by wpleść je w nieswoje gniazdo

o mój spokoju
jak mam wytłumaczyć
że szkło mi w dywan wlazło
i że nie będę na czas

ZAMIAST MANDATU

chciałabym w ruchach mieć tyle gracji
takiej co starsze panie przepelnia
kiedy je w miejskiej komunikacji
zakręty zmuszają do tańczenia

i umieć się tak na spokoju skupić
niczym postawne pasażerów szkie
co zwykły konsekwentną dłonią dusić
chyboczące się w rzędzie szubienice

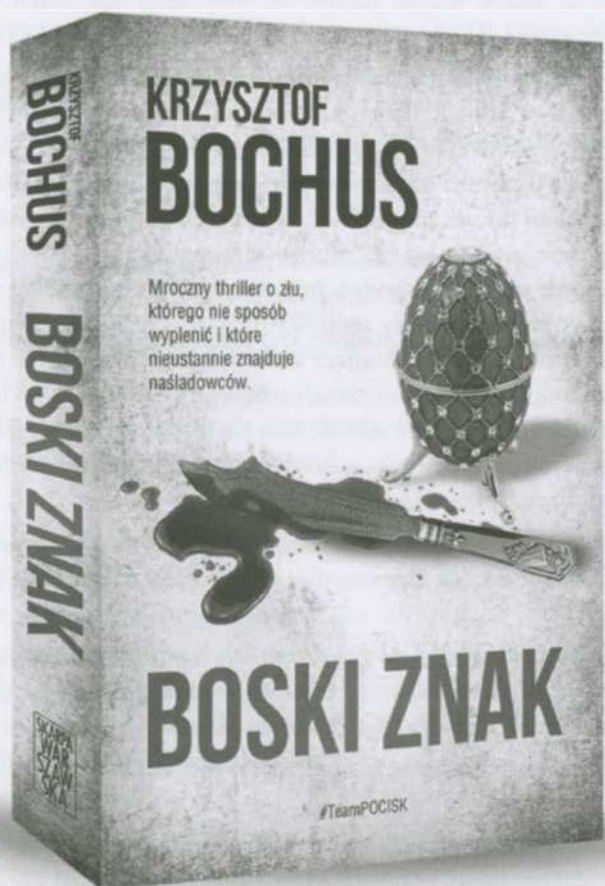
NIEISTOTNE

obudziłam się siedząc w samolocie
obok ptaka stojącego na środku pasa startowego
chciałabym napisać
że odlatywałam obserwując zachód słońca przede mną
ale słońce ziewało za moimi plecami
z zamkniętymi oczami
zanudzone lirycznymi tematami
a ptak stał, trwał
i odleciał niewzruszenie

bycie autorytetem nic dla niego nie znaczyło

Krzysztof Bochus

BOSKI ZNAK¹



¹ Fragment najnowszej powieści Krzysztofa Bochusa, która ukazała się 11.03.2020 r. nakładem Wydawnictwa Skarpa Warszawska. To kontynuacja bestsellerowej powieści „Lista Lucyfera” wydanej w ubiegłym roku.

Gdy w południe Berg dotarł na via Nicola Botta, uliczka była dziwnie opustoszała. Skwar wypłoszył nawet największych entuzjastów sycylijskich zabytków. Ze ściśniętym sercem zapukał w drzwi. Odczekał kilka sekund i ponowił próbę. Tym razem odpowiedział mu lekki szmer po drugiej stronie. Z ulgą usłyszał skrzypnięcie starych drzwi. A więc jednak!

Nie mógł wiedzieć, że ktoś obserwuje tę scenę. Rosły mężczyzna siedzący na schodkach kościółka bacznie śledził jego poczynania. Przypominał jednego z turystów, znużonych słońcem i bieganiną po ciasnych uliczkach Cefalù. Podniósł komórkę i zrobił kilka zdjęć via Nicola Botti.

Maria Teresa stanęła w progu. Dopiero w pełnym słońcu Berg zauważył, jak rasową ma twarz. Musiała być niegdyś piękną kobietą. Prosty nos jak z greckiej monety, wystające kości policzkowe i porcelanowa skóra o bladym zabarwieniu. Pani Carozza nie lubiła słońca. A Eugen Schurrlle musiał kochać piękno we wszystkich postaciach. Dystyngowanym ruchem zaprosiła go do środka.

Dom był duży i wysmakowany. Wąski korytarz obwieszony marynistycznymi olejami prowadził do obszernego salonu. Berg stanął olśniony w jego progu. Pomieszczenie wypełnione od podłogi po drewnianą powałę dziełami sztuki przypominało małe muzeum. Wrażenie to potęgowały ciemne gabloty wypełnione białą bronią: szablami janczarskimi, muszkietami, jataganami wysadzanych drogimi kamieniami i pistoletami inkrustowanymi srebrem. W rogu pokoju stała grupa marmurowych posągów zrudziałych od upływu czasu. Po przeciwległej stronie przyciągała wzrok stojąca na podeście oryginalna husarska zbroja, z lamparcią skórą i skrzydłami chwały spod Wiednia czy Chocimia. Terakotę na podłodze pokrywały miękkie perskie dywany tłumiące kroki Adama. Grube kamienne mury pokryte były zachwycającymi tapiseriami z powtarzającym się motywem Ledy i łabędzia. Najpiękniejsza tkanina wisząca w salonie nie odwoływała się jednak do mitologii greckiej. Utkany ze złocistych i brązowych nici niewielki gobelin ukazywał romantyczny zamek na tle pąsowego nieba. Berg dobrze znał tę budowlę.

— To pamiątka, tkanina pochodząca z Czochoy. — Maria Teresa stanęła obok niego. — Eugen nawet w Cefalù nie mógł zapomnieć o tym miejscu. Tylko tam czuł się naprawdę szczęśliwy...

Zauważył, że powiedziała to już po raz drugi. Jak bardzo nieszczęśliwy musiał się czuć Schurrlle w tym domu? Z dała od górzystej krainy śniegu. Kraju jego młodości? Usiedli przy małym stoliku. Staruszka rozlała smolistą kawę do filiżanek.

— Bardzo dziękuję, pani Carozza, że zgodziła się pani mnie przyjąć — powiedział Berg i skłonił głowę.

— Uznałam, że i tak nie da mi pan spokoju. Poza tym jest pan Polakiem. A Eugen miał wobec pańskich rodaków jakieś poczucie winy. Pamiętam, jaki był podekscytowany, gdy wybrano na papieża waszego Wojtyłę. Krzychał, że to znak czasów, dowód na ostateczne pojednanie między Niemcami i Polakami. Wie pan, że o wyborze Jana Pawła II przesądziły głosy niemieckich kardynałów?

— Wiem, pani Carozza, ale do prawdziwego pojednania jeszcze daleka droga.

— Tak, ma pan rację. — Pokiwała głową. — Za dużo krwi przelano...

— Nie tylko o to chodzi. Wie pani, płynie we mnie ćwiartka niemieckiej krwi. Mój dziadek był Niemcem, policjantem w Wolnym Mieście Gdańsku. Przetrwiała o nim pamięć jako o odważnym i dobrym człowieku. Nie mam więc żadnych uprzedzeń. Prawdziwe pojednanie wymaga jakiejś elementarnej sprawiedliwości. Mój kraj został przez nazistów zniszczony tak doszczętnie, że ludzie we Włoszech nie są w stanie sobie tego nawet wyobrazić. Kwestia rewindykacji zrabowanych w czasie wojny dzieł sztuki należy do tego niezapłaconego rachunku. Dlatego poszukuję skarbów z zamku Czocho. Nie dla siebie, to ma być rodzaj rekompensaty za straty, jakie ponieśliśmy w czasie wojny. Tym właśnie różnię się od ludzi, którzy odwiedzili pani męża przed jego tragiczną śmiercią...

— Dlaczego tragiczną? — Utkwiła w nim gorejące spojrzenie.

— Wspomniałem pani, że Roden to niebezpieczny typ. Złodziej i morderca w jedwabnych rękawiczkach. Zastanowiło mnie, że tuż po jego wizycie pani mąż zmarł. Poprosiłem znajomego z tutejszej policji o pomoc w tej sprawie. Dzisiaj rano odebrałem od niego telefon. Odnalazł dla mnie akt zgonu i porozmawiał z lekarzem, który go sporządził. To doktor Leone z Palermo.

— Nie pamiętam tego lekarza... A w akcie zgonu była mowa tylko o prawdopodobnym zatrzymaniu akcji serca.

— Podobno nie zgodziła się pani na sekcję zwłok.

— Miałam się zgodzić, aby go kroili? Czy to zwróciłoby mi Eugena? Poza tym byłam wtedy w szoku, nie chciałam nikogo widzieć. W jakimś sensie umarłam tego dnia wraz z Eugenem...

— Czy tuż przed śmiercią męża zauważyła pani jakieś niepokojące objawy?

— Co pan ma na myśli?

— Na przykład postępujące osłabienie organizmu, wypadanie włosów, paznokci, owrzodzenia na skórze, niestrawność czy brak apetytu?

Miał wrażenie, że Carozza nagle się skurczyła i zapadła w fotelu.

— To prawda — powiedziała po dłuższej chwili. — Pojawiły mu się na skórze dziwne owrzodzenia, myślałam, że to jakaś alergja lub zatrucie pokarmowe. A na krótko przed śmiercią prawie w ogóle stracił apetyt. Ale skąd pan wiedział...?

— Pani Carozza... — Berg starał się uważnie dobierać słowa. — To są typowe objawy zatrucia arsenikiem lub podobnym trującym specyfikiem. Doktor Leone miał pewne wątpliwości, ale policja je zlekceważyła. Ostatecznie pani mąż miał ponad dziewięćdziesiąt lat. A pani nie zgodziła się na sekcję zwłok...

— Myśli pan, że ten Roden otruił mojego męża?

Berg widział, jak drżą jej ręce.

— Na pewno był do tego zdolny. Musiał być wściekły, gdy Eugen odmówił współpracy, być może chciał w ten sposób zamknąć mu usta na zawsze i storpedować działanie potencjalnej konkurencji. Chociażby takiej jak moja. Czy Roden poczęstował czymś pani męża?

— Był u nas dwa razy. Za pierwszym razem na pewno nie... — Carozza skrzywiła się, jakby to wspomnienie sprawiło jej fizyczny ból. — Ale gdy pojawił się ponownie, przyniósł

mężowi jakiś drobiazg. Tak, teraz sobie przypominam, to były belgijskie czekoladki. Tak jakby skądś wiedział, że Eugen uwielbiał słodczyce. Myśli pan, że były zatrute?

— Czy pani także kosztowała tych słodczych?

— Nie — odpowiedziała po namyśle, jakby dopiero w tym momencie dotarła do niej istota tego pytania. — Nigdy nie przepadałam za słodkościami. Zjadł je wyłącznie Eugen, w dwa dni opróżnił całe pudełko. Myśli pan...?

— To możliwe...

W pokoju zapadła cisza, tak jakby te słowa potrzebowały czasu, aby odpowiednio wybrzmieć. Berg wiedział, co przeżywa teraz jego rozmówczyni.

— Pani Carozza, przywiozłem pani prezent z zamku Czocho. — Zdecydował się przezwyciężyć to ciężkie milczenie po dłuższej chwili. — To fotografia Eugena z grudnia roku czterdziestego czwartego, być może ostatnia, na której został uwieczniony w tym szczególnym dla niego miejscu.

Carozza z uwagą wpatrywała się w zdjęcie. Na pierwszym planie widniał młody mężczyzna bez cienia uśmiechu na twarzy. Znała to wejrzenie: chmurne i zdecydowane... Ubrany był w zwykły strój roboczy, na nogach miał zabłocone kalosze, w rękę trzymał latarnię. Towarzyszyło mu trzech górników w kaskach i z oskardami w dłoniach. Wyglądali, jakby dopiero wyszli z podziemi. W tle, rozmłeczonym zimową mgłą, rysowały się kontury zamku.

— Nawet pan nie wie, ile to dla mnie znaczy. — Carozza podniosła na niego swoje smutne oczy. — Eugen nie przywiózł stamtąd żadnego zdjęcia, wszystko przepadło w tym przeklętym zamku. Tak jakby nie miał dzieciństwa czy młodości... Każdy ma jakąś pamiątkę z pierwszej komunii czy zdjęcie na kucyku... On nie miał nic. Jakby był uciekinierem ze świata, który nigdy nie istniał...

Berg zrozumiał, że lepszego momentu już nie będzie.

— Pani Carozza, jest pani jedyną osobą, która może mi pomóc — powiedział. — Czy mogę liczyć na pani zrozumienie?

Nie odpowiedziała od razu. Mierzyła go uważnym spojrzeniem. Miał wrażenie, że widzi go na wskroś.

— Proszę pytać — odpowiedziała cicho.

— Czy Eugen kiedykolwiek wspominał o skarbach ukrytych w zamku Czocho?

— Nie wprost. Twierdził jednak, że „prawdziwe frukta zostały dobrze ukryte”. To jego słowa.

— Czy pozostawił jakąś wskazówkę dotyczącą miejsca ukrycia skarbów?

— Nie prowadził żadnego dziennika czy tajnych zapisków, jeśli o to panu chodzi... A ja nigdy o te sprawy nie pytałam. Wspomniał jednak kiedyś, że zwycięzcy odnaleźli na zamku tylko to, co mieli znaleźć. I że kluczem do skarbu jest Anhänger.

— To ktoś z obsługi zamku? Współpracownik Eugena?

— Nie mam pojęcia.

Berg nie krył rozczarowania. Przed wyjazdem do Włoch dokładnie przestudiował materiały dotyczące Czochoy przekazane mu przez Wojtyszkę. Nie przypominał sobie, aby któryś z członków służby pałacowej nosił takie nazwisko. Kiepski efekt jak na tak daleką wyprawę. Spodziewał się o wiele więcej.

— Pani Carozza, czy pozwoli mi pani rozejrzeć się po domu i obejrzyć pokój Eugena? Być może coś uszło pani uwagi...

— Proszę. — Rozłożyła ręce. — Ale proszę nie spodziewać się rewelacji. Z wojny przywiózł tylko tę husarską zbroję. Podarował mu ją sam Gütschow. Białą broń i rzeźby nabył już po wojnie. Lubił szperać po targach staroci. Ludzie wiedzieli o tej jego pasji i sami przynosili mu różne rodzinne pamiątki. Nawet pan sobie nie wyobraża, jaka bieda panowała tu po wojnie...

Gabinet Eugena pogrążony był w cieniu. Miał tylko jedno okno wybite w grubym murze. Umeblowany był zaskakująco skromnie: biblioteka na całą ścianę, duży sekretarzyk, skórzany fotel z podnóżkiem. Berg przymknął oczy. Wyobraził sobie starca siedzącego tu w samotności, w tej samotni ożywianej jedynie szumem fal, zatopionego w rozpamiętywaniu przeszłości. Wiecznego tułacza, który nad tym ciepłym morzem wspominał karkonoskie zimy i czapy śniegu zbierające się na bramie wjazdowej do baśniowej Czochoy. Odrealnionej i nierzeczywistej, przesłoniętej gorzkim smakiem wygnania...

Podszedł do biblioteki. Tak jak się spodziewał, Eugen był erudyta. Na regale piętrzyły się stosy albumów malarskich, książek, roczników tygodnika „Der Spiegel” i inkunabułów w złoczonej oprawie. Półkę wyżej zalegały dzieła filozofów. Ludwik Wittgenstein, Carl Schmitt, Peter Sloterdijk... Wziął do ręki książkę tego ostatniego. Jego uwagę przykuł cytat podkreślony zapewne ręką Schurrlego — *Kto mówi ludzkość, ten chce oszukać*².

Jaki był człowiek, którego nie dane mu było spotkać? Jakie miał przekonania, w co wierzył ów strażnik tajemnic, który swoje oddanie sprawie zapewne przypłacił życiem? Sądząc po podkreślonym cytacie, szukał ekspiacji i rozgrzeszenia... Czy jego życie rzeczywiście skończyło się w momencie ucieczki z Dolnego Śląska? A reszta była tylko komentarzem, wegetacją rozwleczoną na kilkadziesiąt lat spędzonych na rozmyśleniach w tym ponurym pokoju, w obcym kraju, wśród nierozumiejących go ludzi?

Na przeciwległej ścianie, pogrążonej prawie zupełnie w cieniu, zauważył ciemny prostokąt. Jedyne obrazy w całym pokoju. Podszedł bliżej. Delikatnie ściągnął go ze ściany i podszedł do okiennego wykuszu.

Płótno było wielkości kartki formatu A4. Najprawdopodobniej była to kopia jednego z barokowych malarzy włoskich. Nie był sygnowany, ale żywa paleta barw pozwalała przypuszczać, że powstał w szkole naśladowców Tycjana. Ukazywał postać biblijnej Ewy opartej o drzewo grzechu. Berg z rozczarowaniem wpatrywał się w spękaną ze starości malaturę i połączoną ramę. Jedyne obrazy wiszące w prywatnym gabinecie Schurrlego nie były żadnym arcydziełem. Miał przed sobą dzieło anonimowego, co najwyżej kopię jakiegoś nieznanego mu malarza.

Dlaczego Eugen przywiązany był do tego właśnie drugorzędnej płótna? Czyżby zabrał ze sobą tę tajemnicę do grobu?

² Peter Sloterdijk, *Kryształowy pałac. O filozoficzną teorię globalizacji*, przeł. Borys Cymbrowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2011, s. 326.

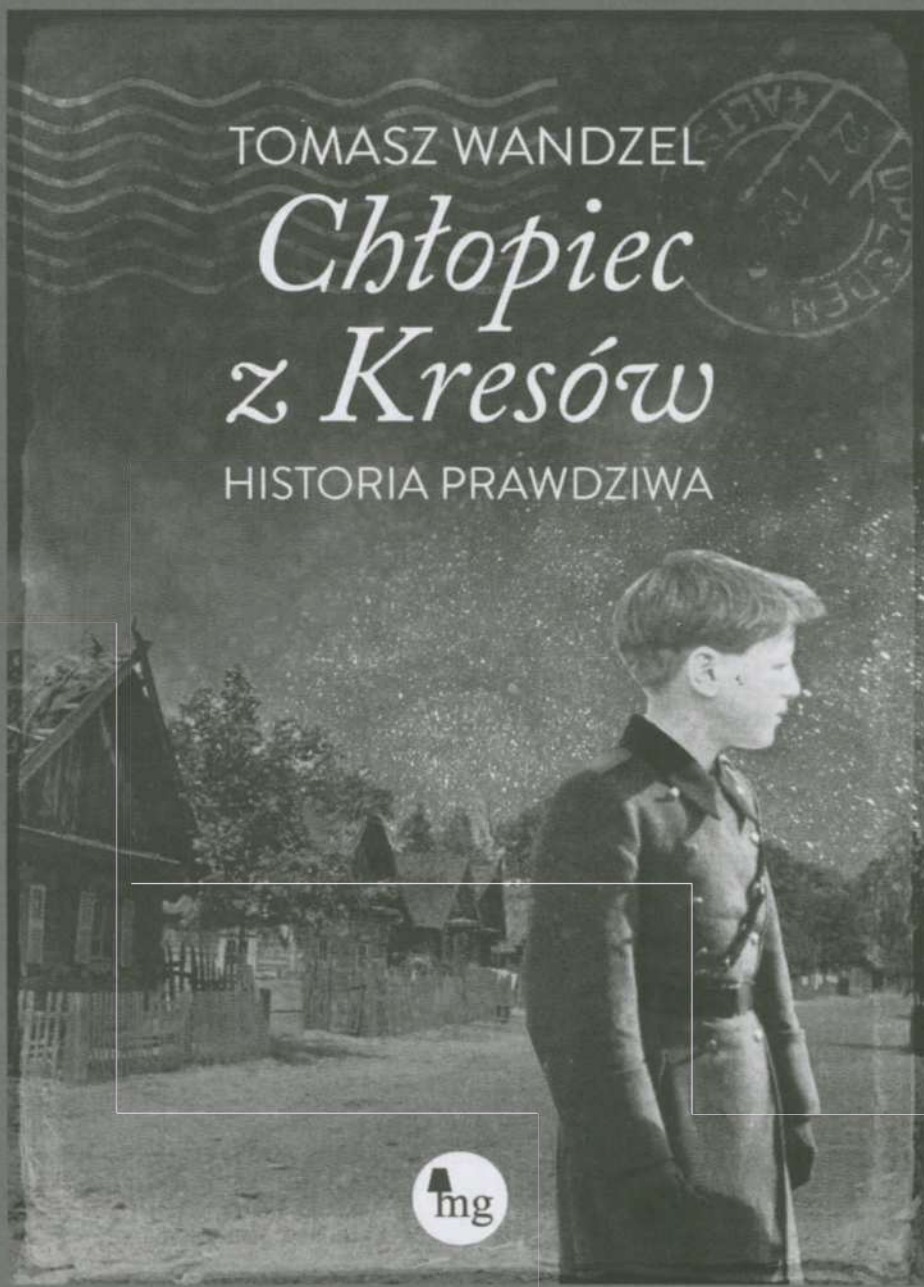
Tomasz Wandzel

CHŁOPIEC Z KRESÓW¹

TOMASZ WANDZEL

Chłopiec z Kresów

HISTORIA PRAWDZIWA



¹ Fragment najnowszej powieści Tomasza Wandzela, która ukazała się 29.02.2020 roku nakładem Wydawnictwa MG.

Ludwik siedział na ganku, próbując wypatrzyć w mroku nadchodzących mężczyzn. Noc była ciemna, że oko wykol, niebo szczelnie zasnuwane chmurami, a od niedalekiego lasu pełzły pod zabudowania wsi warkocze październikowych mgieł. Wokół panowała złowroga cisza. Kilka lat wcześniej wieś rozbrzmiewałaby dźwiękami harmonii, skrzypiec, wesołym śpiewem. Jednak ta przerażająca, bezsensowna wojna przewróciła wszystko do góry nogami. Najpierw zaatakowali Niemcy. Ludwik pamiętał rozpaczliwe komunikaty z walczącą Warszawą. Tu na Kresach wojna była czymś odległym, nie licząc wojskowych pociągów jadących na zachód. Dopiero gdy Rosjanie wbili nóż w plecy zmagającej się z hitlerowcami Polsce, ludzie na własnej skórze doświadczyli stalinowskiego terroru. Po nich z kolei wkroczyli Niemcy, ale dla tutejszych mieszkańców obie okupacje były tak samo straszne. Rusczy wysyłali na wschód każdego, kogo uznali za inteligenta lub bogacza. Czasami wystarczyło umieć czytać i pisać, by zostać zaliczonym do tych pierwszych, albo mieć w domu zegar z kukułką, by zasilić szeregi tych drugich.

Hitlerowcy wywozili na zachód wszystkich, którzy nadawali się do pracy. Ludwik szczęśliwie uniknął wywózki na Syberię, ale to nie znaczyło, że kiedy ruskich zastąpili Niemcy, mógł czuć się bezpiecznie. Teraz niebezpieczeństwo mogło przyjść od tych, z którymi jeszcze cztery lata temu razem pił, śpiewał, tańczył. Ukraińscy sąsiedzi nagle zaczęli na Polaków popatrywać wilkiem. Jakby zapomnieli wszystkie te lata, kiedy jeden drugiemu gotów był iść z pomocą. Owszem, część ukraińskich sąsiadów nadal odnosiła się do Polaków życzliwie, ale należeli oni do mniejszości.

Ludwik posłyszał w ciemności ciężkie kroki.

– Kto idzie? – rzucił półgłosem w nieprzenikniony mrok.

– To ja, Roman – odpowiedział mu również szeptem Dębicki. Z Romanem Dębickim Ludwik jeszcze za kawalera razem chadzali na zabawy do okolicznych wsi. Drugi zjawił się Jan Czarnecki. Chwilę po nich nadszedł Józef Kuraś, a jako ostatni Waclaw Sawicki. Wszyscy byli w podobnym wieku, znali się od dziecka i ufali sobie.

– Rotmistrz już jest? – zapytał szeptem Kuraś.

– Nie, jeszcze nie ma, ale obiecał przyjść – odparł Ludwik, podnosząc się z ławki – zaczekajcie, sprawdzę, czy żona zapędziła dzieci do łóżek – dodał, wchodząc do domu.

– Tośka, dzieci już śpią? – zagadnął żonę zmywającą w miednicy naczynia.

– Tak, przed chwilą sprawdziłam.

– Długo ci tu jeszcze zejdzie?

– Nie, jakieś pięć minut. Zostało mi zaledwie kilka talerzy – odparła kobieta, wycierając lnianym ręcznikiem trzymane w dłoniach naczynie. Kiedy skończyła zmywanie, pochowała talerze, kubki oraz sztućce do kredensu i wyszła z kuchni. Nie podobały się jej te potajemne spotkania organizowane przez męża.

– Zobaczysz, one jeszcze nam co złego przyniosą – straszyla, kiedy Ludwik zapowiadał, aby wieczorem dzieciaki szybko poszły spać.

– Tośka, ja robię to właśnie po to, by nic złego nas nie spotkało – odpowiadał tonem, który wykluczał dalszą dyskusję.

Antonina przeszła przez pokój, w którym spały dzieci, i weszła do małżeńskiej sypialni. Ledwie zamknęły się za nią drzwi, z jednego z łóżek wysunęła się dziecięca postać i przez uchylone okno wyskoczyła do ogrodu. Cicho podeszła do stojącej przy murze drabiny i szybko wdrapała się na strych.

Ludwik zajrzał do kuchni, a widząc, że jest pusta, gestem przywołał pozostałych mężczyzn. Henryk tymczasem leżał już bez ruchu na stryszku nad kuchnią. Przez szparę w deskach miał doskonały widok na całe pomieszczenie oświetlone nikłym płomieniem karbidowej lampy. Stryszek pachniał sianem, którego resztki z ubiegłorocznych sianokosów poniewierały się w kącie. Ostra woń szczurzych i mysich odchodów kręciła w nosie, ale o kichnięciu nie było mowy. Nikt z siedzących przy kuchennym stole nawet nie przypuszczał, że obserwują ich czujne oczy siedmiolatka.

Chłopiec wołał nie myśleć, co by się stało, gdyby któryś z mężczyzn odkrył, że podgląda i podsłuchuje spotkanie, w którym nawet jego matka nie mogła brać udziału. Mimo to Henryk zaryzykował i wymykając się z łóżka, które dzielił z młodszym bratem, wspiał się po drabinie na strych. Nie był to pierwszy raz, kiedy z wypiekami na twarzy słuchał tego, o czym rozprawiali mężczyźni. Może i nie rozumiał wszystkiego, ale zdawał sobie sprawę, że są to tajne spotkania, podczas których mówiono o wojnie, partyzantach, Niemcach, atakach ukraińskich band i organizowaniu przez Polaków obrony. Dziecięca ciekawość była silniejsza od kilku razy skórzanym rzemieniem. Tak po prawdzie, ilekroć ojciec używał rzemienia, miał ku temu powód.

– Wiesz, co zrobiłeś i jaka jest za to kara. Kładź się i przyjmij ją, jak na twardego chłopca przystało – powtarzał, gdy Henryk złamał jakiś zakaz, nie wykonał w porę polecenia czy zrobił coś, o czym dobrze wiedział, że nie powinien tego robić. Drzwi na dole zaskrzypiały cicho i do domu wszedł kolejny mężczyzna. Przywitał się z siedzącymi przy stole i zajął ostatnie wolne miejsce. Wyglądał na starszego od pozostałych. Był postawny. W mizernym świetle lampy jego opalona twarz wyglądała jeszcze ciemniej. Tego człowieka Henryk widział po raz pierwszy.

– Panie rotmistrzu, czy są jakieś wiadomości albo instrukcje z Warszawy? – mężczyzna siedzący najbliżej ojca zwrócił się do nowo przybyłego.

– Panowie, rozkazy są takie, żeby nie prowadzić żadnych działań ofensywnych, a skupić się wyłącznie na obronie ludności polskiej. – Zdziwione spojrzenia obecnych skierowały się w jego stronę. Mężczyzna siedział niewzruszony, opierając na stole potężne dłonie.

– To jakieś żarty! – nie wytrzymał Ludwik, zaciskając dłoń w pięść. – Najpierw ruscy wbili nam nóż w plecy i wywieźli tysiące naszych na Syberię. Po nich przyszły szkopy, którzy nie są lepsi. Teraz Ukraińcy zaczynają wyrzynać Polaków niczym barany, nie bacząc czy to kobiety, starcy czy dzieci.

A my mamy się temu beczynnie przyglądać? – mówił, coraz mocniej zaciskając dłoń.

– Ludwiku, takie są rozkazy. Moi chłopcy po pierwsze są jeszcze zbyt słabo uzbrojeni, a po drugie mam ich za mało, żeby ze wszystkimi walczyć.

– Panie rotmistrzu, to chociaż brońcie nas przed bullbowcami. Teraz to słychać o pojedynczych mordach, ale za jakiś czas, jak poczują, że wszystko im wolno, zaczną całe wsie mordować – nie ustępował ojciec. Pozostali zaczęli przyznawać mu rację.

– Tym bardziej, że my was karmimy, ubieramy, a tym samym narażamy nie tylko siebie, ale całe nasze rodziny. Wiecie, co Niemcy robią z tymi, którzy pomagają partyzantom – wtrącił niski mężczyzna siedzący obok pieca.

Dopiero gdy się odezwał, Henryk rozpoznał w nim sąsiada Wacława Sawickiego. Mężczyzna miał syna w jego wieku i chłopcy bardzo często się razem bawili. Nieznajomy mężczyzna nazywany rotmistrzem potoczył ciężkim wzrokiem po zgromadzonych.

– Panowie, jest wojna i każdy z nas coś ryzykuje. Czy sądzicie, że nie wolałbym w tej chwili być w Warszawie przy swojej żonie i córeczce? Wolałbym, ale nie jestem, ponieważ ich już nie ma. Gdy rok temu gestapo przyszło do mojego mieszkania, nie zastali mnie w domu. Zabrali moją rodzinę i ślad po niej zaginął. Tak więc doskonale wiem, co to znaczy narażać swoich bliskich. – Po słowach nieznajomego w izbie zapadła cisza. Mężczyźni patrzyli po sobie.

– Za kilka tygodni spodziewamy się otrzymać większy transport uzbrojenia – oznajmił rotmistrz, wstając od stołu.

– Mam nadzieję, że to przyciągnie w nasze szeregi kolejnych ochotników – dodał, podchodząc do okna. Teraz Henryk widział go doskonale. Mężczyzna był bardzo wysoki.

Czarne sięgające karku włosy tu i ówdzie pokrywała już siwizna. Wojskowa kurtka ciasnno opinała potężne barki.

– Panowie, zdaję sobie sprawę z sytuacji mieszkańców okolicznych miejscowości. Jedynym sensownym rozwiązaniem, jakie w tej chwili widzę, jest utworzenie w każdej wsi oddziałów samoobrony. Ich rolą będzie nie tylko obrona mieszkańców, ale również patrolowanie okolicy, zwłaszcza w nocy i alarmowanie w razie zagrożenia. Wiemy, że Ukraińcy masowo wstępują do niemieckiej policji, by po kilku dniach zdezerterować, w ten sposób zdobywając broń. Niemcy tolerują ten stan rzeczy w nadziei, że ukraińskimi rękami nas wykończą. Ale my się tak łatwo nie damy. Z dostawy, o której już wspominałem, dla każdej wsi przeznaczą po dwa karabiny. – Deklaracja rotmistrza zrobiła na zebranych wrażenie. Kiedy pół godziny później mężczyźni zaczęli się rozchodzić, Henryk, korzystając z zamieszania, zszedł ze strychu i przez nikogo niezauważony wrócił do łóżka. Jego rodzeństwo mocno spało. Ledwie przykrył się pierzyną, do pokoju zająztał ojciec. Chłopiec wstrzymał oddech, bojąc się, że jego wyprawa została jednak zauważona, ale po chwili drzwi się zamknęły.

Ludwik, po sprawdzeniu czy dzieci śpią, wrócił do pustej kuchni. Ze stojącego przy oknie garnka nalał sobie kwasu chlebowego i usiadł za stołem. Po wizycie rotmistrza spodziewał się czegoś więcej niż tylko mglistych zapewnień o dostawie broni i zwiększeniu w ten sposób liczby partyzantów. Zdawał sobie jednak sprawę, że leśni tak naprawdę niewiele mogli. Działali w bardzo trudnych warunkach. Z jednej strony Niemcy, z drugiej radziecka partyzantka, a z trzeciej bandy ukraińskich nacjonalistów wierzących w obietnicę Hitlera o niepodległej Ukrainie. Utworzenie oddziałów samoobrony miało sens. Tym bardziej, że część gospodarzy poukrywała w stodołach czy ziemiankach pistolety, strzelby i inną broń.

– Czym się tak martwisz? – usłyszał za sobą zatroskany głos żony. Odwrócił głowę i spojrział na Antoninę.

– Tym samym co wszyscy. Jak przetrwać kolejny dzień, dać dzieciom jeść – odpowiedział, ściskając gliniany kubek.

– Może powinniśmy wyjechać? – zaproponowała nieśmiało żona. Nie był to nowy pomysł. Ludwik sam zastanawiał się nad nim wiele razy. Tylko dokąd mieli się wyprowadzić? Tu był cały ich świat. Dom, gospodarstwo, ziemia, zwierzęta. Tylko dzięki temu wszystkiemu udawało się jakoś związać koniec z końcem. Kilku polskich gospodarzy przeprowadziło się do Kostopola, gdzie mieli krewnych. Ale z tego co Ludwik słyszał, wcale nie było tam ani lepiej, ani bezpieczniej. Różnica polegała na tym, że tamci musieli uważać na Niemców, a ci, którzy pozostali, na Ukraińców.

– Na razie trzeba doczekać wiosny, a później pomyślimy – zdecydował, podchodząc do żony. Przytulił ją i pocałował w czoło. – Nie martw się, Tośka. Dotąd sobie radziliśmy, to i dalej damy sobie radę – wyszeptał.

– Obyś miał rację, obyś miał rację – westchnęła. Wątpliwości żony były uzasadnione. Tegoroczne żniwa należały do najgorszych. Ostra zima, sucha wiosna i wilgotne lato sprawiły, że niektórzy gospodarze nie mieli czego zbierać. Jednak dopiero po żniwach okazało się, że jest gorzej, niż Ludwik przypuszczał. Ziarna było o połowę mniej niż w poprzednim roku. A z tego i tak połowę należało oddać jako kontyngent. Trochę lepiej było z sianem. Więc przynajmniej krowa i koń będą miały co jeść. Ale dla domowników jedzenia mogło nie wystarczyć.

– Jadę jutro do Andrzeja – zapowiedział Ludwik pewnego wieczoru. Żona spojrzała na niego zaskoczona. Mąż nieczęsto odwiedzał swojego brata. Zwłaszcza teraz, gdy każda podróż nawet do odległego o dwanaście kilometrów Kostopola po cukier czy karbid mogła skończyć się tragicznie.

– A coś się stało? – spytała z lękiem w oczach.

– Jeszcze nie, ale nie przetrwamy zimy, jeśli będziemy musieli wyżywić całą rodzinę. Poproszę, aby na kilka miesięcy przygarnął Henryka i Stanisława. Heniek ma już ponad siedem lat, a siły tyle co dziesięcioletek, więc nie będzie darmo siedział u wuja, tylko coś pomoże w obejściu – wyjaśnił Ludwik, przysiadając na zydlu obok pieca. Obserwował Antoninę, wyrabiającą ciasto na chleb. Wiedział, że oddanie dzieci do jego brata nie spodoba jej się. Uważała, że zwłaszcza w obecnych czasach, powinni trzymać się razem, ale nie widział innego wyjścia.

– Naprawdę nie można inaczej? – zapytała, patrząc na Ludwika zapłakаныmi oczami. – Może jednak przeprowadzimy się do wuja Stefana? Ma duży dom, więc i nasza piątka się pomieści. Ludwik tylko pokręcił głową i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się i spojrzał na żonę.

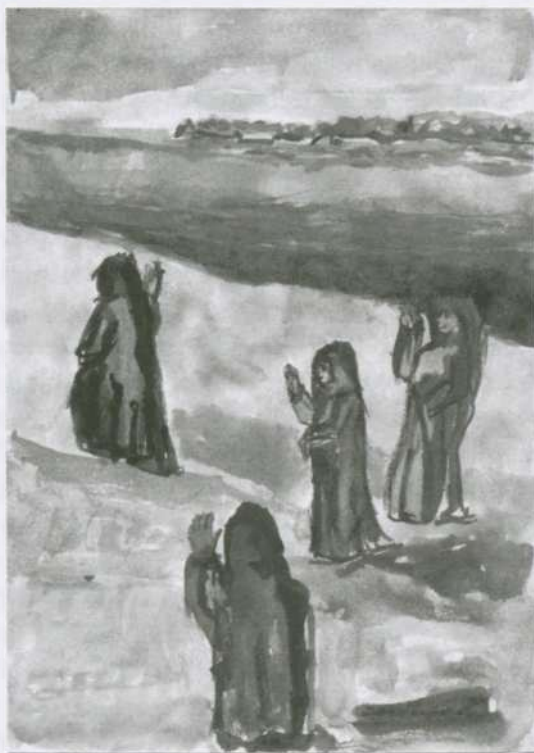
– Tośka, tam będą mieli lepiej niż tutaj, a te kilka miesięcy szybko zleci – pocieszył ją i wyszedł przed dom.

Piotr Napiwodzki

WILHELM Z MODENY W PODRÓŻY¹

część 8

„Czas się pożegnać”. Pomyślał Wilhelm wpatrując się w skromne zabudowania powstającej osady, którą rycerze zakonni chcieliby w przyszłości uczynić swoim ważnym portem. Cały ten obszar, który przebył w ostatnich dniach, a więc teren pomiędzy Insulae Mariae (Kwidzynem) a Elblągiem, z perspektywy map papieskich czy cesarskich był ciągle jeszcze w dużej mierze białą plamą. Tak pewnie postrzega go też Wielki Mistrz Zakonu teutońskich rycerzy. Trudno mu mieć jednak za złe, że nigdy osobiście nie przybył w to miejsce. W końcu na dworze cesarskim był o wiele bardziej przydatny dla sprawy nowej, północnej siedziby Zakonu. Po bliższym zapoznaniu się ze stanem faktycznym okazuje się, jak zresztą bywa to zwykle, że sprawy przedstawiają się inaczej: to ziemie zamieszkałe, będące areną rozgrywek pomiędzy plemionami Prusów, Słowianami w drugiej strony



Pożegnanie Wilhelma, rys. Agnieszka Rutka-Napiwodzka

Wisły i z Polski, osadnikami głównie z terenów cesarstwa. Ważnym, chociaż słabnącym lokalnym graczem, są ciągle Duńczycy. Natomiast rycerze zakonni wchodzą tu jedynie jako organizacyjna nadbudowa, którą przyjdzie im pewnie z dużym trudem utrzymywać przez następne lata, a może nawet dziesięciolecia, aż wszystko okrzepnie i zbliży się do normalności innych chrześcijańskich krajów. To i tak jednak całkiem dobra perspektywa i realna szansa na poszerzenie wpływów władzy papieskiej. Wilhelm wierzył, że jego osobista obecność jako papieskiego legata nadaje przedsięwzięciu właściwą rangę, a także w jakiś sposób

¹ Ciąg dalszy opowiadania fantastycznego, które jest swobodną interpretacją życia i działalności Wilhelma z Modeny. Część 1 w: *Prowincja* 2 (28) 2017, część 2 w: *Prowincja* 4 (30) 2017, część 3 w: *Prowincja* 2 (32) 2018, część 4 w: *Prowincja* 3 (33) 2018, część 5 w: *Prowincja* 4 (32) 2018, część 6 w: *Prowincja* 2 (36) 2019, część 7 w: *Prowincja* 3 (37) 2019.

równowazy zbyt dużą lojalność rycerzy zakonnych wobec cesarza. W tym trudnym okresie sporów papieża z cesarzem równowaga powinna być zachowana także na nowo pozyskanych ziemiach, a może właśnie zwłaszcza tutaj. Są tu co prawda bracia kaznodzieje od św. Dominika, ale czy utrzymają się długo? Nie jest to wcale pewne. W Gdańsku chociażby, do którego Wilhelm podróżował, dominikanów niedawno jeszcze wygnął Świętopelk. Pomysleć, że niektórzy nazywają go „wytrawnym politykiem i szczęśliwym wodzem” i może w taki sposób zapisze się na kartach historii². W każdym razie najpierw zaprosił dominikanów, dał im kościół, potem się obraził, prawdopodobnie dlatego, że za bardzo trzymali z rycerzami zakonnymi, później znowu przywrócił ich do łask. Niestety, tak jest tutaj wszędzie. Wszystko jest tak bardzo niepewne, tak nieukorzone, tak bardzo jest stąpaniem po wodzie. To prawdziwy cud, że jednak powoli coś udaje się wznosić.

No właśnie. Wilhelm raz jeszcze spojrzął na wodę. Tyle razy podróżował statkiem i chociaż był Piemontczykiem, zdążył żyć się z morzem. Jego ulubiony Psalm XXIII rozpoczynał się słowami „Pańska jest ziemia i to, co ją napelnia, albowiem On go na morzach ustanowił i przygotował ponad rzekami”. Wypowiadając te słowa myślał o Kościele ufundowanym na mistycznym, bezkresnym morzu, a więc na strumieniach łask Chrystusa otrzymywanych na chrzcie, w których obmywa się grzeszna ludzkość. Ziemia, która jest Pana, czyli Chrystusa, to oczywiście Kościół, na którą spadło ziarno Ewangelii i przyniosło owoc³. Czy na tych wodach tutaj też da się zbudować Kościół? Czy będzie to ziemia, która przyniesie owoc, trzydziestokrotny, sześćdziesięciokrotny, stokrotny? „To, co ją napelnia”. A co ma napelnić ziemię-Kościół, jak nie święci i wszelkie łaski? Może i tutaj, na Północy, rycerze zakonni stworzą warunki, aby to mogło się udać. Nic tego nie zapowiadało, ale być może tym lepiej – w końcu „Pańska jest ziemia”, więc niech On się o to zatroszczy. Wilhelm jako papieski legat robi to, co może, aby nikt nie przeszkadzał Bożemu działaniu. Po ludzku wybiera najskuteczniejszą drogę, co w zasadzie nigdy nie oznacza drogi doskonałej, ale inaczej się nie da.

W każdym razie Kościół ufundowany jest na „morzach”. I tak właśnie wygląda to z perspektywy Wilhelma tu, podczas jego misyjnych podróży. Elbląg otoczony z trzech stron wodą jest tylko jednym z przykładów. Wcześniej Wyspa Matki Bożej – Insula Sanctae Mariae (Kwidzyn), po drodze ten niewielki gród umiejscowiony na wyspie między jeziorami, gdzie rycerze spotkali głuchego pustelnika i odtąd nazywają to miejsce z niemieckiego Stuhm (Sztum). Zatem wszędzie woda i wszędzie wznoszony Kościół. Na razie nie w sercach i umysłach, lecz przynajmniej w planach, z kamienia i cegły. Od tego trzeba zacząć. A że kościoły z kamienia i cegły akurat tutaj, w tych okolicach, wydają się rzeczywiście być wznoszone na wodzie, to już inna sprawa. Wilhelm ponownie przypomniał sobie kościół pod wezwaniem św. Mikołaja w Gdańsku (św. Mikołaja, jak wiadomo, patrona żeglarzy). Istniał już dawniej, wzniesiono go ponad 50 lat temu. Z kolei Świętopelk podarował go dominikanom już ponad 10 lat temu. Znakomicie ulokowany, na skrzyżowaniu dwóch

² „Świętopelk, wytrawny polityk i szczęśliwy wódz, skorzystał z osłabienia Danii i zagarnął ziemię słupską i sławieńską. Ciągle czuł, że jest za słaby, aby zacząć wojnę i nieustannie szukał sprzymierzeńców.” Karol Górski, *Zakon krzyżacki a powstanie państwa pruskiego*, Wrocław 1977, s. 38.

³ Na temat średniowiecznej interpretacji Psalmu 23 (24) zob. Tomasz Gałuszka OP, *Badania nad Biblią w XIII wieku. Super Psalmum XXIII*, Kraków 2005.

ważnych szlaków – *via mercatorum* (drogi kupców) wiodącej znad morza w głąb kraju oraz drogi łączącej gdański gród w innymi posiadłościami księcia położonymi w zachodniej części państwa⁴. Wilhelm podczas swojej poprzedniej wizyty widział rozbudowę tego kościoła, wielkie pale wbijane w grząski grunt. „Jak nikt radykalnie nie osuszy terenu, to te mury wytrzymają spokojnie i tysiąc lat” – takie słowa słyszał od mistrzów kierujących pracami. Tu znowu na myśl przyszła mu postać Guiglielmo, rodaka, dziwnym trafem spotkanego podczas ostatniej podróży. On zdecydowanie odrzucał ideę utrwalania Kościoła na setki i tysiące lat – w końcu Ewangelia głosi: „Bliskie jest Królestwo Boże”, a niestety murowane Kościoły nie są jeszcze ostatecznym gwarantem sprawiedliwości i pokoju... Tak, była w tym wszystkim wielka trudność, aby nie pomyśleć: sprzeczność. Wilhelm przez lata podążał drogą wyrażającą się w sformułowaniu *credo ut intelligam*, którą powtarzał czcigodny Anzelm z Aosty⁵. Z biegiem lat skłaniał się w praktyce ku innej formule: *credo quia absurdum*, którą w czasach Ojców głosił heretyk Tertulian⁶, a ostatnio podkreślał świątobliwy Piotr Damiani⁷. Być może rzeczywiście świat jest na tyle pełen paradoksów, że pozostanie na zawsze nieprzenikniony dla ludzkiego umysłu. Wiara jest być może jedynym drogowskazem, a zaufanie do rozumu to błąd i pokusa. Co prawda Wilhelm wzdygał się przed wiarą egzaltowaną i nierozumną, przed postawą, jaką prezentował chociażby właśnie Guiglielmo. Jego ślepe posłuszeństwo miało wyraźne cechy szaleństwa.

Guiglielmo ostatecznie zdecydował się zostać w Elblągu. Właściwie był to pomysł Wilhelma, ale narzucił go siłą swojego autorytetu na tyle skutecznie, że aż dla niego samego było to niespodzianką. Guiglielmo, chociaż ostatnio żył wśród ludzi jako pustelnik, to jednak przyzwyczajony był do bezwarunkowego posłuszeństwa będąc wcześniej członkiem jednej ze wspólnot powołujących się na Franciszka z Asyżu. Ot, mistyk i szaleniec w jednym – w ostatniej rozmowie Wilhelm usłyszał od niego: „Gdyby nawet ten świat był całkowicie opuszczony przez Boga, ... to i tak wolę wykonywać to, co wydaje mi się być nakazem Boga, choćby miały z tego wyniknąć dla mnie najgorsze nieszczęścia, niż robić cokolwiek innego”⁸. Lojalność wobec kogoś lub czegoś była dla niego ważniejsza niż wiara. Wilhelm nie poznał dotychczas dobrze tego typu duchowości, ale obawiał się, że to właśnie do takich postaw będzie wkrótce należał świat wiary. Z perspektywy Wilhelma takie historyczne podejście jawiło się jako coś zatrważającego, coś, co uniemożliwia spokojne wznoszenie gmachu Bożej Świątyni w tym świecie, a dodatkowo co czyni z wiary jakiś bliżej nieokreślony konglomerat przeczuc, przeżyć, wrażeń, fanatyzmu i żarliwości. Jak przekonująco wyjść z czymś takim chociażby do tubylców tutaj, na Północy? Póki co pozostaje nadzieja, że Guiglielmo będzie tu produkował święte obrazy i w ten sposób jakoś przysłuży się dziełu ewangelizacji.

Wilhelm zdawał sobie sprawę, że sytuacja dojrzewa do podziału wielkiej diecezji biskupa Chrystiana na parę mniejszych i wiedział, że to pewnie jemu przypadnie rola nowego podziału tych ziem. Plan był już zresztą gotowy. Oznaczać to będzie, że po tej dosyć kontro-

⁴ Zob. Jacek Krzysztofowicz, *Zapiski historyczne o dominikanach gdańskich*, w: *Historicus Polonus-Hungarus*, Kraków 2010, s. 321-339, tutaj s. 323.

⁵ Anzelm z Aosty (Anzelm z Canterbury) (1033-1109).

⁶ Tertulian (160-240).

⁷ Piotr Damiani (1007-1072).

⁸ Simon Weil, *Wybór pism*, Kraków 1991, s. 60-61.

wersyjnej decyzji skończy się i jego misja legata – zawsze lepiej, aby przyszedł nowy legat, nieobciążony kontekstem ciągłych rokowań, konfliktów, wstawiania się za zwaśnionymi stronami, niepopularnych rozstrzygnięć⁹.

Wilhelm nie bez smutku pomyślał, że nie zobaczy już pewnie wznoszonych wież kościołów w miejscach, które odwiedzał. Może będą to piękne, jakże symboliczne, wieże osmioboczne?¹⁰ Wilhelm nie mógł nie myśleć o bazylice San Vitale w Rawennie, kaplicy cesarskiej w Akwizgranie, baptysterium we Florencji... Osiem to bardzo ważna liczba, nie tylko przy budowie kościołów. *Octavus sanctos omnes docet esse beatos* [Oktawa uczy wszystkich świętych bycia szczęśliwymi]¹¹. Oczywiście, w pierwszym rzędzie jest osiem błogosławieństw, pewnych przewodników na drodze do bycia szczęśliwym. Jednak jest również siedem dni tygodnia, w których Bóg stworzył niebo i ziemię. Ósmy dzień będzie więc zatem tym, co wykracza poza normalny porządek, co dokonuje połączenia tego, co ziemskie, z tym, co już po drugiej stronie, z „nowym niebem i nową ziemią”¹². Zresztą już u pogan oktagon-ośmiokąt uważano za symbol łączący kwadrat (ziemię) z okręgiem (niebem), a liczba osiem była symbolem sprawiedliwości¹³. Siedem, tak często obecne w Objawieniu św. Jana, to liczba doskonała, ale osiem to liczba wykraczająca poza doskonałość. To w niej odbija się pierwotna harmonia, to na oktawie opiera się wszelka muzyka. W końcu nie bez znaczenia są osmiiodniowe okresy, w których świętuje się najważniejsze uroczystości, jak chociażby od wieków obchodzona oktawa Zmartwychwstania Pańskiego. Dzień ósmy jest absolutnym dopełnieniem, a więc symbolem wieczności, ale też i końca świata.

Wilhelm uśmiechnął się do tych swoich rozważań. Oto mimowolnie nakierował je kolejny raz na tematy ostateczne. Widać, że jednak rozmowy z Guigielmo pozostawiły ślady w jego umyśle. Rzeczywiście, być może tu, na Północy, gdzie niebo często zasnuwane chmurami wydaje się czasami wprost wisieć tuż nad głową, tematy eschatologiczne narzucają się z dużą łatwością. A może ze względu na kruchość chrześcijańskich struktur łatwo wyobrazić tu sobie koniec? Wystarczy najazd pogan ze Wschodu, tak zwanych Litwinów mieszkających niedaleko, albo i tych słynnych Tatarów z dalekich krajów, lub też zorganizowany bunt pogańskich jeszcze w dużej części Prusów, i wszystko runie. „Przynajmniej od zarazy są tu w miarę bezpieczni”, pomyślał Wilhelm patrząc na niewielką, gromadzącą się właśnie, społeczność osady i porównując tę wspólnotę z ludnymi miastami słonecznej Italii. Wilhelm czytał w starych kronikach o strasznych zarazach, które przetoczyły się przez Europę w starożytności i czasach Justyniana. Wiedział, że wielkie skupiska ludzi sprzyjają rozprzestrzenieniu się pestis, jak dosyć powszechnie określano wszelkie choroby roznoszące się wśród ludzi. Niewiele wiedziało przecież o subtelnych rozróżnieniach znamienitego

⁹ Ogłoszenie powstanie nowych diecezji w Prusach nastąpiło w połowie 1243 roku. W 1243 Wilhelm wyjechał do Rzymu i już nigdy nie miał się już pojawić nad dolną Wisłą. W 1245 nowym legatem papieskim w Prusach został Henryk, dominikanin. por. P. Grochowski, *Chryścian. Biskup Prus 1216-1245 i misja pruska jego czasów*, Górna Grupa 2018, s. 271-291.

¹⁰ Kościół św. Mikołaja, konsekrowany przez Wilhelma w 1239 roku, rzeczywiście otrzymał osmioboczną, górną część wieży, ale stało się to dopiero w roku 1487.

¹¹ Napis na kapitelu w Cluny z ok. 1095. Por. Hans Siedlmayr, *Die Entstehung der Kathedrale. Baukunst. Mystik. Symbolik*, Wiesbaden 2001, rozdział 45: „Symbolik der Zahlen an der Kathedrale. Die Achtzahl”, s. 157-159.

¹² Księga proroka Izajasza 65, 17; Apokalipsa św. Jana 21, 1.

¹³ Wilhelm nie mógł wiedzieć jeszcze o osmiokątnej budowlu Fryderyka II w Apulii, Castel del Monte, opierającej się właśnie na symbolice antycznej. Zamek ten wybudowano w roku 1240, a więc rok po podróży Wilhelma do Gdańska.

mnicha Ewagriusza¹⁴, który nie wahał się chorobom ciała przypisywać duchowego znaczenia posługując się w tym pogańską jeszcze mądrością. Wilhelm pamiętał jedynie fragmenty: żółtaczka (ίκτερος) – najgorszy stan duszy rozumnej, przez który błędnie widzi ona zarówno Boga, jak i ogląd rzeczy stworzonych; paraliż (παράλυσις) – niewzruszenie duszy rozumnej wobec cnót praktycznych; gangrena (σφακελλισμός) – wzburzenie i poruszenie gniewu, rozjątrzające rozumną część duszy; biegunka (ἀποκάθισις) – niemożność duszy rozumnej, przez którą zwykła ona odrzucać cnoty prowadzące do przybrania kształtu Chrystusa, no i w końcu przerażający trąd (λέπρα) – niewierność duszy rozumnej, która nie jest zupełnie pewna, choć dotyczy racji. Wilhelm, jako duchowny, czuł się w pełni lekarzem. Wiedział, że posługując się Słowem Bożym leczy dusze, wznosi je ku Bogu, a w ten sposób, pośrednio, ale przecież realnie, leczy także ciała. Działa nawet skuteczniej niż ci, którzy oddziałują bezpośrednio na ciało, gdyż przecież oni w ten sposób nie dotykają istoty choroby. Cóż, w misji legata także chodziło o uzdrawianie, uzdrawianie całych społeczności, wspólnot, krajów, plemion. To organizowanie warunków, aby zdrowie mogło być czymś trwałym i stabilnym. Czasami oznaczało to konieczność bolesnych cięć, czasami musiało się pogorszyć, aby po jakimś czasie mogło być lepiej. Kto wie, czy popieranie rycerzy zakonnych nie jest tego typu trudnym wyborem? To kwestia doświadczenia, które Wilhelm już posiadał i mądrości, o którą nieustannie prosił medytując z pokorą nad słowami z Księgi Mądrości: „Oby mi Bóg dał słowo odpowiednie do myśli i myślenie godne tego, co mi dano!” (Mdr 7, 15).

Ludzie znaleźli się na brzegu przede wszystkim z ciekawości: przybywający do osady lub ją opuszczający to zawsze wielka atrakcja. Większość chciała się pożegnać, otrzymać błogosławieństwo. Nie było w Elblągu nikogo, kto nie wiedziałby, że w tych dniach przebywał u nich papieski legat. Na wybrzeżu było grono rzemieślników i kupców z północnych miast niemieckich, byli kupcy słowiańscy, kilku rycerzy zakonnych ze swoimi sługami, było paru braci od św. Dominika, w końcu grupa Prusów, którzy w większości byli w osadzie tymczasowo. Był też oczywiście Guiglielmo. Wilhelm podziwiał tych chrześcijańskich pionierów, zawsze żywił wobec nich wiele pozytywnych uczuć, a teraz hojnie udzielał błogosławieństwa kładąc ręce na pochylone głowy. Wiatr przybrał na sile, prawie cała świta Wilhelma znajdowała się już w niewielkich statkach, na których chciano pokonać krótką trasę do Gdańska. On także w końcu wsiał na pokład. Popatrzył raz jeszcze na ludzi, osadę i płaski, jak okiem sięgnąć, krajobraz i dał znak do wypłynięcia. Wilhelm pragnął wyruszyć już ku nowym wyzwaniom, w przyszłość patrzył bez niepokoju, jak przystało na człowieka wypróbowanej wiary i głębokiej pobożności.

¹⁴ Ewagriusz z Pontu (345-399).

Nie mam bowiem do czego wracać. Moja Polska już nie istnieje. Moja Polska mówiła po polsku, białorusku i ukraińsku. Ulicami mojej Polski chodzili Żydzi. W obecnej jednolitej etnicznie Polsce, Polsce tylko dla Polaków, [...] po prostu bym się udusił. Ta Polska jest dla mnie zbyt ciasna, po prostu za mała”. Olga Stanisławska, pisarka mieszkająca w Paryżu: „[...] prawdą jest, że my, Polacy, w ogóle nie jesteśmy przyzwyczajeni do różnorodności, ani w wyglądzie, ani w kulturze, ani w języku czy religii. Społeczeństwo polskie jest wyjątkowo jednolite. Prawie wszyscy ludzie, wśród których dorastamy, wyglądają podobnie, mówią tym samym językiem, poruszają się w obrębie tej samej kultury. [...] Ta jednolitość polski jest jednak, mówiąc umownie, pewną patologią. Pochodzimy z kraju okaleczonego przez wyjątkową historyczną tragedię. Ta tragedia pozbawiła Polskę większości jej Żydów, ale i Niemców, i Ukraińców. Przed wojną ten kraj tak nie wyglądał – w miasteczku na Kujawach, gdzie się wychował mój ojciec, ludzie mówili trzema różnymi językami. Tymczasem w naszym pokoleniu nie mamy już w ogóle doświadczenia różnorodności”. Koniec dygresji.

Wstyd wiąże się z winą wtedy, gdy jest pokłosiem świadomego oddzielenia się – może w tym wyrażałoby się też Frommowskie „osamotnienie” – od tego, co mówią najprostsze poczucia moralne, wydobycia się z trwałego horyzontu aksjologicznego, sprzeniewierzenia uniwersalnym wartościom. Widać tu związek wstydu z samowiedzą moralną zwaną sumieniem. Tadeusz Kotarbiński: „Sumienie - to chyba pewna odmiana wstydu. Gdy dajemy folę złemu zamiarowi, gdy popełniliśmy coś nie w stylu porządnego człowieka, zaraz ono zaczyna kołatać do naszego serca, bijąc w jego komorę, jak dzieciół w robaczywy pień” („Rozmowy o rozterce”). Owszem, zwykło się sądzić, że wstyd (podobnie jak zażenowanie, onieśmienie czy niepewność) bierze się z odbicia, z negatywnego zobaczenia siebie w cudzych oczach (Charles Horton Cooley, amerykański socjolog z przełomu XIX i XX wieku, używał zwrotu: *looking-glass self* – jaźń lustra, czyli tzw. Ja odzwierciedlone). Jednak ważne są też, może ważniejsze, własne oczy. Wstyd związany z ludzką pogardą – ale i utraconym szacunkiem do samego siebie – to stan trawiący lorda Jima z powieści Josepha Conrada (ratując się z tonącego statku pozostawił, oficer jego załogi, własnemu losowi śpiących pątników).

Istotą wstydu jest zobaczenie siebie bez barw ochronnych. Uwolnienie się od psychologicznych mechanizmów pozwalających tłumaczyć swe postępowanie tak, by dobrze wypaść we własnych oczach (tzw. pozytywna racjonalizacja). Adam Zagajewski: „Pisałem pracę magisterską o introspekcji w psychologii, czyli analizie własnych stanów psychicznych, a po latach usłyszałem, że więcej jest prawdy w obmowie niż w introspekcji. [...] Tworzymy różne piękne obrazy na własny temat, a dla innych jesteśmy o wiele surowsi. Ewangelista dobrze o tym wiedział: »Widzisz źdźbło w oku brata swego, a belki w oku swoim nie dostrzegasz«. Można oczywiście rozumieć obawy przed takim odkrywaniem się. Pisał Elias Canetti: „Jak to łatwo powiedzieć: odnaleźć samego siebie. Ale gdy stanie się to naprawdę, jakże bardzo jesteśmy przerażeni!”. Krzysztof Pomian sądzi, że człowiek nigdy nie będzie dla siebie całkowicie przezroczysty. I dodaje, że może lepiej, że tak jest: „Czasami taka myśl mi chodzi po głowie, że jest rzeczą bardzo dobrą, żebyśmy do końca sami siebie nie rozumieli. Może jakbyśmy siebie w pełni zrozumieli, to dopiero byśmy się przerażili?”.

Andrzej C. Leszczyński

OKRUCHY

ZOBACZYĆ SIEBIE

Kiedyś duże wrażenie robiły na mnie teksty Ericha Fromma. Pamiętam olśnienie związane z jego interpretacją fragmentu Biblii mówiącego o wstydzie. Starotestamentowa opowieść nie łączy wstydu z nagością rozumianą dosłownie, jako genitalność¹: „Chociaż mężczyzna i jego żona byli nadzy, nie odczuwali wobec siebie wstydu”, Rdz 2, 25. Rzeczywiście, bywa, że ludzie nie wstydzą się chodząc nago - i wstydzą się, gdy są ubrani. Biblijny wstyd pojawił się dopiero wtedy, gdy Ewa i Adam wyzwolili się z bezgrzesznej harmonii z naturą, stali się ludźmi, czyli istotami samoświadomymi („A wtedy otworzyły się im obojgu oczy i poznali że są nadzy”). Poprzez nagość odkryli rzecz wstrząsającą: że są cielesnie różni, że w takim razie każde z nich jest samotne – tylko ona i tylko on po dwóch stronach płci. Świadomość ludzkiego osamotnienia, pisze Fromm - i zapisuje to rozstrzelonym drukiem - „jest źródłem wstydu. Jest zarazem źródłem poczucia winy i niepokoju”².

Myślę, że samotność - czy raczej osamotnienie, Fromm nie pisze o samotności z wyboru (solitude), lecz o traumie (loneliness) – jest źródłem „wstydu bez winy”, gdy oznacza odczucie społecznego braku i izolującej inności. W społeczeństwie homogenicznym właściwym powojennej Polsce uwagę zwraca jakakolwiek inność. Odczułem to kilkanaście lat temu, gdy w SKM-ce usiadł obok mnie ciemnoskóry mężczyzna. Wiele par oczu zwróciło się w jego kierunku, kilkuletni chłopak pokazywał mego sąsiada swej mamie, patrzono też, choć nie tak intensywnie, na mnie. W wypowiedziach wielu osób odwiedzających nasz kraj można usłyszeć opinie o nieskrywanym zainteresowaniu, jakie budzili, o ostentacyjnych, oceniających spojrzeniach, itp.

Dygresja: Polska dziś to, mimo zwiększonego napływu osiedleńców, wciąż najbardziej czysty etnicznie kraj w Europie, stan zabójczy dla kultury pozbawionej życiodajnego „tygła”. Mówią o tym ze smutkiem cytowani niżej autorzy. Zbigniew S. Siemaszko, mieszkający w Londynie pisarz i historyk, pytany, czy nie myślał o powrocie do kraju: „Nie, nigdy.

¹ Związek ten zachowała dawniejsza polszczyzna, gdzie słowo srom oznaczało zarówno żeńskie narządy płciowe, jak i głęboki wstyd, hańbę.

² To, że nagość pokazuje prawdę, widać w grece, gdzie prawda to aletheia (ἀλήθεια). Słowo to jest odwróceniem lethe (λήθη), terminu mówiącego o zapomnieniu, skryciu. Aletheia, twierdzi Martin Heidegger, to nieskrytość (Unverborgenheit), prześwit (Lichtung), to, co pozwala orzekać (ἀποφανδισ) o bycie w jego odkrytości (Entdecktheit). Prawda byłaby de-maskacją bytu (fr. masque to zasłona, maska). Weźmy twarz: jej maską jest makijaż (maquillage; maquiller znaczy tyle, co malować, fałszować, zmieniać). Prawdziwa twarz musi być naga.

Wstyd pojmowany jest najczęściej jako uczucie związane ze świadomością popełnionej niegodziwości. O człowieku nie doznającym podobnych uczuć mówiło się z przyganą: wstydu nie ma, bezwstydnik. Znaczyło to, że człowiek ten pozbawiony jest poczucia przyzwoitości. Zdaje mi się, że dzisiaj kategoria wstydu znika z języka potocznego. Nie traktują jej z powagą politycy, choć chętnie posługują się nią w publicznych połajankach. Słowo to staje się archaizmem nieprzydatnym w codziennym życiu, a nawet narażającym na kąśliwe uwagi i wysmiewane dziwactwo (słyszałem gdzieś, że dziś „wstyd się wstydzic”).

Przychodzi mi do głowy, że uczucie wstydu to stan budzący się także wtedy, gdy naruszone jest coś, co bywa określane jako ludzkie prawo do bycia sobą w określony sposób. Pamiętam, że kiedy po raz kolejny okradziono mnie w barcelońskim metrze, uczuciem silniejszym niż złość (choć tej nie brakowało) był wstyd, doświadczenie odarcia: zabrano mi to, co było moje, mną.

RESENTYMENT

Wstyd jest z pewnością uczuciem przykrym. Tłumi poczucie własnej wartości, osłabia zdolności twórcze, onieśmiela, blokuje aktywność, boli. Ale jest zarazem warunkiem rozwoju moralnego. A także warunkiem godności rozumianej jako szczerłość, uczciwość wobec siebie. Wiadomo, że tłumienie własnych przewin, skrywanie ich, wywołuje zastępczą agresję wobec innych, zwaną resentymentem. Pojęcie to (fr. *ressentiment* – niechęć, uraza) oznacza dowartościowanie własnej miernoty poprzez deprecjonowanie tego, czego nie da się osiągnąć (lisek nie może dosięgnąć winogron, więc mówi, że są niedobre). Max Scheler („Resentyment i moralność”) pisze, że resentyment to „utrwalony w naszej psychice powtarzający się nawrót przeżywania określonej reakcji emocjonalnej wymierzonej przeciw innemu człowiekowi [...], to emocja ujemna, kryje w sobie odruch wrogości”. Dodaje, że resentyment zatruwa: „zawiść, złośliwość, utajona żądza zemsty osadzają się na dnie duszy, oderwane już od określonych przedmiotów; jako jego trwałe nastawienie kierują instynktownie jego uwagę, niezależnie od własnej woli, na takie zjawiska otaczającego świata, które mogą dostarczyć pożywki dla typowych form wyładowania tych namiętności”.

Albert Schweitzer powtarzał, że człowiek staje się lepszy wtedy, gdy ma odwagę sądzić samego siebie. O tym, że najbardziej nawet krytyczna samowiedza nie oznacza poniżenia siebie, że nie jest oznaką słabości, lecz przeciwnie, mówi o postawie budzącej szacunek, świadczą czyny wielu nanych postaci. Prezydent Francji Jacques Chirac przeproszał za łapanie Żydów w lipcu 1942 roku (obława Vel d' Hiv). Kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Willy Brandt klękał przed pomnikiem Bohaterów Getta Warszawskiego. Zaś kanclerz Angela Merkel w grudniu 2019 roku w Oświęcimiu mówiła: „Odczuwam głęboki wstyd biorąc pod uwagę barbarzyńskie zbrodnie, które zostały tu popełnione przez Niemców. Były to zbrodnie i przestępstwa, które wykraczały poza wszelkie granice tego, co można było sobie wyobrazić, szczególnie biorąc pod uwagę te straszliwe rzeczy, które wyrządzono kobietom, dzieciom i mężczyznom w tym miejscu. [...] Wtedy był to niemiecki obóz śmierci zarządzany przez Niemców. Ważne jest dla mnie, aby to podkreślić, ważne, aby jasno wskazać sprawców. Jesteśmy to winni my ofiarom i nam samym”. Papież Jan Paweł II

przepraszał za liczne grzechy Kościoła, szczególnie za antysemityzm i za krzywdy wyrządzone przez wieki Żydom. (Nazywa ich papież „starszymi braćmi w wierze”, a także „Ludem Przymierza”. Brzmi to inaczej, niż spotykane wciąż u nas „żydki” czy „moški”, nie mówiąc już o „parchach”). W wielu krajach europejskich widoczne były, zaniechane w ostatnim czasie, próby odniesienia się do nieprostej przeszłości sprzed kilkudziesięciu lat - w Austrii, Szwajcarii czy Szwecji.

W filmie Constantina Costy-Gavrasa pt. „Pozytywka” (1989) córka (w tej roli Jessica Lange) ujawnia dawne zbrodnie wojenne swego ojca, dziś szanowanego powszechnie obywatela. Robi tak dlatego, że go kocha i po to, by mogła go nadal kochać miłością pozbawioną hipokryzji.

Jednym z najbardziej pojemnych i - dla mnie - najpiękniejszych greckich słów jest *aidos* (αἰδώς). Łączą się w nim i dopełniają takie m.in. znaczenia, jak szacunek, wstyd, pokora, poczucie honoru i godności, hańba, litość, przebaczenie. Znakomity eseista i poeta Tomas Venclova w takim właśnie duchu pisze: „Kiedy prezydent Litwy Algirdas Brazauskas wygłosił przemówienie w izraelskim Knesecie i przeprosił za to, co się wydarzyło pół wieku wcześniej, o wiele za dużo ludzi na Litwie uznało jego słowa za poniżenie narodu. No cóż, skrucha nie poniża. Prawda nie poniża. Mówienie prawdy to jedyna właściwa droga do przywrócenia godności”.

A FE!

Myszę, że powyższe słowa moglibyśmy wziąć do serca także my, Polacy. Z szacunku dla samych siebie odnieść się do ciemnych stron swej dawniejszej i niedawnej historii. Pamiętać o słowach Cypriana Kamila Norwida, który – nawiązując do słów Szekspira („Zły to ptak co własne gniazdo kała”) - pisał: „Czy ten ptak kała gniazdo, co je kała, / Czy ten, co mówić o tem nie pozwala?”. Może warto wziąć przykład z Marii Dąbrowskiej, która odnotowuje w swym „Dzienniku” dramat Hrynek, wołyńskiej wsi, w której w 1937 roku z pomocą wojska rozpoczęto nawracanie z prawosławia na katolicyzm. Pisze: „Na Wołyniu ma być zastosowana do Ukraińców polityka pruska, policyjno-eksterminacyjna, taka jaka była w Poznańskim za czasów niewoli. Bóg ciężko Polskę za to ukarze! [...] Biedny Wołyń. Zostaną za nim tylko Hrynki (o których już głośno w Europie) i wojsko w roli polskich Krzyżaków, nawracających postrachem i przekupstwem z prawosławia na katolicyzm. Moralnie – ohyda; politycznie – kliniczna głupota, obłęd, za który Polska ciężko płacić będzie” (i zapłaciła na Wołyniu kilka lat później). Lub z Jana Błońskiego, który w głośnym esejie sprzed ponad czterdziestu lat pt. „Biedni Polacy patrzą na getto” pisał, że zamiast bronić się, usprawiedliwiać, targować i szukać usprawiedliwienia w okupacyjnych uwarunkowaniach trzeba najpierw powiedzieć: tak, jesteśmy winni. Jestem po przygnębiającej lekturze książki Grzegorza Gudena pt. „Lwów – kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym, 1918”, opisującej morderstwa, rabunki i gwałty (także obcinanie bród), jakich w ciągu dwóch dni (22-23. XI) dopuszczali się Polacy wobec ludności żydowskiej³.

³ „Wstyd – pisze Magdalena Bajer, lwowianka, po przeczytaniu książki Gudena – pozostanie do końca życia tych, którzy zapamiętają to, czego się dowiedzieli po stu latach, ale wstyd nie jest wystarczająca gwarancją, że jego powód nigdy się nie powtórzy. Dlatego należy i warto poznawać przeszłość, także za cenę rozwiewania iluzji”. Jak pisze Szymon Huberland

Jakiś czas temu Olga Tokarczuk wypowiedziała w TVP Info opinię, która wywołała falę oburzenia⁴: „Zaczynam myśleć, że my śniliśmy własną historię. Wymyśliliśmy sobie historię Polski, jako kraju niezwykle tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości. [...] Trzeba będzie stanąć z własną historią twarzą w twarz i spróbować napisać ją trochę od nowa, nie ukrywając tych wszystkich strasznych rzeczy, które robiliśmy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiała mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów”. Kto zżyma się na te słowa, powinien sięgnąć choćby do osiemsetstronicowej pracy Daniela Beauvois pt. „Trójkąt ukraiński. Szlachta, car i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793-1914” (tłum. Krzysztofa Rutkowskiego, II wydanie Lublin 2011). Francuski badacz zrobił to, czego nie podjął się żaden z polskich historyków. Ze strony niektórych z nich doczekał się natomiast krytyki za „niegodne historyka” zainteresowanie losami chłopstwa ukraińskiego, za moralizowanie, a także za odwoływanie się do źródeł marksistowskich. Znacząco w tym kontekście brzmi – przytoczony w „Trójkacie...” – fragment „Wspomnień ukraińskich” Władysława Matlakowskiego, publikowanych w odcinkach w londyńskich „Wiadomościach” (1954-1955): „Smutno to pisać Polakowi, przyznając się. On jeden nie może krytykować dziejów swoich, jest bowiem w położeniu syna, co miał utracjusza ojca i lekkomyślną matkę. Pochwalić ich nie może, a złorzeczyć mu nie wolno”.

Beauvois pisze o mitologizowaniu Kresów, o sielankowej kresomanii trwale zrośniętej z polonocentryzmem. (By uwolnić się od podobnych naleciałości, Krzysztof Czyżewski w swych sejneńskich pracach zamiast „kresy” woli używać bardziej neutralnego terminu „pogranicze”). Francuski historyk czuje się kontynuatorem wielogłosowych idei Jerzego Giedroycia, pierwszego wydawcy jego prac w języku polskim. Pokazuje, jak narastająca nienawiść chłopstwa do dworów – będąca skutkiem pogarszania się życiowych warunków i nierzadkiego okrucieństwa szlachty (arbitralność w wymierzaniu kar cielesnych, powszechny obyczaj bicia chłopów po twarzy – rzecz niespotykana w innych zaborach) – była podsycana przez Rosjan, dzięki czemu mogli w imię wyznaniowej jedności odgrywać rolę opiekuna ciemniejszego ludu.

Doświadczenie wstydu jest świadectwem odszukania siebie, dotarcia do Ja rzeczywistego, zastępowanego dotąd przez Ja fasadowe, czyli tzw. dulszczyznę. To coś, co można odczuwać jako oczyszczenie się z samozatrucia – tak jak podczas spowiedzi powszechnej, gdzie wyznaje się winy Bogu, ale także i ludziom. Z obrzędów wschodnich (monastycyzm) wywodzi się – rozpowszechniona później w chrześcijaństwie, zwłaszcza w średniowieczu – spowiedź niesakramentalna, wyznanie przewin przed świeckimi mające uwolnić od moralnej zadry. Spowiedź sakramentalna (sakrament pokuty) także opiera się na rzetelnym przyjrzeniu się własnym występkom i szczerym żalu za popełnione występki. Tymczasem – zauważa Andrzej Leder („Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej”) – polska świadomość w znacznym stopniu opiera się na zbiorowej amnezji. Na tłumieniu i wypieraniu tego, czego się doświadczyło, zwłaszcza gdy były to doświadczenia nie przynoszące chluby. Rewolucyjne przemiany lat 1939-1956 zostały przez większość Polaków przeżyte

(„Życie religijne podczas wojny”), intencją golenia bród było „podeptanie uczuć religijnych pobożnych Żydów”.

⁴ Zdaniem Krzysztofa Ziółkowskiego, burmistrza Lubowidza, pisarka jest prymitywnym jełopem, wrogiem ojczyzny, kanałią i szumowiną. Pisze na FB: „Pal naostrzyć, a nie nominować do Nobla”.

jakby we śnie, jakby byli „obok”, jakby kogo innego dotyczyły. Nie chce się pamiętać, jak bez skrupułów zagarniało się pozostałości dobytku wypędzonych Niemców, pomordowanych Żydów, bądź majątku „panów”.

Tzw. „pedagogika wstydu”, o której mówią i na którą pomstują wielbiciel Polski heroicznej, czystej i nieustannie krzywdzonej⁵, nie oznacza pochwały samobiczowania. Przeciwnie, chce ozdrowieńczego rozliczenia się ze skrywanymi nikczemnościami po to, by przywrócić możliwość podniesienia się, wyprostowania, wyzbycia się tkwiącego w duszy i zagłuszanego podniesionym tonem bólu, odzyskania szacunku do siebie. Żeby dzięki nazwaniu niesławy mogły czysto wybrzmieć fakty i zdarzenia przynoszące chlębę Polakom i Polsce. I żeby – jak miało to niedawno miejsce – ktoś inny nie wytykał nam naszych win znajdując w nich uzasadnienie dla własnych, stokroć większych niegodziwości. My wyjechaliśmy, a wy zostaniecie z waszym antysemityzmem, pisze w swej książce Sabina Baral, Żydówka zmuszona do opuszczenia Polski w 1968 roku. Antysemityzm w Polsce Żydom nie szkodzi, lecz tylko Polakom – to słowa Leszka Kołakowskiego. Timothy Snyder: „Dla Żydów Polska to przeszłość. Przyszłością jest Ameryka albo Izrael. Ale Polacy mieszkają nadal w Polsce i jeśli utożsamiają się z narodem polskim, to muszą brać pod uwagę, co tu robili ci wszyscy ludzie mówiący po polsku”.

Adam Chmielewski („Odra” 3, 2018): „Gdy sprawca zaprzecza swej niepodważalnej winie, dokonuje aktu samoponiżenia. Czyniąc tak sprawia, że będąc potępiony za wyrządzone zło, sam siebie skazuje na dodatkowe dwie kary: na poniżenie w oczach innych oraz w oczach własnych. Zaprzeczając swej winie, do występku dołącza świadectwo własnej deprawacji i demoralizacji”. Pamiętam do dziś niechętne spojrzenie babci Rufiny i słowa, jakie wypowiadała do mnie, kilkuletniego winowajcy: „A fe! Tylko tchórz nie potrafi przyznać się do tego, co zrobił”. Krótkie „A fe!” odczuwałem jako jedną z najgorszych kar.

⁵ Wojciech J. Burszta: „Tożsamość polską władza chce zbudować na cierpieniu. Czyli na okresach, gdy nie ma Polski, a fizyczny byt Polaków jest co najmniej zagrożony. Nie liczy się Konstytucja 3 Maja, wykwit obywatelskiej koncepcji Polaka. Nie liczy się Polska Jagiellonów. Liczą się zaborcy, bo cierpimy, biją nas, katują [...]”.

Andrzej Kasperek

WINCENTEGO POLA RELACJA Z PODRÓŻY PO ŻUŁAWACH

Już prawie zapomnieliśmy, że żuławy to rzeczownik pospolity, liczba mnoga od słowa *żuława* oznaczającego: „obszar pokryty urodzajnymi madami, poprzecinany kanałami odwadniającymi, powstały z osadów rzeki przy jej ujściu do morza, zwłaszcza w delcie”¹. Jerzy Smoleński, autor „Morza i Pomorza”, przedwojennego przewodnika z serii „Cuda Polski”, pisał: „Na tłustych namulach wytworzyła się żyzna niezwykle gleba - toteż pola orne skrzętnie uprawne i łąki soczyste, niezliczonymi odwadnianie rowami zajmują powierzchnię żuław zapewniając zamożność mieszkańców”².

To kiedyś był nieomal synonim: żuławy=bogactwo. Cytowałem już wcześniej³ Jana Kochanowskiego, który w „Pieśni IV” (z „Ksiąg wtórych”) napisał: „wsztyki / Żuławskie urodzaje i gdańskie pożytki / W jednym szpichlerzu zamknął”⁴. Pieśń Kochanowskiego to tłumaczenie „Ody 16” [*Inclusam Danaen turris aenea...*] z „Księgi III”. Poeta zastąpił występujące u Horacego określenie: „niwy apulejskie”⁵, czyli słynące z urodzajności pola Apulii, regionu po dziś dzień ważnego dla włoskiego rolnictwa, lepiej dla polskiego czytelnika zrozumiałym określeniem: „żuławskie urodzaje”. Czyż trzeba więcej tłumaczyć?!

Często cytuje się fragmenty „Dziennika podróży do Polski 1635-36”, w którym francuski dyplomata Charles Ogier w 1635 r. opisał swą podróż przez płaski kraj: „Mijaliśmy po drodze bujne i urodzajne pola. Wokół wiejskie domostwa [...] wygodne, postawione porządnie z cegły. Rozkoszne ogrody, pieczołowicie uprawione, zamknięte i ogrodzone siecią kanałów.[...]; nigdzie indziej nie ujrzysz tylu gęsi, tylu tłustych krów z tak pełnymi wymionami. Holendrzy to byli ci, którzy pola te osuszili i bagna nieużyteczne, wykopawszy długie kanały i strugi, zamienili w role, łąki i ogrody pełne owoców”⁶.



M. Zabłocka „Portret Wincentego Pola”, Izba Pamięci Wincentego Pola w Gdańsku Sobieszewie, fot. A. Kasperek

¹ „Słownik języka polskiego”, t. 10, pod red. Witolda Doroszewskiego, Warszawa 1968.

² Jerzy Smoleński „Morze i Pomorze”, Warszawa 2019, s. 123.

³ Zob. artykuł o „Flisie” S. Klonowica.

⁴ Jan Kochanowski „Dzieła polskie”, Warszawa 1980, s. 58.

⁵ Zob. przekład tej ody autorstwa Ludwika Hieronima Morstina [w:] Horacy „Wybór poezji”, oprac. Jerzy Krókowski, Wrocław 1973, s. 119. Komentator wydania „Horacyusza Pieśni Wszystkie Przekładania Różnych” [Warszawa 1773, t. 2, s. 113] wyjaśnia, że „Poeta Polak położył swoje żuławy żyzne za rolę Appulijską położoną od Horacyusza”.

⁶ Charles Ogier „Dziennik podróży do Polski 1635-1636”, przeł. i oprac. Zenon Gołaszewski, Gdańsk 2015, s. 21, 148.

Bardzo podobne uwagi znajdziemy w „Gdańskich wspomnieniach młodości” Johanna Schopenhauera z lat 30. XIX wieku: „Wisła otacza roześmianą, urodzajną dolinę: ogrody, łąki, krzaki, ożywione pojedynczymi, wielkimi zagrodami i pięknie zabudowanymi, bogatymi wsiami, jakie nie wszędzie w Niemczech spotkać można”⁷. To fragment z opisu podróży z Gdańska do Sztutowa. Jej ojciec dzierżawił tam największy majątek ziemski należący do miasta Gdańska.

W dziewiętnastym wieku Polacy trafiali zwykle na Żuławy jadąc do Gdańska. Bardzo ciekawy Zbiór takich relacji znajdziemy w książce Ireny Fabiani-Madeyskiej „Odwiedziny Gdańska w XIX wieku”. Ileż tam zachwyków nad pięknem tej ziemi, porównań do Arkadii, sentymentalnych uniesień wierszem i prozą. Michał Wyszkowski, autor jednego z takich opisów (z roku 1804), jakby asekurując się przed posądzeniami o hiperbolizację i grandilo kwencję, uprzedzając krytykę pisze:

„Komu ten opis zda się przesadzony,
Niech raz przynajmniej obaczy te strony,
Te wielkie łęgi, rozległe płaszczyny,
Które wysoki wał broni od Wisły.
Ten kraj wesoły obfity i żyzny
Czaruje oko i zachwyca zmysły.
Tu swym ciężarem zgięte bujne kłosa,
Tam w gęstym gaju różne ptactwa głosy,
Tu śliczne krowy pasą się na łące,
Włócząc po ziemi wymiona wiszące;
Wszędy ogrody, wszędzie żywe zdroje,
Strojne mieszkania, w nich czyste podwoje”⁸.

Oprócz tych zapisków z podróży w latach 30. XIX w. mamy jeszcze jeden typ „obrazków” podróżników. Są to pamiętniki polskich oficerów, którzy po upadku powstania listopadowego przekroczyli granicę Prus i zostali tam internowani. Władze pruskie rozmieściły ich na kwaterach w wioskach żuławskich. Dla polskich szlachciców kontakt z bogatymi chłopami, których zamożność nie tylko była nieporównywalna z ich poddanyimi, ale często przewyższała ich własne dobra, był powodem zdziwienia a nierzadko frustracji. Bardzo ciekawa to lektura i warto, żeby ktoś te rozproszone w różnych tomach relacje zebrał. Koniecznie trzeba tu wspomnieć Józefa Chamskiego i jego „Opis krótki lat upłynionych” oraz pamiętnik Karola Glogera.

Swoje pierwsze spotkanie z deltą Wisły Wincenty Pol miał w lutym 1832 r. Będąc internowany w okolicach Królewca otrzymał zadanie od gen. Józefa Bema, aby objechać internowanych wojaków i poinformować ich o możliwości emigracji do Francji. Pewnie nie miał wówczas sposobności ani chęci do podziwiania osobliwości tej krainy. Jednak jakies wrażenia z tej zimowej podróży pozostały, bo w swych wędrówkach po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej ponownie trafił na Żuławy Gdańskie w 1842 roku. Pol w swym obrazku zatytułowanym „Na groblach” zachwycał się zamożnością Żuławiaków. Opisywał z wiel-

⁷ Joanna Schopenhauer, „Gdańskie wspomnienia młodości”, Wrocław 1959, s. 232.

⁸ Cyt. za: Irena Fabiani-Madeyska, „Odwiedziny Gdańska w XIX wieku”, Gdańsk 1957.



Izba Pamięci Wincentego Pola w Gdańsku Sobieszewie, fot. Andrzej Kasperek

ką dokładnością bogactwo miejscowej ludności – wyposażenie wnętrz, „piękne obejścia i piękne bydło” oraz „zatyłych mieszkańców, którzy porośli w pierze”, ale najbardziej mu imponowało, że „każden kawałek ziemi jest użyty i na pożytek obrócony [...] Jaki niczym nie zmałowany i nie zakłócony żywot tych ludzi pracy i pokoju! Co za niezmałowana cisza, prócz szumu skrzydeł wiatraków, cisza, mówię, moralna i równowaga ducha, kiedy przy wszelkich nabytkach cywilizacji człowiek tu nie odbiegł od prostoty ziemianina, liczącego się z potęgami natury!”⁹.

Autor był prekursorem geografa i krajoznawcy. Był bardzo uważnym i docieklwym podróżnikiem. Trafnie zauważył Józef Bachórz, że: „Wiele swoistej urody opisów Pola bierze się stąd, że oglądał on zwiedzane krainy inaczej, niż zazwyczaj czyni się to obecnie. Przede wszystkim podróżował – z konieczności – w innym tempie. Jeździł konno, czasem bryczką lub wynajętym powozem; godzinami chadzał pieszo. [...] Patrzenie z bliska, kontakt dotykalny z ziemią, roślinami, budowlami, pochylenie się nad szczegółami, podglądanie zmienności rzeczy [...] niegdyś musiało być normą”¹⁰. To właśnie romantyzm rozpoczyna epokę

⁹ Cyt. wg: Wincenty Pol, „Na lodach. Na wyspie. Na groblach. Trzy obrazki znad Bałtyku”, oprac. Józef Bachórz, Gdańsk 1989.

¹⁰ *ibidem*

turystyki, która stała się dziś czymś tak powszechnym i popularnym. Wówczas jednak wyprawy miały charakter ekspedycji badawczych. Kiedy się czyta opisy wędrowki Pola przez Karpaty, to mamy wrażenie, że niewiele różni się ona od ekspedycji Stanley i Livingstone'a w Afryce. Bo to epoka badaczy-podróżników. Ekskursja żuławska przyniosła Wincentemu Polowi wiele ciekawych obserwacji. Zauważył, że to swoboda gospodarowania i wolność osobista, czyli brak pańszczyzny, sprawiły, że chłop stał się tu bogatym człowiekiem! Píše: „Zamożność też tu wielka i przy obyczajach kmiecych bogactwo niezwykle. Czystość budynków i domów holenderska! [...] mieszkanie zamożnego człowieka: – tu już i kosztowne posadzki, i obicia, i najwytworniejsze meble, tu już starożytne rzeźbione szafy, zbiory porcelany i naczyń srebrnych, okazałe zwierciadła, kosztowne zegary, drzwi z palisandru i mahonie, firanki i pokrycia mebli z ciężkich jedwabnych materii, na posadzkach kosztowne angielskie dywany, po ścianach obrazy i złożone brązy! Na co się dom tylko możnego pana zdobyć może, posiada tu Żuławiak, co się nie leni kosić własną łąkę i stać u steru na własnej berlince [statku rzeczonym]”. To nie jest ten znany mu do tej pory chłop polski, który tak naprawdę był niewolnikiem, pół-zwierzęciem, jak ten okradający trupy chłopina z „Rozdziobią nas kruki, wrony...” Stefana Żeromskiego czy ten z „Zapomnienia”, przyłapany na kradzieży drewna na trumnę dziecka. Pol zauważa, że: „Ale nikt nie jest [tutaj] przeciążony pracą, ani trapi się pracując: bo praca nagradza się tutaj, a dłużej i lepiej pracuje ten, co nie jest upokorzony i udręczony przy pracy!”.

Znajdziemy tu rzetelny opis płaskiej krainy, autor nie skąpi informacji na temat miejscowej geografii, wyjaśnia nazwę krainy, opisuje jej budowę geologiczną, klimat, faunę i florę, status hydrograficzny i stosunki społeczne. To przecież obrazek, ale napisany przez przyszłego profesora nadzwyczajnego geografii powszechnej, fizycznej i porównawczej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Przy czym, jak zauważa autor wstępu do jego „Trzech obrazków znad Bałtyku” prof. J. Bachórz: „rola uczonego nie kłóciła się w takim ujęciu w żadnej mierze z rolą artysty: obie one wspomagały się i dopełniały nawzajem”.

Dlatego Pol może być tu także poetą. Nie zapominajmy, choć dziś trudno w to uwierzyć, że jego sława ówczesna dorównywała sławie Mickiewicza. Obrazek „Na groblach” zaczyna wiersz:

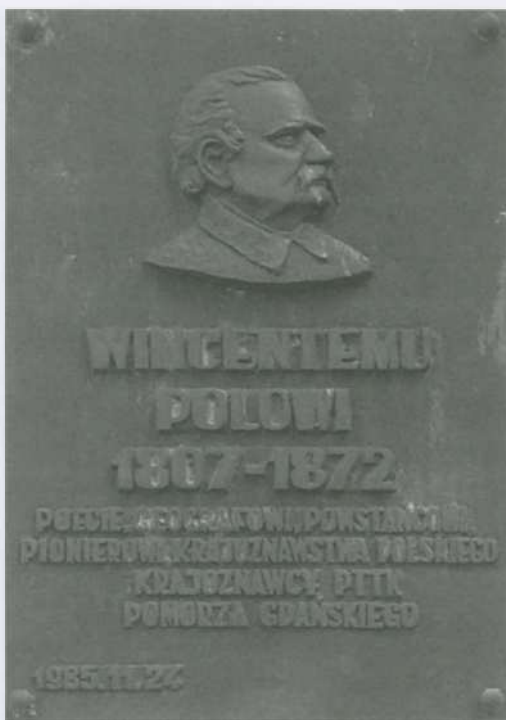
Szczęśliwie siadłeś na Żuławach, manie!
 Dobrze ci tutaj - póki Wisły stanie:
 Piękne obejścia – piękne bydło macie!
 - Łódź wszystko poda i wszystko wywozi,
 Tylko, że czasem Wisła wam pogrozi –
 Bo Wisła gniewna jest czasem na mana,
 Że chłop zatyły o tym zapomina:
 Skąd ona płynie i gdzie się poczyna?
 I że ta ziemia jest mu z łaski dana!
 Szanuj się tedy - kiedyś się porośł w pierze,
 Bo co ci dała – Wisła ci zabierze!”.

Stąd znajdziemy tu dużo uwag na temat niebezpieczeństwa powodziowego. Pol znakomicie rozumie, że to bogactwo nie wzięło się znikąd i jest nie tylko okupione znojem

i pracą, ale także strachem przed zalaniem, dlatego „każdy zaś Żuławiak trzyma nos na wodowskazie – i patrzy jak bocian milcząc na wodę...w miarę zaś tego, jak woda się podnosi, spuszcza się nos coraz potężniej – a jak już grzbietu grobli sięga woda, wówczas dopiero z bydłem na statki, a z zoną i dziećmi na dachy!”.

Trzeba docenić jego uważność, jego wrażliwość i zachłanność w poznawaniu świata oraz wręcz młodzieńczą ciekawość. To ona kazała mu szukać rybaka, który w 1840 roku pierwszy przepłynął swą łodzią nowym ujściem Wisły do morza. Działo się to, gdy w wyniku zatoru lodowego wody Wisły (z jej ramienia nazywanego wtedy Leniwką) przerwały wydmy Mierzei Wiślanej koło osady Górki (niem. Neufähr) i znalazły ujście w Morzu Bałtyckim. Wieś została podzielona na dwie, nazwane Górki Wschodnie (Östlich Neufähr) i Górki Zachodnie (Westlich Neufähr).

Nowe ujście rzeki nazwano na mapach niemieckich Weichseldurchbruch (Przełom Wisły), a na polskich otrzymało nazwę Wisła Śmiała, którą wymyślił Wincenty Pol. To jego wkład w polską onomastykę.



Tablica pamiątkowa w Gdańsku Sobieszewie, fot. A. Kasperek

W tym roku minęło 180 lat odkąd Wisła utworzyła sobie nowe ujście. W nocy z 31 stycznia na 1 lutego 1840 r. wody Wisły przebiły się do zatoki. Rano, 1 lutego, szerokość przerwania mierzei wynosiła 200 metrów. Pod koniec lutego ustabilizowało się ujście na szerokości 600 metrów, rozszerzając się w formie gigantycznego leja w stronę Zatoki Gdańskiej¹¹.

W Sobieszewie pamięta się o Wincentym Polu. W 1974 r. powstała poświęcona mu Izba Pamięci. Początkowo została zlokalizowana w Szkole Podstawowej nr 87, a „po kilku latach przeniesiono ją do budynku przy ul. Turystycznej 3, w którym przed wojną mieścił się elegancki „Hotel Lindenhof”. Dzięki zaangażowaniu społecznych opiekunów oraz samego prawnuka poety śp. Adama Pola, zgromadzono szereg eksponatów związanych z życiem i twórczością Wincentego Pola, jak i dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego Wyspy Sobieszewskiej oraz Żuław Wiślanych. [...] W 2007 r. Izba Pamięci weszła pod skrzydła „Wyspy Skarbów” Gdańskiego Archipelagu Kultury. Po generalnym remoncie i reorganizacji ekspozycji rozpoczęła nową działalność skierowaną do młodszych i starszych odbiorców”¹².

¹¹ Zob.: <https://historia.trojmiasto.pl/Wisla-bardzo-smiala-180-lat-od-przebicia-nowego-ujscia-n141797.html#tri>

¹² <http://gdanskwypasobieszewska.pl/pl/historia/izba-pamieci-wincenty-pol/>

Ale latem trudno trafić do Izby; schowana za straganami rozłożonymi przy głównej ulicy letniska jest ledwo widoczna, przypadkowy turysta tam raczej nie dotrze. Zbiory są skromne, ale docenić trzeba upór społeczników, których staraniem ów przybytek kultury powstał przed laty i trwa. Szkoda tylko, że o jego istnieniu wiedzą nieliczni. Poza Lublinem, gdzie działa Dworek Wincentego Pola – jego muzeum biograficzne mieszczące się w klasycystycznym dworku z XVIII wieku, który był własnością Franciszka Ksawerego Pola, ojca Wincentego Pola – o poecie prawie zapomniano. Najbardziej dbają o jego pamięć krajoznawcy, tyle, że dziś to gatunek na wymarciu...¹³ To oni byli inicjatorami powołania do życia rzeczonyj izby. Im też zawdzięczamy rozsiane po kraju tablice pamiątkowe i popiersia Pola, którego uznali za swego patrona. To on napisał tekst uznawany powszechnie za hymn miłośników rodzimego krajobrazu:

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?¹⁴

Wincentemu Polowi należy się nasza pamięć. To niezwykle, jak w XIX i XX wieku wielu Niemców, Austriaków i Rosjan, naszych zaborców, uległo fascynacji Polską i jej kulturą oraz historią i stawali się polskimi patriotami, znakomitymi badaczami naszej kultury, twórczości ludowej oraz dziejów kraju, którego nie było na żadnej mapie świata. Można zestawić długą listę, od Samuela Lindego, przez Wojciecha Kętrzyńskiego do Kazimierza Wierzyńskiego, żeby poprzestać tylko na tych trzech nazwiskach. Ale to temat na osobny artykuł.

¹³ Zob. Zb. Kresak, Cz. Skonka, J. Sobczak „Szlakiem Wincentego Pola”, Warszawa 1989. Książka opisuje podróże Pola po Polsce.

¹⁴ W. Pol „Pieśń o ziemi naszej”, cyt. za: <https://literat.ug.edu.pl/pol/piesn.htm>



Widok nowego ujścia Wisły wg Adriana Krzyżanowskiego, 1843 r., za www.gdanskstrefa.com

NIE WOLNO UCZESTNICZYĆ W KŁAMSTWIE

z profesorem Marianem Szarmachem
rozmawia Adam Langowski

- **Panie profesorze, jest Pan synem podporucznika Stanisława Szarmacha, więźnia Kozielska, zamordowanego w Katyniu. Czy mógłby Pan przybliżyć jego postać?**

- O Ojcu trudno mi mówić, bo nie było Go w moim życiu. Ani On mnie nie widział, ani ja Go nie widziałem. W sierpniu 1939 roku poszedł na wojnę, a ja urodziłem się w grudniu. Został zamordowany w kwietniu 1940 roku. Dodam jeszcze, że był legionistą w 1920 roku. Urodził się na Kaszubach i stąd, gdyby nie wojna, byłbym Kaszubem z Kartuz. Piszą, że maturę zdawał w Kościerzynie. Z przekazu Mamy wiem, że w Grudziądzu. Po skończeniu szkoły został nauczycielem i kierownikiem szkoły w Dzierżaninie pod Kartuzami. Dyrektor tamtejszej szkoły i dawni uczniowie dopięli tego, że został przy niej postawiony kamień z Jego nazwiskiem, datami i informacją, że zamordowano Go w Katyniu. Moi przyjaciele dobrze wytropili, że nigdy nie mówię „matka”, tylko „mama”, ale też nie mówię „tata”, tylko „ojciec”, bo nigdy Go nie było.



Marian Szarmach, Łasin, 1940 r.,
fot. archiwum prof. M. Szarmacha

- **W rozmowie z Barbarą Szczepułą, która w 2010 roku opublikowała w „Dzienniku Bałtyckim” artykuł o Pańskim ojcu, wyznał Pan, że matka dość wcześnie powiedziała Panu, jak zginął ojciec. Kiedy dokładnie Pan to usłyszał?**

- Byłem po maturze. Powiedziała, że został zamordowany w Katyniu i chyba wtedy wręcz nakazała mi pielęgnowanie Jego pamięci.

- **A co wcześniej Pan wiedział na temat losów ojca?**

- Że zginął na wojnie. Takich jak ja, dzieci bez ojca, były wtedy dziesiątki i nikt tego nie dochodził. Byliśmy wszak dziećmi, które tego nie dociekały.

- **Rozmowa z matką stanowiła dla Pana przełom w myśleniu o ojcu?**

- Przełom i otwarcie oczu. Mama jakoś nie nawiązywała już później do tego. Po Jej śmierci znalazłem w pozostałych po Niej dokumentach jedyny list Ojca z listopada 1939 roku: *Moja Droga Łucko! Donoszę Tobie, iż jestem zdrow i znajduję się w S.S.S.R. i powodzi mi się dobrze. Zawsze myślę o Tobie, jak jest Twoje zdrowie. Czy zamieszkujez w szkole? Czy miesz-*

6849. Kozielsk, d. 29. 4. 1939r.

Moja droga Lenko!

Dziwnyś Tobie wujestem zdrowio
i znalazysz się w S. S. S. R. i ponodri
mi się dobrze. Zarazem myśle
o Tobie, jak jest Twoje zdrowie. Czy
raczej skujesz 10 szkolę? Czy
niekćkacis narazie nie zostate
z uisaczone. Czy masz 3 mego
suj? Prosz się tylko mi kto-
potaś o mnie. Może to już nie
dlugo a bzdriemy razem. Kiedy
ostatecznie powrocie to miowiem
Czy z Lubowa Borzyszkowsy
szę w domu? Czy Babuska
w Ławku żyje? Jeszcie raz
biebie uwję. Wchacis bardzo
prosz żebyś o mnie sobie

kanie nasze nie zostało zniszczone? Czy masz z czego żyć? Proszę się tylko nie kłopotać o mnie. Może że już niedługo, a będziemy razem. Kiedy ostatecznie powrócę, to nie wiem. Czy z Żukowa Borzyszkowscy są w domu? Czy Babuśka w Zamku żyje? Jeszcze raz Ciebie moje Kochanie bardzo proszę, żebyś o mnie sobie nie robiła żadnych kłopotów. Proszę mi wszystko opisać, jak i co tam jest, gdyż ja jestem już tej myśli żeś z Syczyna już wróciła. Adres mój proszę tak odpisać, jak w dole napisany atramentem. Teraz pozdrawiam Ciebie moja najukochańsza Łucko i proszę pozdrowić wszystkich. Zasyła Ci Twój Staś”.

Przeczytawszy go zaniemówiłem. Jak pokazałem go mojej uniwersyteckiej mistrzyni profesor Zofii Abramowiczównie, usłyszałem, że dyplom doktorski i habilitacyjny mogę zaprzepaścić, ale tego dokumentu niegodziwości muszę strzec jak źrenicy oka. Po Ojcu mam jeszcze jedynie jakieś zdjęcia, które dostałem od rodziny i nic więcej.

Nie dziwię się, że Mama mi go wcześniej nie pokazała, bo bolało Ją zapewne, że Jej synowi wszczepia się patriotyczną wdzięczność do morderców Jej męża, a mego Ojca. Przecież Mieczysław Rakowski powiedział, że mówienie o Katyniu jest wbijaniem noża w plecy naszemu wypróbowanemu przyjacielowi, a i dziś jeszcze słyszę, że ten mord można usprawiedliwiać słusznym odwetem za rozgromienie przez Polaków wojsk rosyjskich w 1920 roku. Stąd też nie przyszło mi do głowy, by zapisać się do partii, albo wstąpić owczym pędem do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Po włosku powiedziałoby się, że nie miałem czerwonego podniebienia. Jakoś przeżyłem te czasy nazywane dziś eufemistycznie szczęśliwie i słusnie minionymi.

- W swoim archiwum posiada Pan również kopię sowieckiego dokumentu z 1940 roku zawierającego listę jeńców z obozu kozielskiego.

- To były materiały, które przywiózł z Moskwy generał Wojciech Jaruzelski. Na liście tej jest też nazwisko Ojca. Zamordowany został 16 kwietnia. Dotarły do nas przez Rodzinę Katyńską z Gdańska. Pani prezes bała się ten dokument nam wysłać i dlatego wyznaczyła terminy prosząc, by odebrać go osobiście.

- Stanisław Szarmach doczekał się kilku upamiętnień. O głazie przy szkole w Dzierżążnie, odsłoniętym w 2011 roku, już Pan wspominał. Wcześniej, bo w 2009 roku, przy Gimnazjum nr 1 im. Jana Pawła II w Sztumie posadzono katyńskie Dęby Pamięci, z których jeden dedykowano Pańskiemu ojcu.

- Najpierw w Kartuzach była tablica nauczycieli z powiatu kartuskiego pomordowanych przez hitlerowców, na której znalazł się również mój Ojciec. Jej zdjęcie przysłał mi doktor



Stanisław Szarmach, fot. archiwum prof. M. Szarmacha

Kitowski, pochodzący ze Sztumu, który był wówczas lekarzem w Kartuzach. Rozpocząłem wtedy długą drogę korekty tego fałszerstwa, co było prawie nie do przeprowadzenia. Usłyszałem, że Ojciec jest uhonorowany, a ja czepiam się szczegółów. Zwróciłem się wówczas do mojej koleżanki ze studiów, senator Alicji Grzeškowiak, przedstawiając jej tę sprawę. Na jej interwencję w ciągu czterech dni przy nazwisku Ojca wykuto „Katyn”.

Jeszcze wcześniej na grobie Matki w Łasinie koło Grudziądza umieściłem też nazwisko Ojca z napisem „1940 - Katyn”, co spowodowało, że zaczęło się mną interesować UB. W tym miasteczku ludzie bali się wręcz koło tego grobu przechodzić, by nie wplątać się w jakąś aferę polityczną. Nie do wiary, że doszło do takiego zastraszenia i ogłupienia społeczeństwa.

- Sprawa tablicy z Kartuz oraz reakcja służb na inskrypcję w Łasinie wpisują się w tzw. kłamstwo katyńskie obowiązujące w PRL-u. Znany krytyk filmowy, Zdzisław Pietrasik, w recenzji filmu „Katyn” Andrzeja Wajdy napisał: „Katyn» to przypomnienie, że od samej zbrodni gorsze jest kłamstwo”.

- Przywołam tu jeszcze raz profesor Abramowiczównę, którą poprzedni system szykanoł do tego stopnia, że została nawet usunięta na kilka lat z uniwersytetu. Powtarzała nam, że student winien wynieść z uniwersytetu przeświadczenie, że nie wolno mu uczestniczyć w kłamstwie, co jest ciągle aktualne. Tego się trzymam. Oburza mnie, kiedy słyszę, że to były takie czasy i wszyscy tak musieli. Nie, nie musieli. Ona powtarzała, że to nie były takie czasy, tylko tacy byli ludzie. Czas jest zawsze taki sam.

- W jaki sposób zdobywał Pan informacje o Katyniu?

- Oczywiście, że przede wszystkim z książek publikowanych za granicą, a później już w dobrych wydawnictwach w kraju, że wymienię Józefa Czapskiego, Stanisława Swianiewicza, Janusza Kazimierza Zawodnego, a ostatnio Tadeusza Kisielewskiego.

Jeden nieco starszy ode mnie kolega po fachu z uniwersytetu w Poznaniu zorganizował mi spotkanie z paroma uniwersyteckimi historykami, od których wiele się dowiedziałem. W Toruniu znany Panu historyk profesor Jan Sziling, mój kolega ze studiów i z akademika, kiedy sprawy katyńskie stały się głośne, spytał mnie, czy może o mnie mówić studentom, że i w jego uniwersyteckim kręgu jest syn jednego z tam zamordowanych. Spotykałem się wszędzie z dużą życzliwością.

Będąc wiele lat temu na kilkumiesięcznym stypendium w Padwie pewien włoski kolega w rozmowie przy kawie zapytał mnie o rodziców. Usłyszawszy o Ojcu i Katyniu, wiedział doskonale, o co chodzi. Mieszkająca w Wenecji jego matka zaprosiła mnie wkrótce do siebie. Zanim się tam udałem, dowiedziałem się, że jest Żydówką i przedstawicielką jednego z najzamożniejszych rodów weneckich. Ponieważ sama cudem przeżyła wojnę w hitlerowskim Wiedniu, wypytywała mnie o Katyn doskonale zorientowana, co tam się wydarzyło. Drugiemu synowi poleciła, by ich prywatną gondolą pokazał mi Wenecję. Dzięki jej protekcji mogłem wejść do słynnego klasztoru San Giorgio na jednej z wysp ze wspaniałą biblioteką. Przyjął nas tam sam opat dając mi parę cennych książek. Mogę powiedzieć, że to dzięki Katyniowi.

- Jak wyglądało w Pana przypadku odkrywanie katyńskich śladów ojca?

- Zaraz w wolnej Polsce zapisałem się w Gdańsku do Rodziny Katyńskiej. Prowadziła ją przemiła pani Emilia Maćkowiak. Organizowano wówczas pierwszy wyjazd do Katynia. Zaproponowała mi, bym skorzystał z tej możliwości. „Wycieczkę” pilotowała nieprzyjemna ubeczka, mówiąca: tam wejść wolno, tam nie wolno. Po powrocie pani Maćkowiak poprosiła mnie, bym o tym napisał do „Gwiazdy Morza”, gazety diecezji gdańskiej. Napisałem, że ubeczka ta tak zaplanowała nasz pobyt, że nie zdążyliśmy na zaplanowaną tam mszę. Byliśmy bardzo rozgoryczeni. Mszę odprawił nam jednak ksiądz z KUL-u, którego doktorat recenzowałem. Opiekował się grupą z Lublina. Kiedy mu powiedziałem, jak nas załatwiła, odprawił nam mszę na kamieniu i na walizeczce. W Katyniu nie było wtedy jeszcze niczego, tylko szumiący las.

- Ile razy udało się Panu pojechać do Katynia? Jaki był przebieg tych wizyt?

- Trzy razy. Drugi raz byłem, kiedy wyjazd organizował marszałek Bronisław Komorowski. Był tam już cmentarz. Jednym z jego architektów jest pan Leszek Witkowski ze Sztumu. Należał do zespołu, który wygrał konkurs na jego projekt. Cmentarz jest imponujący i zrobił na mnie duże wrażenie. Po raz trzeci byłem w 2011 roku, po katastrofie smoleńskiej. Widziałem z bliska wrak i słynną brzozę. Wyjazdowi temu patronował pan Komorowski, będący już prezydentem. Jechaliśmy wtedy z Warszawy do Smoleńska specjalnym pociągiem złożonym tylko z wagonów sypialnych. Wszyscy zwracali uwagę na nową, pachnącą adamaszkową pościel. W odbywających się tam uroczystościach udział brali Putin i Miedwiediew, o których się prawie otarłem. Było tam tak zimno, że na czas mszy dostaliśmy kocy.

- Podczas wkopywania Dębów Pamięci w Sztumie wykonał Pan symboliczny gest, wsypując ziemię z Katynia.

- Ziemię, którą przywoziłem z drugiego wyjazdu. Jej część wysypałem też na grobie Mamy.

- Jest Pan wybitnym filologiem klasycznym, znawcą kultury antycznej. Czy w piśmiach starożytnych autorów znajduje Pan teksty, które można odnieść do XX-wiecznej zbrodni katyńskiej?

- W czasie wojny peloponeskiej w V w. przed Chr. jedna z wysp greckich nie chciała zgodzić się z planem strategicznym Ateńczyków. Ci ukarali ją za to w ten sposób, że wyrznęli 8 tysięcy mężczyzn. Czołowy grecki historyk Tukidydes tak to skomentował: *Do takiego okrucieństwa doprowadziły walki partii; wydawały się one jeszcze okrutniejsze dlatego, że był to pierwszy tego rodzaju wypadek. Tym faktem, jeśli można tak powiedzieć, poruszona została cała Hellada [...]. Wiele też dotkliwych klęsk spadło na różne państwa z powodu walk partyjnych, które zdarzają się i zawsze zdarzać będą, jak długo natura ludzka pozostanie niezmienna, choć może w mniejszym nasileniu i w innych formach, stosownie do zmieniających się okoliczności. W czasach pokojowych i w dobrobycie zarówno państwa, jak i jednostki kierują się słuszniejszymi zasadami, gdyż nie znajdują się pod jarzmem konieczności; spory zaś niszczą normalne, codzienne życie będąc brutalnym nauczycielem kształtującym namiętność tłumu według chwilowej sytuacji. [...] Wtedy również zmieniano dowolnie znaczenie wielu wyrazów. Nierozumna zuchwałość uznana została za pełną poświęcenia dla przyjaciół odwagę, przezorna wstrzeźliwość – za szukające pięknego pozoru tchórzostwo, umiar – za ukrytą*

bojaźliwość, a kto z zasady radził się rozumowi, uchodził za człowieka wygodnego i leniwego; bezmyślną zuchwałość uważano za cechę prawdziwego mężczyzny, a jeśli ktoś się nad czymś spokojnie zastanawiał, sądzono, że szuka dogodnego pretekstu, aby się wycofać. Ten, kto się oburzał i gniewał, zawsze znajdował postuch, ten, kto się mu sprzeciwiał – był podejrzany. Jeśli komuś udało się drugiego wciągnąć w pułapkę, chwalono go jako mądrego, ale za jeszcze mądrzejszego uchodził ten, komu udało się tej pułapki uniknąć; jeśli zaś ktoś tak się urządził, że nie musiał ani zastawiać na nikogo sidła, ani ich unikać, uchodził za zdrającą swych towarzyszy partyjnych i człowieka bojącego się partii przeciwnej. Jednym słowem, sławy zażywał ten, kto potrafił ubiec człowieka, który mu chciał krzywdę wyrządzić, i kto drugiego zdołał do złego namówić. Związki krwi stały się słabsze od związków partyjnych, gdyż przyjaciel partyjny chętniej ważył się na rzeczy śmiało i bezwzględnie. Związków bowiem tego rodzaju nie zawierano zgodnie z istniejącymi prawami dla ogólnego pożytku, lecz wbrew prawom dla egoistycznych celów, wzajemne zobowiązania między uczestnikami nie opierały się na prawach religijnych, lecz na współuczestnictwie w zbrodni. [...] Większą też radość sprawiało móc się na kimś zemścić, niż w ogóle nie doznać od nikogo krzywdy. Wszelkie układy zawarte w przymusowej sytuacji i zaprzysiężone miały wartość tylko do chwili, gdy jedna ze stron nie poczuła się silniejsza; przy pierwszej zaś sposobności ten, kto zyskał na sile, widząc przeciwnika bezbronnego nie dotrzymywał układu. Zamiast bowiem otwarcie wrogo występować, chętniej lamano układy, nie tylko dlatego, że nie narażało to na duże niebezpieczeństwa, ale że jeszcze w nagrodę za podstęp



Profesor Marian Szarmach podczas uroczystości w szkole w Dzierżęźnie, fot. archiwum prof. M. Szarmacha

przynosiło sławę przebiegłości. [...] Źródłem tego wszystkiego była żądza panowania, dążąca do zdobycia bogactw i zaspokojenia ambicji, a stąd wybuchały rywalizacje, wkraczały w grę namiętności. Przywódcy polityczni jednej i drugiej partii posługiwali się pięknymi hasłami, mówili o równouprawnieniu wszystkich obywateli albo o rządach rozumnej arystokracji, ale w rzeczywistości mówiąc o sprawie ogólnej walczyli między sobą o swe prywatne interesy. Używając wszelkich metod w walce o pierwszeństwo odważali się nawet na największe okropności, a w zemście nie oglądali się ani na prawo, ani na interes publiczny, lecz kierowali się wyłącznie samowolą. Czy to przy pomocy niesprawiedliwych wyroków sądowych, czy też przemocą gotowi byli zaspokajać swe namiętności. Żadna partia nie szanowała świętości, a dobre imię zyskiwali ci, którzy za pomocą pięknych słów osiągnęli coś niegodnego. Bezpartyjnych zaś obywateli gnębiły obie strony, dlatego że nie brali udziału w walce i że zazdrościono im spokoju.

Czyż nie jest to tekst aktualny, chociaż pochodzi sprzed 2500 lat?

- Czy oglądał Pan film „Katyń”?

- Oglądałem go dwa razy.

- Jakie wrażenie zrobiło na Panu dzieło Andrzeja Wajdy?

Wiedziałem, że to będzie dobry film ze względu na reżysera i ze względu na aktorów. Przecież Maja Komorowska nie zagra w byle jakim filmie! Dla ludzi obeznanych ze starożytnością film ma wprost aluzyjne treści. Siostra lotnika granego przez Pawła Małaszyńskiego to przecież żywcem wzięta Antygona! W tragedii Sofoklesa mówi: „Współkochać przyszłam, nie współnienawidzić”. W drugim miejscu, kiedy tłumaczy jej, że takie zachowanie to gest niepotrzebny, mówi: „Słowami świadczyć miłość, to nie miłość”. Na grobie ojca Antygona składa pukiel włosów, co też jest w filmie. Wajda doskonale wiedział, jak się po takie aluzje sięga.

- Co dzisiaj jest jeszcze, według Pana, do zrobienia w sprawie katyńskiej?

- Chyba nic. Jest nas z każdym rokiem mniej. Nie ma już żadnych katyńskich wdów. Równa ze mną wiekiem pani profesor Małgorzata Czermińska, polonistka z Uniwersytetu Gdańskiego. Ona i ja należymy do najmłodszych dzieci. Co roku spotykamy się jako Rodzina Katyńska przed Gwiazdką na składkowym opłatk, przy czym prosi się, by opłacić bardzo skromną sumę za tych, których na to nie stać. To jest upokarzanie ludzi. Te osoby starsze o piętnaście i dziesięć lat ode mnie biedniutko ubrane, z emeryturek przędą cieniutko, a powinny mieszkać godziwie i być wszędzie pokazywane. W starożytnych Atenach dzieci poległych w bitwie pod Maratonem były dośmiertnie na utrzymaniu państwa. Bardzo też smutne, że na tej naszej uroczystości, chociaż jest nas coraz mniej, to przybywa notabli zbierających oklaski, sobie kadzących i dekorujących się medalami. Z niesmakiem słucham apeli polityków żądających dla nas odszkodowań od Rosji, tak jakby chodziło tu o pieniądze, a nie o prawdę i godność. Przywołam tu słowa Jana Kochanowskiego:

*„O nierządne królestwo i zginienia bliskie,
Gdzie ani prawa waży,
Ani sprawiedliwość ma miejsce,
A wszystko złotem kupić można”.*

Z tej mądrości skorzystała później pani Dulaska.

SPOJRZEĆ W TWARZ KATYNIOWI

z Elżbietą Rozkwitalską rozmawia Adam Langowski

- Osiemdziesiąta rocznica zbrodni katyńskiej skłania do zadumy nad losem polskich oficerów zamordowanych przez NKWD w kwietniu 1940 roku. Jednym z nich był Pani ojciec, podporucznik Jan Skórecki.

- Ojciec urodził się 1 marca 1909 roku w Drodzowie, w powiecie Pułtusk. Był synem Józefa i Reginy z Machnowskich. W 1930 roku ukończył trzyletnią Średnią Szkołę Rolniczą w Sobieszynie, a w kolejnych latach Szkołę Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Rozkazem Centrum Wyszkozenia Kawalerii z dnia 30 czerwca 1932 roku został przydzielony do 10 Pułku Ułanów, który stacjonował w Białymstoku. W 1934 roku otrzymał nominację na stopień podporucznika rezerwy kawalerii. Ożenił się z Olgą Stanisławą Hełpą. Z tego małżeństwa urodziła się 7 stycznia 1938 roku córka Elżbieta, czyli ja. Ojciec dzierżawił majątek Maszew w powiecie Turek. Był wysportowanym mężczyzną, o czym świadczą zachowane dyplomy z zawodów sportowych. W pierwszym dniu mobilizacji, czyli 24 sierpnia 1939 roku, powołano go jako oficera Wojska Polskiego. Z 10 Pułku Ułanów został przeniesiony do 7 Pułku Strzelców Konnych. Po wzięciu do niewoli przez wojska sowieckie trafił do obozu jenieckiego w Kozielsku. Zginął w Katyniu w 1940 roku.



Jan Skórecki, fot. archiwum rodzinne E. Rozkwitalskiej

Dodam, że w Katyniu zamordowano również porucznika Kazimierza Ignacego Bieńkę, który był ciotecznym bratem mojego Ojca. Na cmentarzu w Lubielu, gdzie są pochowani rodzice Ojca, Jerzy Machnowski, brat mojej kuzynki Jadwigi Zimińskiej, ufundował tablicę z napisem: „Pamięci Jana Skóreckiego, Kazimierza Bieńko i innych oficerów polskich zamordowanych w Katyniu”.

- Gdy ojciec wyruszał na wojnę, była Pani małym dzieckiem, które zdążyło odczuć jego obecność, co w kontekście innych historii katyńskich wydaje się być wielką wartością. Przecież wiele dzieci urodziło się w czasie, gdy ich ojców już nie było.

- Dla mnie to jest bardzo ważne i cenne, że mógł spędzić z nami chociaż krótki okres, bo potem wybuchła wojna. Pisał o nas w liście: „Strasznie mi tęskno za Wami, jest to rzecz nie do opisanania, lecz bądźcie dobrej myśli i o mnie nie martwcie się”. Mama otrzymała z Kozielska dwa listy. Jeden z 25 lutego 1940 roku, a drugi wcześniejszy, z grudnia 1939 roku,

który nam zaginął. Pamiętam, że w tym zaginionym liście ojciec pisał, że jest ciężko ranny, że rany mu się otwierają. To był krótki list. Drugi list jest w moim posiadaniu: List podporucznika Jana Skóreckiego napisany w Kozielsku 25 lutego 1940 r.: *Najdrożsi, Niezapomniani Moi! Jestem zdrowy i cały, żyję sobie z dnia na dzień, jak wszyscy moi koledzy. Zaczyna się robić mroźno i z tego powodu proszę bardzo o przysłanie mi tylko tych rzeczy, o które proszę, a więc: 1 kalesony ciepłe, 1 kalesony cienkie, ciepłe tanie rękawiczki, szalik, kalosze [nieczytelne]. Piszę do Mikołajewic, to może prędzej dojdzie. Będę pisał tylko raz w miesiącu i tak samo proszę mi tylko na list odpisać. Na pewno jak już wiecie jestem w Rosji. W domu radźcie sobie jak możecie, a jak powrócę to będziemy wspólnie pracować. Strasznie mi tęskno za Wami, jest to rzecz nie do opisania, lecz bądźcie dobrej myśli i o mnie nie martwcie się. Jak byście wysyłali paczkę, to przyslijcie mi nowe zdjęcie Waszej trójki, niech mam Was chociaż na papierze. Adres zwrotny podaję Wam na dole. Jest nas czwórka: Wylazłowski ze Stojanowa, Landowicz koło Błaszek, Dulas z Koźminka i ja, zawsze trzymamy się kupy cały czas. W domu kombinujcie jak możecie, ja się na wszystko zgodzę. Przesyłam ukłony dla wszystkich znajomych, a Was ściskam i serdecznie całuję, zawsze ten sam Janek.*

- Andrzej Wajda we wstępie do książki Andrzeja Mularczyka „Post mortem” przedstawił następującą wizję swojego filmu poświęconego zbrodni katyńskiej: „Film ukazujący do bólu okrutną prawdę, której bohaterami nie są zamordowani oficerowie, lecz kobiety czekające na ich powrót każdego dnia, o każdej godzinie, przeżywające nieludzką niepewność. Wierne i niezachwiane, pewne, że wystarczy otworzyć drzwi, a stanie w nich od dawna oczekiwany mężczyzna”. Czy Pani matka czekała?

- Mama czekała na powrót mojego Ojca, chociaż w 1943 roku „Nowy Kurier Warszawski” – dziennik wydawany przez Niemców w języku polskim oraz inne gazety wydawane dla Polaków przez niemieckie władze okupacyjne podawały listy nazwisk polskich oficerów, których zwłoki odkryto w masowych grobach w Lesie Katyńskim. Ona nie dowierzała jeszcze temu i każdy się łudził, że może wróci. Pojawiały się pogłoski, że ktoś się uratował, wychodził z dołów śmierci, więc cały czas czekała. Potem, kiedy już wszystko było wiadomo, musiała to zaakceptować. Wyszła drugi raz za mąż. Mama nigdy nie ukrywała, że jej mąż został zamordowany w Katyniu. Zmarła w 1982 roku. Na pomniku rodzinnym, gdzie jest pochowana, znajduje się tablica upamiętniająca mojego Ojca, a przy grobie rośnie świerk, którego sadzonkę przywiozłam z Lasu Katyńskiego.

- Pozwoli Pani, że przytoczę jeszcze słowa Józefy Hannelowej, która odnosząc się do jednego z największych symboli Katynia, jakim są wojskowe guziki wydobyte z dołów śmierci, zapisała taką refleksję: „Najbardziej prawdziwy pomnik wszystkich 25 tysięcy pomordowanych, wcześniejszy niż pierwsze krzyże na cmentarzach Katynia, Miednoje i Charkowa. Najuczciwszy wyraz totalnej bezradności wobec tamtych faktów, tamtej ziemi, tamtej pamięci i wszystkich znaków zapytania, jakie od pierwszego dnia poznania prawdy stawiane już będą historii i Panu Bogu zawsze i przez każdego, kto zdecyduje się spojrzeć w twarz temu miejscu i nazwie”. Pani zdecydowała się spojrzeć w twarz Katyniowi i czterokrotnie odwiedziła to miejsce.

Początkowo zapisałam się do Warszawskiej Rodziny Katyńskiej, ponieważ w Gdańsku nie było jeszcze żadnych struktur. W 1989 roku przystąpiłam do Gdańskiej Rodziny Ka-



Jan i Olga Skórecy z córeczką Elżbietą, fot. archiwum rodzinne E. Rozkwitalskiej

tyńskiej. Pierwszy wyjazd do Katynia odbył się w dniach 29-30 października 1989 roku. Towarzyszyli mi córka Anna i syn Piotr. Jechaliśmy pociągiem specjalnym zorganizowanym przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie. Po dotarciu do Brześcia trzeba było zmienić rozstaw kół w pociągu, ponieważ zaczynały się szerokie tory. Żołnierze rosyjscy przechodzili przez wagony, serwowali kawę i herbatę. Sprawdzali, czy ktoś nie otworzył okna, bo nie wolno było tego robić. Do Smoleńska przyjechaliśmy rano i przeżyliśmy szok. Na dworcu, przy torach stało piętnaście autokarów, do których musieliśmy wsiadać niemal wprost z wagonów. Na początku i na końcu kolumny jechały samochody z Rosjanami. Zawieziono nas do Katynia pod eskortą żołnierzy rosyjskich! Pomyślałam nawet, że nie wrócimy już stamtąd. W Lesie Katyńskim zastaliśmy następujący napis: „Ofiarom faszyzmu - oficerom polskim rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku”. Niektórzy z nas próbowali go zamalować. Uczestniczyliśmy we mszy świętej, którą odprawili księża z Wrocławia. Wszystko odbywało się w obstawie żołnierzy rosyjskich. Jeden z nich, prawdopodobnie reporter, miał nawet w kieszeni „Prawdę”! Na masowych grobach paliśmy znicze i umieszczaliśmy chorągiewki w biało-żółtych barwach, na których widniały dane ofiar, aby rodziny, które się znały, łatwiej się odnalazły. Dla mnie to było straszne przeżycie. Wszyscy płakaliśmy, że nasi ojcowie zginęli w taki sposób. Wiedzieliśmy przecież, że mieli związane drutem ręce. Po mszy wyprowadzono nas z lasu. Pojechaliśmy do hotelu, gdzie zjedliśmy posiłek i stamtąd autokary zawiozły nas do pociągu.

Druga pielgrzymka miała miejsce 3 i 4 kwietnia 1990 roku, w 50. rocznicę zbrodni. Zorganizowała ją ponownie Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie. Tym razem pojechałam z synem Janem. W porównaniu z pierwszym wyjazdem podróż była bardziej komfortowa. Można było otwierać okna i nie było żadnej obstawy. Na cmentarzu pozytywne zdziwienie, bo otwarto wszystkie bramy. Po mszy świętej można było wszędzie chodzić. Otworzyli nawet bramę do dawnych budynków NKWD. Tylko dwóch Rosjan pilnowało, żeby od świeczek las się nie zapalił. Uczestniczyli oni we mszy świętej, podczas której żegnali się po rosyjsku.

Trzeci raz pojechałam z mężem Andrzejem, autokarem z Łodzi, na otwarcie i poświęcenie Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu 28 lipca 2000 roku. Nie było już takich trudnych emocji, jak za pierwszym razem. Ludzie się po prostu cieszyli, że mogą być w Katyniu i mogą się pomodlić za swoich bliskich. Powstał nowy ołtarz, na którym wypisano wszystkich, którzy tam zginęli, dlatego to było dla nas bardzo wzruszające. Jednym z projektantów ołtarza był architekt Leszek Witkowski, mieszkaniec Sztumu. Homilię wygłosił Kardynał Józef Glemp, który najpierw poświęcił cmentarz Rosjan, znajdujący się po drugiej stronie drogi leśnej, a następnie Polski Cmentarz Wojenny. Była to podniosła i niezapomniana uroczystość. Wśród obecnych był m.in. prezydent Kaczyński oraz przedstawiciele różnych religii. Pojechaliśmy również na stację w Gniezdowie, gdzie w 1940 roku Rosjanie przywozili polskich oficerów.

Na swoją czwartą pielgrzymkę do Katynia udałam się w 2010 roku, w 70. rocznicę zbrodni.

- Jak Pani zapamiętała ten ostatni pobyt? W jego trakcie doszło przecież do wielkiej tragedii, jaką była katastrofa prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem.

- 9 kwietnia 2010 roku o godzinie 9.30 wyruszyliśmy wraz z mężem pociągiem specjalnym z Warszawy Zachodniej. Pociąg żegnany był przez tych, którzy mieli dolecieć na miejsce samolotem. O godzinie 13.00 byliśmy na granicy w Terespolu. Odprawa przebiegała sprawnie, mimo przestawiania składu siedemnastu wagonów na szerokie tory. Dziesiątego kwietnia o godzinie 5 rano pociąg przyjechał do Smoleńska, skąd autokarami przewieziono nas do Katynia. Powitała nas piękna pogoda i nikt nie przypuszczał, że się zmieni. Z uwagi na niedawną kontuzję nogi szybko przepuszczono mnie przez bramkę kontrolną. Mieliśmy czas, aby przejść się po cmentarzu, zapalić znicze i położyć kwiaty przy epitafiach swoich ojców i najbliższych. Potem czekaliśmy na przyjazd prezydenta Lecha Kaczyńskiego wraz z małżonką i delegacją towarzyszącą. Od Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa otrzymaliśmy tekst prezydenckiego wystąpienia, które miało zostać wygłoszone podczas uroczystości. Opiekowali się nami wolontariusze, harcerze oraz żołnierze. Kiedy dotarliśmy na miejsce nabożeństwa zadzwoniła do nas córka Ania, potem synowie Piotr i Jan, mówiąc,



Elżbieta Rozkwitalska z mężem Andrzejem w Katyniu, 10 kwietnia 2010 r., fot. archiwum rodzinne E. Rozkwitalskiej

że media donoszą o katastrofie samolotu prezydenckiego w Smoleńsku. Zaraz podano oficjalny komunikat na ten temat. Mówiono, że troje rannych wzięto do szpitala, ale wkrótce poinformowano, że jednak wszyscy zginęli. Byliśmy zszokowani i wstrząśnięci, płakaliśmy. Odmówiliśmy Koronkę do Miłosierdzia Bożego za wszystkich, którzy zginęli w prezydenckim samolocie, potem odprawiona została żałobna msza święta za zamordowanych w Katyniu oficerów i za wszystkie osoby, które leciały samolotem prezydenckim. Ich miejsca pozostały puste, położono na nich biało-czerwone flagi. W tych tragicznych okolicznościach obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej zostały przerwane. Po mszy świętej poproszono nas o szybkie opuszczenie cmentarza i wsiadanie do autokaru, by jak najszybciej opuścić Smoleńsk i Rosję. Wspaniale zachowali się nasi żołnierze, którzy wielu osobom pomagali przejść do autokaru. Mówili, że padł rozkaz jak najszybszego wyjazdu. Zdawałam sobie sprawę, że wydarzyła się wielka tragedia, ale nie potrafiłam zrozumieć skąd ten pośpiech. Część z nas dopiero znalazła się na cmentarzu, bo musiała czekać na przejście przez jedyną bramkę kontrolną. Nie wiadomo, czy wszyscy zdążyli zapalić znicze i się pomodlić. Było to bardzo dziwne, że z cmentarza zawieziono nas autokarami na obiad do kasyna. Nie byłam w stanie niczego przelknąć. Na peronie w Smoleńsku, przy pociągu stał szpaler wojska rosyjskiego. W drodze powrotnej byliśmy bardzo smutni i przygnębieni. Rozmawialiśmy tylko szeptem, do ubrań przypinaliśmy czarne wstążeczki, a gdy ich zabrakło cięliśmy czarne woreczki na paski. To był nasz symbol żałoby i znak bólu. Cały pociąg płakał. Myśleliśmy, że to będzie wzruszająca uroczystość, bo przecież miał w niej wziąć udział pan prezydent Rzeczypospolitej, tylu wybitnych ludzi, tymczasem wszyscy zginęli. Wiele z tych osób znałiśmy. Na pokładzie samolotu byli członkowie Rodziny Katyńskiej, m.in. pan Leszek Sol-ski z Gdańska. To właśnie oni żegnali nas na Dworcu Warszawa Zachodnia, mówiąc: Do zobaczenia w Katyniu!

- Czy zbrodnia katyńska wpływa na postrzeganie przez Panią Rosji i Rosjan?

- Wszelkie dyskusje między politykami mnie nie interesują. A jeśli politycy naprawdę chcą wykazać dobrą wolę i szacunek, to powinni udostępnić nam wszelkie archiwa NKWD, abyśmy poznali elementarną prawdę, na przykład dokładne daty śmierci naszych bliskich. Jako Polka w kontekście tragedii katyńskiej nie mam żalu do narodu rosyjskiego, który wtedy też cierpiał. Natomiast władze rosyjskie nie wykazują autentycznej woli wyjaśnienia sprawy do końca.

DZIADEK NIGDY NIE POZNAŁ NAJMŁODSZEJ CÓRKI –

Z WANDĄ MAKARĄ ROZMAWIA JULIA KACZMARCZYK¹

- Na początku chciałabym Panią poprosić, żeby opowiedziała Pani coś o sobie. Czy pochodzi Pani z tych terenów? Czym się Pani zajmuje na co dzień?

- Nazywam się Wanda Makara. Jestem córką najstarszej córki Feliksa Pogorzelskiego, Hani. To nie są moje tereny. Przeniosłam się tutaj, gdy wyszłam za mąż. Na co dzień pracuję w Bibliotece Pedagogicznej w Sztumie.

- Skąd pochodził Pani dziadek? Kim był z zawodu?

- Dziadek urodził się 6 października 1894 roku na Podlasiu, dokładniej w Pogorzeli, w powiecie Sokółów Podlaski. Spędził tam dzieciństwo i wczesną młodość. Ponieważ młodość przypadła na czasy I wojny światowej, krótko tam mieszkał. W 1916 roku, kiedy miał dwadzieścia dwa lata, został powołany do wojska i już prawdopodobnie nie wrócił na tamte tereny. Brał udział w walkach w I wojnie światowej, był ranny pod Szarkowszczyzną. Później, w 1920 roku, w wojnie sowiecko-polskiej otrzymał kilka odznaczeń, m.in. za udział w bitwie pod Beżem. Najbardziej zszokował mnie młody wiek dziadka, gdy przeglądałam wszystkie notatki, ponieważ porównuję to z moim synem. Miał dwadzieścia parę lat, kiedy walczył. Objął dowództwo kompanii, kiedy miał niespełna dwadzieścia pięć lat, a gdy ukończył dwudziesty szósty rok życia był już oficerem rezerwy w stopniu kapitana. Wtedy też zaczął studiować chemię, która była jego wielką pasją. Ukończył Politechnikę Warszawską i podjął pracę w cukrowni w Gnieźnie, a później został wicedyrektorem cukrowni w Żninie.



Feliks Pogorzelski, Toruń 1928 r.,
fot. archiwum W. Makary

- Wspomniała Pani o swoim synu. Czy opowiada mu Pani o losach swojego dziadka?

- Czasem rozmawiamy. Chciałabym, żeby wiedział przynajmniej tyle, ile ja wiem. Należy się to dziadkowi, bo był naprawdę wspaniałym człowiekiem. Babcia zawsze była z niego dumna, mówiła, że był bardzo odważny. Podziwiała go za to. Był patriotą, jakkolwiek patetycznie to dzisiaj zabrzmia.

- Czy mogłaby Pani przybliżyć rodzinę Feliksa Pogorzelskiego?

- Dziadek założył rodzinę dosyć późno. Jak się ożenił miał chyba trzydzieści dziewięć lat. Babcia, Jadwiga Pogorzelska, była cztery lata młodsza. Pierwsza urodziła się moja mama,

¹ Wywiad jest fragmentem zwycięskiej pracy konkursowej napisanej przez Julię Kaczmarczyk w 2015 roku z okazji 75. rocznicy zbrodni katyńskiej. Autorka była wówczas uczennicą drugiej klasy Niepublicznego Gimnazjum w Sztumie.

Hania, w 1934 roku. Później na świat przyszła druga córka Ewa. To właśnie od niej mam większość materiałów. Niestety, ciocia już nie żyje. Najmłodsza córka, Maria, urodziła się we wrześniu 1939 roku, ale dziadek jej nigdy nie poznał, już go nie było. Jak został zmobilizowany, to babcia była w zaawansowanej ciąży. Musiał zostawić całą rodzinę, małe dzieci. Wyjechał i już nigdy więcej nie wrócił.

- Jakie były okoliczności dostania się Pani dziadka do niewoli?

- Walczył w obronie Warszawy i w niewyjaśnionych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej, kiedy Rosjanie po 17 września zaatakowali Polskę. Jako jeńiec wojenny przebywał w obozie w Kozielsku. W tym obozie przebywał od września 1939 roku do kwietnia 1940 roku. 11 kwietnia dziadek trafił do siódmego transportu wywożącego jeńców. Przy dwóch więźniach z tego samego transportu znaleziono notatki, więc wiadomo jak to wyglądało. Transport wyglądał tak, że załadunek więźniów trwał już od rana. Wojskowymi ciężarówkami wozili ich na stację w Kozielsku i umieszczali w pociągu wojskowym, zakratowanym, po sześciu w małych, trzyosobowych celach. Warunki były paskudne. Załadunek trwał do późnego popołudnia. Wieczorem już był gotowy. Ruszyli w stronę Smoleńska, jechali całą noc. Stali tam na bocznicy przez cały dzień i noc. Rano pociąg odjechał do stacji w Gniezdowie. Z tamtego miejsca wywozili ich ciężarówkami do Lasu Katyńskiego i mordowali. Trzynastego kwietnia dziadek już nie żył.

Początkowo babcia tego wszystkiego nie wiedziała. Jak dziadek opuścił Żnin, a Niemcy wtargnęli do miasta, to część ludności została wysiedlona. Babcia trafiła do grupy, która była wywieziona do Nowego Targu, niedaleko Zakopanego. Właśnie wtedy urodziła się ciocia Maryla. Dziadek już tego nie wiedział. Być może dowiedział się, że ma jeszcze jedną córkę z listu, który do niego trafił. Babcia wysłała do dziadka w sumie dziewięć listów, które pozostały bez odpowiedzi. Ten jeden został znaleziony, wraz z wizytówkami i dwoma rozkazami wyjazdu przy dziadku podczas ekshumacji. Babcia nie wiedziała, co się dzieje. Pamiętam z tego, jak z nią rozmawiałam kiedyś, że wrócił do niej w październiku ostatni list, który wysłała w sierpniu. A dziadek już od kwietnia nie żył. Pamiętam taką charakterystyczną kopertę, podzieloną na pół. Był na niej adres zwrotny do Nowego Targu. I było tam chyba napisane, że zmarł na skutek powikłań po zapaleniu płuc. Po ekshumacji „Goniec Krakowski” umieszczał wykaz odnalezionych osób. W którejś z zamieszczonych list znalazło się nazwisko dziadka. Moja mama miała wtedy osiem lat i to pamięta. Opowiadała mi jak babcia to przeżyła, jak zemdląła i przez długi czas nie mogła dojść do siebie. Nie mogła uwierzyć, że to spotkało dziadka.



*Feliks Pogorzelski z córkami, Żnin 1939 r.,
fot. archiwum W. Makary*

- **Czy o wydarzeniach, o których Pani wspomiała, mówiono w Waszej rodzinie otwarcie?**

- Trochę o nich opowiadano. Zawsze chciałam wyciągnąć od babci trochę więcej informacji, ale były to dla niej tak przykre zdarzenia, że nie chciała za dużo opowiadać. Zresztą sama nie wiedziała wszystkiego na pewno. Rosja przyznała się do tej zbrodni, ale babcia zmarła w 1988 roku, miała wtedy dziewięćdziesiąt lat i nie wiedziała tego, co my teraz wiemy.

- **Czy ktoś z rodziny był odwiedzić cmentarz w Katyniu?**

Z rodziny tak, ale moja mama nie bardzo chciała tam być. Teraz już tak, jeśli nadarzy się okazja, to może by się wybrała. Jak będzie miała na tyle sił, żeby tam pojechać.

- **Pani rodzina należy do Federacji Rodzin Katyńskich?**

Do Federacji należała Ewa Pogorzelska, młodsza siostra mojej mamy (zmarła w 2011 roku). Mamy ziemię z Katynia oraz zdjęcia. Kto wie, może i ja kiedyś odwiedzę grób dziadka.

POSTSCRIPTUM

Przede wszystkim bardzo dziękuję za możliwość upamiętnienia dziadka, choćby w tej formie. To dla mnie, dla rodziny bardzo ważne. I nie tylko dla nas. O tym po prostu trzeba przypominać. Bardzo dziękuję Julii Kaczmarczyk, która pięć lat temu, jako uczennica drugiej klasy gimnazjum rozmawiała ze mną. Podziwiałam jej przygotowanie, cierpliwość i takt. Była uważna i skupiona. Pan Adam Langowski wybrał dobrą i mądrą uczennicę.

Ciągle dużo jest niejasności, wiele rzeczy do posprawdzenia, jak choćby to, gdzie i w jakich okolicznościach dziadek dostał się do sowieckiej niewoli. Jestem już na emeryturze, więc nareszcie będę miała na to czas. Udało mi się dotrzeć do kilku znaczących dokumentów z życia dziadka, jego wczesnej młodości, początków pracy zawodowej, różnych listów,



Feliks i Jadwiga Pogorzelscy z córkami – Hanusią i Ewunią. Gniezno 1936 r., fot. archiwum W. Makary

także polecających do pracy, zdjęć. Wylania się z nich obraz pełnego życia, energicznego, odważnego i odpowiedzialnego człowieka, kochającego męża i ojca. Tym większy żal, że nie dane było nam wszystkim cieszyć się jego obecnością. Tworzyli z babcią (później uwielbianą przez nas wszystkich i podziwianą) bardzo dobraną parę, co potwierdzali ci, którzy ich znali. Może dlatego, że było to późne małżeństwo osób dojrzałych i doświadczonych przez lata młodości, która przypadła na czas I wojny światowej. Wspólnym życiem rodzinnym mogli cieszyć się zaledwie 6 lat, gdyż ślub odbył się kwietniu 1933 r., a w 1939 r. dziadek został zmobilizowany, wyjechał i nie wrócił.

Od 9 września 1939 r., kiedy Żnin został zajęty przez Niemców, stopniowo rozpoczęły się wysiedlenia. Kilkaset osób, w tym babcię z niemowlęciem i dwiema córkami, wysiedlono do Nowego Targu. Na spakowanie rzeczy miała kilkanaście czy kilkadziesiąt minut. Przy okazji jeszcze małe sprostowanie. Najmłodsza córka, Maria, urodziła się 13 września, ale jeszcze nie w Nowym Targu, a w bombardowanym wtedy Inowrocławiu.

Opuszczone żnińskie mieszkanie zostało przez Niemców splądrowane, ograbione. Mieszkańcy opowiadali później, że Niemcy wywozili części wyposażenia, meble, sypialnię dziewczynek w całości. Wtedy to, gdyby nie chęć niesienia pomocy, ludzka solidarność i niezwykła życzliwość, wręcz poświęcenie współpracowników ze żnińskiej cukrowni (przede wszystkim rodziny państwa Skibińskich), nie ocalałoby nic, bo cóż można zabrać w daleką drogę z niemowlęciem i jeszcze dwójką małych dzieci? Dzięki wspaniałej postawie tych ludzi, ich inicjatywie, ocalało dla nas wiele rzeczy, m.in. zdjęcia, dokumenty. Nie wiem, jak to było możliwe, ale udało im się także część rzeczy zakopać, dzięki czemu przetrwały i babcia po wojnie je odzyskała. To jedyne i bezcenne pamiątki.



Tabliczka epitafijna z Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu poświęcona Feliksowi Pogorzelskiemu, fot. archiwum W. Makary

Babcia dla nas zawsze była bohaterką. Pełna życia, energiczna, zaradna, pracowita, była nauczycielką. Musiała dawać sobie radę, wychować córki, wykształcić. Zawsze była świadoma tego, że trzeba pamiętać, opowiadać, chciała przekazać nam jak najwięcej, ale przez całe jej życie było to zbyt trudne, temat zbyt bolesny. A żyła 90 lat. Babcia wiedziała, że dziadek zginął w Katyniu, widziała listy ofiar, informowali znajomi, ale było to tak trudne do uwierzenia, że mimo to poszukiwała dziadka jeszcze po wojnie m.in. przez Polski Czerwony Krzyż i Czerwony Krzyż, pisząc do Warszawy, Genewy. Odpowiedzi potwierdzały znane informacje. A w mieszkaniu babci, w Toruniu, odkąd pamiętam, wisiał w widocznym miejscu portret dziadka w mundurze i od zawsze wiedzieliśmy, że zginął w Katyniu, chociaż dopiero z czasem zaczynało docierać do nas, wnuczek, co to naprawdę znaczy.

Wanda Makara, Stary Targ, styczeń - luty 2020 r.



Wanda Makara i Julia Kaczmarczyk podczas spotkania w Bibliotece Pedagogicznej w Sztumie, 6 marca 2015 r., fot. archiwum W. Makary

Dalsza lista zi oficerów

Leszek Sarnowski

Ze szkoły

DO KATYŃSKIEGO LASU

KRAKÓW, 20. 5. — Specjalny wy-

elapny „Telepress“ przebywajacy w Katyniu, przekazał nam z miejsc zbrodni następujące dane:

1023 OZGA Tadeusz, por. wet., ur. 5.9.06 w Brodach.

1024 STARKOWSKI Stefan, ppor., ur. 1898 w Poznaniu. Przy zwłokach znaleziono legitymację sportową.

1025 ZÓLTOWSKI Marceł, por zam. Głuchów, pow. Czempin.

1026 JAKUBOWSKI Jerzy (szczegółów brak).

1027 UBOCKI Ludwik, ppor. Przy zwłokach znaleziono państw. legitymację urzędniczą.

1028 DARMOCHWAŁ Kazimierz, ppor. (szczegółów brak).

1029 GIERLIŃSKI Zdzisław, nauczyciel, por., ur. 12.6.12. Przy zwłokach znaleziono państw. legitymację urzędniczą.

1030 JANOWSKI Jan, por. Przy zwłokach znaleziono dwie karty pocztowe z nadawcą: Janowska Maria, Wilno. Antokolska 12 m. 3.

1031 KUCA Henryk, oficer (stopnia nie ustalono), ur. 1908.

1032 SIKORSKI Henryk, dr med. prof., por. Przy zwłokach znaleziono książeczkę służby oficerskiej i legitymację urzędniczą.

1036 WISNIEC
mundurze, przy
państw. legitym

1037 ŁOBZA
zwłokach znale
urzędniczej.

1038 PENSZ
łów brak).

1039 SPYCH
(szczegółów br

1040 POPIA
(szczegółów br

1041 MOŚCIC
Warszawa, ul.

1042 (n
mundurze. Pr

kalendarzyk kł
Gowdzińska Ka

Czerniaków Mi

jakiegoś nieszc
mie Gowdzińska

Gorzesiewska 3

1043 KACZA
mundurze (szcz

1044 PIOTR
ki w mundurze
no państw. leg

1045 (nl
rucznika. Prz

receptę na naz

1046 CHMIE
por. (szczegółó

1047 RUTKO

Antykwaryjnych polskich

Alfred. Zwłoki w
kach znaleziono
zedniczą.

Wazimierz. Przy
ęść legitymacji

ppor. (szczegó-

Edward, podpor.

Juliusz, por.

Anty, por., zam.
63.

Wane. Zwłoki w
kach znaleziono
wy z adresem:

Warszawa, ul.
ród. W wypadku
prosze, zawiado-
Władysława, ul.

erfan. Zwłoki w
brak).

Stanisław. Zwłoki
kach znaleziono
urzędniczą.

(brak). Zwłoki po-
kach znaleziono
Budzyńskiego.

Stanisław, pod-

Tadeusz, por.

ono marce roz-

pertę z nadawcą: Proswa (?) Helena
mai. Burzdyn, pow. Tczew.

1951 FAŁKOWSKI Józef, por. (szcze-
gółów brak).

1952 TOMASZEWSKI Witold, zwło-
ki w mundurze (szczegółów brak).

1953 OLESZKIEWICZ, ppor. (imie-
nia i bliższych szczegółów brak).

1954 JAKUBOWSKI Stefan, ppor.
Przy zwłokach znaleziono państw. le-
gitymacje urzędniczą.

1955 MICHAŁSKI Stanisław, w muni-
durze, przy zwłokach znaleziono legity-
macje urzędniczą.

1956 TABKO... (imienia brak), por.
Przy zwłokach znaleziono medalion.

1957 OSSOWSKI Władysław Feliks
Zwłoki w mundurze, ur. 20.11.03.

1958 TROCKI Jan, por. lekarz (szcze-
gółów brak)..

1959 (nierozpoznane) ppor.
Przy zwłokach znaleziono notatnik, w

którym znajdowały się słowa: Posia-
dacz tej książeczki Michniewicz Kazi-
mierz. Pabianice pod Łodzią, ul. Brack
12, upoważnia żonę Marie Michniewicz

1960 ELICIN (?) Stanisław, por.
Przy zwłokach znaleziono legitymację
urzędniczą.

1961 MAŁEK Antoni, nauczycie
zwłoki w mundurze, ur. 8.6.08 w Micha-
łowicach, zam. Orłowice p. Łęgów po-
Staszowa.

1962 SKUBISZEWSKI Józef, major
lekarz.

1029. Zdzisław Gierliński, nauczyciel, por., ur. 12.6.12. Przy zwłokach znaleziono państw. legitymacje urzędniczą. „Dziennik Radomski”, 21 maja 1943 r.

Zdzisław Gierliński był jednym z dziewięciorga dzieci Anieli i Romana Gierlińskich, moich pradziadków. Jego starszą siostrą była moja babcia Barbara. Urodził się 12 czerwca 1912 roku w Dakowach Mokrych w powiecie grodziskim, w województwie poznańskim. Po pierwszej wojnie rodzina przeniosła się do Barcina, na pograniczu Kujaw i Pałuk, niedaleko Bydgoszczy. W 1926 roku Zdzisław ukończył tu szkołę podstawową. W 1927 roku rozpoczął naukę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim w Kcyni. W 1933 roku został absolwentem Seminarium Nauczycielskiego w Wągrowcu (w Kcyni zlikwidowano seminarium w 1932).

Po skończonej nauce w 1934 roku odbył półtoraroczne szkolenie wojskowe w 67 pułku piechoty w Brodnicy, zdobywając stopień porucznika. Dowódcą pułku był wówczas płk Mieczysław Rawicz-Mysłowski, który zginął w bitwie nad Bzurą w kampanii wrześniowej. Jego pułk w okresie międzywojennym zasłynął między innymi tym, że w trakcie zamachu majowego stanął po stronie prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Na szczęście pułk nie dotarł do Warszawy, co mogło by zwiększyć liczbę ofiar, bo na przeszkodzie stanął strajk kolejarzy popierających wówczas Józefa Piłsudskiego.

Po zakończeniu szkolenia wojskowego Zdzisław Gierliński rozpoczął swoją pierwszą pracę jako nauczyciel i kierownik szkoły w niewielkiej miejscowości Kabat w okolicach Solca Kujawskiego (dziś to dzielnica Solca Kujawskiego). Mieszkał w budynku przy szkole i prowadził tam swoje gospodarstwo, przy którym pomagały mu często siostry Gabriela i Janka. Z rodzinnych dokumentów wynika, że mimo niewielkiej pensji nauczycielskiej wysyłał raz w miesiącu pieniądze do swoich rodziców w Barcinie, którzy żyli dość ubogo. Bardzo angażował się w życie szkoły, organizował przedstawienia teatralne, a także bale



Zdzisław Gierliński w seminarium nauczycielskim w Kcyni w 1932 roku, fot. archiwum



Zdzisław Gierliński z rodziną na swoim przyszłym gospodarstwie, fot. archiwum



Zdzisław Gierliński ze swoimi uczniami w szkole w Kabacie w 1936 roku, fot. archiwum

integracyjne dla mieszkańców wsi. W niewielkim Kabacie mieszkało wówczas 217 ewangelików i on jedyny katolik. W 1941 roku Niemcy wysiedlili mieszkańców wsi i przeznaczyli ją na wojskowy poligon doświadczalny.

Moja babcia Barbara wspominała, że była bardzo dumna ze swego brata, przede wszystkim dlatego, że jako pierwszy w rodzinie został nauczycielem, bo to świadczyło o wysokim statusie, a w wielodzietnej rodzinie nie zdarzało się to zbyt często. Była też zachwycona, kiedy pojawił się w swoim oficerskim mundurze w domu, wysoki, przystojny, „jak malowany”.

Na czas wojny Zdzisław Gierliński otrzymał przydział mobilizacyjny do 14 pułku piechoty Ziemi Kujawskiej, który stacjonował wówczas we Włocławku. W czasie kampanii wrześniowej 14 pp stał się częścią Grupy Operacyjnej „Wschód”, którym dowodził gen. Mikołaj Bołtuć oraz Armii „Pomorze” kierowanej przez gen. Stanisława Bortnowskiego. Pułk swoją mobilizację rozpoczął 14 sierpnia 1939 roku, a 26 sierpnia wyruszył na miejsce koncentracji w Dębowej Łące, niedaleko Golubia-Dobrzynia.

Zdzisław Gierliński prawdopodobnie dotarł do swojego pułku w miejscu mobilizacji i brał udział w walkach, które nie skończyły się dobrze. Siła niemieckiej armii była przystawiająca. Mimo zaciętej walki całej Armii Pomorze, w tym 14 pp, Wojsko Polskie było zmuszone do ustawicznego odwrotu. Żołnierze mieli swój udział w walkach nad Bzurą. W tym czasie, 17 września, wschodnią granicę Polski przekroczyła armia sowiecka i w obliczu dwóch wrogów kłeska Polaków była kwestią kilku dni.

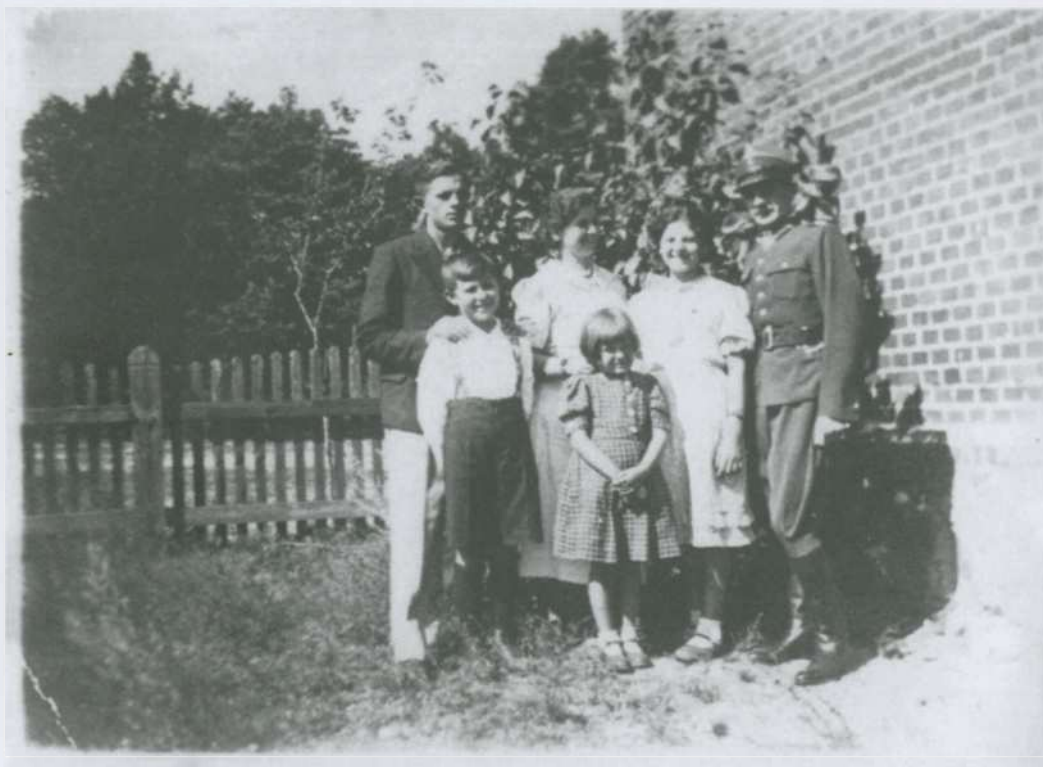
19 września, w obliczu porażki, ostatnie pododdziały 14 pułku piechoty i Armii Pomorze przedzierały się do Puszczy Kampinowskiej. Na linii Sochaczew-Wyszogród pułk właściwie przestał istnieć. Generał Stanisław Bortnowski, dowódca Armii Pomorze, nakazał żołnierzom przedzierać się małymi grupkami do walczącej jeszcze Warszawy. Co się działo



Zdzisław Gierliński, pierwszy z prawej, w trakcie szkolenia wojskowego w Brodnicach w 1934 roku, fot. archiwum

dalej trudno ustalić. Część żołnierzy dotarła do Warszawy i została tam, biorąc później udział w ruchu oporu. Część, w tym także Zdzisław Gierliński, pojedynczo lub drobnymi grupami przedzierała się na południe w kierunku Lwowa. Niektórym udało się przekroczyć granicę i trafić do Rumunii. Spora część żołnierzy trafiła do sowieckiej niewoli. Wśród nich był także Zdzisław Gierliński. Od tego czasu rodzina straciła z nim kontakt, jak się okazało później, na zawsze.

Dalsze losy Zdzisława Gierlińskiego znane są jedynie z polskich i niemieckich gazet z 1943 roku, w których publikowano listę osób odnalezionych w grobach w Katyniu. Z wycinków z niemieckiej gazety „Ostdeutscher Beobachter”, z 15 maja 1943 roku i polskiej gadzinówki „Dziennik Radomski” z 21 maja 1943 roku, wynikało, że w odkrytych wówczas w Katyniu masowych grobach, pod numerem 1029, znaleziono zwłoki Zdzisława Gierlińskiego. Miał przy sobie państwową legitymację urzędniczą, książeczkę wojskową i niewysłaną pocztówkę do rodziny. Skrawki tych artykułów przechowywane były jak relikwie od wielu lat, najpierw przez moją prababcię, babcie, mamę i teraz są u mnie. To właśnie z tych gazet moja prababcia Aniela, po trzech i pół roku braku jakichkolwiek wieści, dowiedziała się o dramatycznym losie swojego syna. Przeżyła to bardzo, tym bardziej, że nie był to jedyny dramat w rodzinie. Dwa lata wcześniej jej dwie, niespełna dwudziestoletnie, córki - Janka i Klara, zostały zabrane przez Niemców z domu i zesłane w głąb Rzeszy na



Zdzisław Gierliński z rodziną w mundurze WP, muzeum katyńskie

roboty przymusowe. Miała początkowo na nie trafić córka Monika, ale w związku z tym, że była bardzo chorowita i słaba, prababcia udała się do niemieckiego urzędu, by zamienić ją na starszą i silniejszą Klarę. Niemcy się zgodzili i jak się okazało później Klara trafiła do porządnej rodziny pod Hamburgiem i przeżyła wojnę. Trudno dziś wczuć się w sytuację matki, która musiała dokonywać takich wyborów. W przypadku syna los był bardziej bezwzględny.

Razem ze Zdzisławem Gierlińskim w Katyniu zostali zamordowani również inni oficerowie 14 pułku piechoty, m.in. por Edward Doroszewski, mjr Stanisław Trojan, ppłk Hugon Mijakowski, ppłk Michał Paszkiewicz. Bardzo prawdopodobne, że w obozie w Kozielsku Zdzisław Gierliński zetknął się także z dziadkiem Wandy Makary (która w tym numerze opisuje jego losy), Feliksem Pogorzelskim. Choć to małe pocieszenie, ale można sobie wyobrazić, że dla polskich żołnierzy ważne było, że w niewoli, mimo oderwania od rodzin, mieli poczucie, że są razem, nie przeczuwając tragedii, która ich czekała.

W mojej małomiasteczkowej rodzinie śmierć Zdzisława Gierlińskiego w Katyniu owiana był tajemnicą. Wszelkie dokumenty, wycinki z gazet, schowane były głęboko w domowych szufladach. Obawiano się komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, który przecież przez wiele lat hołdował wersji, że to Niemcy zamordowali polskich żołnierzy. Dopiero w latach 80. udało mi się odkryć rodzinną historię, niejedyną zresztą.

Pozostały po nim świadectwa szkolne, licealne, świadectwo moralności i kilka zdjęć z seminarium nauczycielskiego, z wojska, z pracy nauczycielskiej w szkole w niewielkim Kabacie, która od czasu wojny już nie istnieje. No i tablice pamiątkowe w Barcinie i Solcu Kujawskim, wystawione przez mieszkańców kilka lat temu. Nie osierocił nikogo, był kawalerem, pasjonatem pedagogiki, niespecjalnie zainteresowany żołnierką. Zginął jako żołnierz, w polskim mundurze, choć nie jak żołnierz, w walce.

Aleksander Solżenicyn, wielki pisarz rosyjski, laureat nagrody Nobla, autor Archipelagu Gulag, więzień sowieckich obozów, pisał przed wielu laty: *Powinniśmy potępić samą myśl, że jedni ludzie mają prawo prześladować drugich. Przemilczając zło możemy spowodować, że powstanie w przyszłości tysiąc razy gorsze, a młodzi ludzie będą przekonani, że zło nigdy nie jest ukarane, a zawsze przynosi korzyści.*

Izabella Nierojewska-Driemel

WIATRAKI MOICH MARZEŃ

Wiatraka się nie buduje, nie wznosi się. Wiatrak zostaje powołany, bierze początek, albo przychodzi. Budować można dom, stodołę, oborę, to co stoi nieruchomo. Wiatrak porusza się, chodzi, pracuje, wydaje dźwięki, mówi, gra, gniewa się, odpoczywa, śpi. Wiatrak żyje, czuje. Jest jak człowiek i tak jak nie ma takiego samego człowieka, tak nie ma takiego samego wiatraka. Każdy wiatrak ma swój charakter - jedyny i niepowtarzalny. Ojcem wiatraka jest cieśla i zawsze potwierdza to znakiem. Wiatrak odchodzi, ginie, a tam gdzie pracował, pozostaje jego mogiła.

Jan Święch, „Tajemniczy świat wiatraków”



Koźlak z DREWNICY autorstwa malarza Daniela Kusła, fot. M. Wiśniewski

Po drugiej wojnie światowej na terenie Polski pozostało jeszcze ok. 5500 wiatraków, a w samym województwie pomorskim (wtedy i elbląskim) - ok. 200. Stały zrujnowane, ogólnodostępne i bez właścicieli. Część w wodzie - po zalaniu Żuław przez opuszczających te tereny Niemców, inne zniszczone przez działania wojenne. Wiele z nich stało na tych mokradłach i po prostu straszło. Na obszary te, zwane Ziemią Odzyskaną, przybyła ludność z całej Polski i Kresów Wschodnich. Była to ludność biedna, zainteresowana tym, by przetrwać w tej krainie błota, mokradła, mgły i wody. Dlatego nie ratowano wiatraków, raczej służyły one jako opał i szybko ginęły z krajobrazu Żuław. Były podpalane, niszczone i rozbierane, jak wiatrak w Mikoszewie w tzw. czynnie społecznym, bo jak tłumaczyła ówczesna władza, ponoć zagrażał ludziom. Tylko niektóre były czynne i miały właściciela, ale w latach 50. odebrano je, bowiem nie mogło być prywatnej własności.

W tym czasie modne były wyjazdy na Kaszuby, nad jeziora i budowanie sobie nad nimi tak zwanych daczy. Z mężem Tadeuszem Tomaszunasem szukaliśmy czegoś innego i zawędrowaliśmy na Żuławę, gdzie uwagę naszą zwróciły domy podcieniowe, zagrody hollenderskie, zwodzone mosty, a przede wszystkim wiatraki. Ta kraina była nam zupełnie obca.

Oglądając płaski krajobraz Żuław ze sterczącymi na niej wiatrakami, bardzo przypominał nam Holandię, w której byliśmy wiele razy, a mąż nawet tam pracował w latach 70., nadzorując remont statku, jako ekspert Polskiej Izby Handlu Zagranicznego. Bardzo lubiliśmy ten kraj, te kolorowe, pracujące wiatraki, pola z tulipanami i zielone łąki nad kanałami, ten spokój i klimat. Dlatego spodobały nam się Żuławę, bo tonęły właśnie w so-



Mebłe do wiatraka zaprojektował mój mąż Tadeusz, fot. archiwum autorki

czystej zieleni łąk, złocistych łąnów zbóż, gdzie można było wszystko objąć wzrokiem, aż po horyzont, znaleźć wyciszenie i spokój, odczuwając całą potęgę natury.

Zamiast budować jakiś domek, czy daczę na niedzielne i wakacyjne wypady, chcieliśmy zakupić dom podcieniowy. Taka była nasza pierwsza myśl i dlatego wiedząc już, że na początku wsi Żuławki znajduje się taki dom podcieniowy i ma jednego tylko właściciela (inne zamieszkałe były przez kilka rodzin), próbowaliśmy dogadać się z nim co do kupna domu. Ale wciąż był pijany i w rezultacie do transakcji nie doszło, więc zdecydowaliśmy, że zakupimy wiatrak w Drewnicy, bliźniaczej wsi Żuławki.

Na końcu Drewnicy stał na wzgórku wiatrak przemiałowy typu „koźlak” z roku 1718, jak się potem okazało, najstarszy wiatrak pobrzeża Bałtyku. Nie miał właściciela, był ogólnodostępny, a okoliczni chłopcy suszyli w nim zboże. Taki stan zastaliśmy, zwiedzając go wtedy. Bardzo się nam spodobał, pomimo tego, że jego śmigły były strzaskane przez wiatr. Jak dowiedzieliśmy się później, nieodpowiedzialni ludzie zwolnili hamulec i podczas wiatru skrzydła poszły w ruch i tak rozkręciły, że się połamały. Część ich poleciała na wioskę, a reszta pozostała na wiatraku. Stał na koźle, to znaczy na skrzyżowanych belkach ustawionych na ceglanej podmurówce, stąd jego nazwa. Miał poszycie drewniane, a jego dach to kadłub odwróconej łodzi, tak bowiem Holendrzy wykorzystywali stare łodzie. Był to więc typowy wiatrak holenderski.

Na Żuławach przeważały wiatraki przemiałowe i wiatraki czerpalne do osuszania Żuław, czasem z tzw. śrubą Archimedesą, ze ślimakiem czerpiącym wodę. Były też paltraki przemiałowe zboża, obracane ręcznie całe budynki na rolkach po szynie, w stronę wiatru. Taki wiatrak był w Lichnowach, też zniszczony na początku lat 70. ubiegłego wieku.

Nasz koźlak był wiatrakiem przemiałowym i podobno pracował jeszcze do 1953 r. Zachowały się w nim częściowo urządzenia, zsypy do mąki. Na drugim poziomie 1/3 wnętrza wypełniało olbrzymie koło paleczne z zębami, a pod nim z prawej strony leżało na podłodze żarno, czyli kamień młyński. Wielki drewniany pal o średnicy półtora metra przechodził przez dwa poziomy pięter. Na nim właśnie wiatrak był obracany ręcznie przez młynarza o 360 stopni wokół osi i ustawiany śmigami pod wiatr za pomocą grubej belki, czyli dyszla wystającego spod poszycia wiatraka.

Zawód młynarza był bardzo ciężki, przekazywany z ojca na syna. Nie każdy się do tego nadawał. Trzeba było mieć predyspozycje, dużą sprawność fizyczną, od młodu zdobywać doświadczenie. Dobry słuch był warunkiem „usłyszenia” wiatraka, jego muzyki. On grał, śpiewał, terkotał, bawił się z wiatrem i ścigał, muzykował.

Ten wiatrak tak nas oczarował, urzekł swoim wyglądem i wnętrzem, olbrzymim kołem palecznym, swoją wielką przestrzenią, zapachem zboża i klimatem, widokami na Wisłę z ganku i okna, na falujące łąny zboża, ukwiecone łąki, skąd niósł się cudowny zapach całej natury, tej krainy miodem i mlekiem pachnącej. Wydawało się rajskiej, bo tak odbieraliśmy to wszystko naszymi zmysłami. Było tak pięknie i sielsko, że wrzeszczało do łez, dlatego chcieliśmy ratować ten wiatrak za wszelką cenę.

Wystąpiliśmy do gminy Stegna o jego zakup, a urzędnicy pukali się w czoło, po co takim z miasta wiatraki? Tłumaczyliśmy.... Trwało to około roku, zanim udało się go kupić. Wia-

trak, to dzieło sztuki mistrza ciesielki, spod którego rąk wychodzi, potem miele, więc żyje, upiększa krajobraz, przyciąga nas, zachwyca, czaruje, a nawet uduchawia, bo jego klimat to oddech minionych lat, dokładnie 302 lat! Jest wiekowy, a taki wciąż piękny.

Czuliśmy go mocno i głęboko, kochaliśmy jak człowieka, pielęgnując go i otaczając opieką, miłością i tą potrzebą wewnętrzną, kiedy ktoś choruje, płacze, żali się i wzywa pomocy, nie pozwólcie, abym runął, umarł. Tak to rozumieliśmy przeznaczając swoje prywatne środki na ratowanie tego wiatraka.

Mąż hobbysta i pasjonat zaczął od wstawienia podwójnych drzwi, pierwszych pełnych z zamkiem siedemnastowiecznym, szyfrowym i wielkim kluczem ok. 30 cm długości, jaki zawsze posiadali młynarze. Były na nim nacięcia do ustawiania zapadek i wtedy można było zamek otworzyć. Drugie drzwi były dzielone, jak w domach podcieniowych, z oknem, aby można było oglądać widoki i czuć zapach łąk. Następnie wykonaliśmy okienka z okienniczkami do wietrzenia wiatraka. Oszkliliśmy okrągłe okienka dla młynarza i wielkie okno z szybą na drugim poziomie, zabezpieczone dużymi drzwiami, też na klucz, po to, aby nikt nie próbował się tamtędy dostać. Wiatrak miał wysokość dwudziestu pięciu metrów. Częściowo wyremontowana została podłoga, a także zęby na kole pałecznym, które to pseudoturyci zabierali na pamiątkę.

Mój mąż Tadeusz zaprojektował meble do wiatraka w taki sposób, aby nie kryły konstrukcji wiatraka. Na pierwszym piętrze był bar z ekspresem do kawy, pod nim lada ze zlewozmywakiem, obok lodówka, szafka i półki, po prawej stronie kuchnia z grillem, szafka



Na pierwszym piętrze wiatraka był bar z ekspresem do kawy, fot. archiwum autorki

i półki, tak jak to w domkach letnich się robi. Doprowadzona była elektryczność i woda. Na drugim piętrze wykonany został wielki i długi stół z drewnianymi, podgrzewanymi ławami i krzesłami z serduszkami. Stały kredensy, ławy, a wszystko wykonane przez fabrykę mebli ludowych w Kartuzach.

Na trzecim piętrze, w naczółku wiatraka już pod samym dachem, była nasza sypialnia z wielkim podwójnym łóżem i szafkami. Wchodziło się tam po drabinie. Byliśmy jeszcze na tyle młodzi, że nie stanowiło to dla nas żadnego problemu. Z okienka sypialni dopiero były widoki... na wstęgę Wisły i uroki wsi, na morze barw i zapachów. Ale woziło nas w tym łóżu na naczółku, odchyły wiatraka przy dużym wietrze wynosiły około metra i więcej, strach czasem brał mnie, że naczółek się urwie z całym łóżem polecę w dół, ale nigdy to się nie stało.

Oczywiście trzeba było wykonać opłotowanie wiatraka z okrągłaków i bramę ciężką z drewna, dwuskrzydłową, jak do saloonu w filmach kowbojskich, bo taka nam się podobała, zamykana na dużą kłódkę. Wiatrak został dobrze zabezpieczony i ubezpieczony w PZU. Wnętrze ozdobiliśmy naszymi zbiorami staroci w postaci lamp naftowych wiszących i stojących, starych zegarów, obrazów, porcelany, garnków mosiężnych, szkła, starej uprząży końskiej z dzwonekami, złotymi talerzykami i kitami z włosia, siódłami. Jeździliśmy wtedy po polach konno, aż do Mikoszewa, wałem nad Wisłą i po plaży także, w odpowiednich strojach do konnej jazdy, czyli w bryczesach, butach i kepi. Chłopi mówili: *Jezu, jakiś to cyrk jedzie? Cy co? Śmieliśmy się z tego.*

Czasami wydawało się nam, że wiatrak żyje razem z nami, śpiewa, pogwizduje, huśta i gotowy jest do zabawy także z naszymi gośćmi, a było ich wielu. Codziennie ktoś przybywał, odwiedzali nas znajomi, rodzice, przyjaciele i różni czasem przypadkowi goście. Były w nim tańce i hulanki do białego rana, bo klimat w nim był niesamowity i do zabawy, i do rozmów, i spotkań, a nawet zaręczyn (dwukrotnie).

Muzykę nadawaliśmy z magnetofonu, były to lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte ubiegłego wieku. Było masę pięknych melodii, które wcześniej nagrywaliśmy na taśmę, specjalnej muzyki do tańca, a rozhuśtany wiatrak tańczył z nami. Czasem obawialiśmy się, że się przekręci i runie, ale nic takiego się nie stało.

Zimą organizowaliśmy kuligi. Nasz woźnica, niestety już nie żyje, szykował dla nas konie, my swoje sanki. Konie gnały w stronę Mikoszewa wałem wiślanym, przy temperaturze -20 stopni, w obfitym śniegu, przy głośnym śmiechu i zabawie. Sanie z gośćmi czasem spadały z nasypu wału, ale zabrany gar bigosu postawiony na głowie, nawet nie wypadł, bo tak było mroźno. Nad samym morzem rozpalaliśmy ognisko i rozgrzewaliśmy bigos, z apetytem pałaszując go razem. Część z nas miała ze sobą łyżwy i szusowała po zamrzniętych jeziorkach rozlanego morza.

Nasi przyjaciele Ilona i Sławek Romanowscy z Drewnicy, lekarze, we wszystkich tych zabawach brali udział. Zjeżdżali do nas także znajomi z Trójmiasta, na tańce w wiatraku, na kuligi, niektórzy z Ławy, Warszawy, Katowic. Latem, jak nie mieli gdzie spać, zawieszali hamaki pod wiatrakiem, inni spali na wszystkich poziomach wiatraka na dmuchanych materacach, nawet w naszym łóżu po kilka osób. Rano jedliśmy śniadanie, a potem jechaliśmy na plażę, nad morze. Wtedy było tam prawie pusto. Piasek biały i gwizdzący pod stopami, bardzo aksamitny i miękki.

Wszyscy pokochali nasz wiatrak, w nim czuliśmy się wolni i szczęśliwi. Jedzenia mieliśmy w bród, a były to ciężkie czasy, ludzie po kości stali w kolejkach, nie było mięsa, a my opływaliśmy we wszystko - wędzone łososie, węgorze i surowe ryby, cielęciny, schaby wieprzowe, szynki, polędwice. Na wsi wszystko można było dostać, a ludzie donosili nam pod wiatrak wszystko, co najlepsze. A jakie było to krowie mleko, nożem można było kroić, a smak prawdziwego zsiadłego mleka pamiętam do dziś, tego mleka już nie ma i tych krów na łąkach wtedy w ilościach nie do policzenia. Poza zabawą szukaliśmy opiekunów i właścicieli dla innych wiatraków, by je kupili i ratowali od zniszczenia.

Pracowałam wtedy (1973 rok) w Spółdzielni Artystów Plastyków w Gdańsku, jako praca ręką inż. arch. Stanisława Michela, mojego asystenta na Politechnice Gdańskiej, na wydziale architektury, potem kierownika SAP. Spółdzielnia powstała specjalnie dla artystów, aby mogli sprzedawać w niej swoje prace, więc zaczęłam ich namawiać, aby kupowali wiatraki, albo domy podcieniowe na swoje pracownie i mieszkania.

Pierwszym artystą, który zainteresował się wiatrakami do wzięcia, był mój kolega Zbigniew Dera, z którym w 1957 roku, w Katedrze w Pelplinie wykonywaliśmy prace konserwatorskie i odtwarzające stare freski na tylnej części ołtarza. Dojeżdżaliśmy razem z Sopotu do Pelplina. Jak zobaczył nasz wiatrak, zainteresował się wiatrakami w Lichnowach, pałtrakiem, młynem przemiałowym, który był w stanie opłakany. Jego poszycie było



Nasz wiatrak był miejscem wielu przyjemnych spotkań towarzyskich, fot. archiwum autorki

poszarpane, powyrywane deski, wewnątrz też widok był smutny. Zbyszek chciał koniecznie go kupić. Nie udało się, bo wiatrak miał kilku właścicieli i nie można było się z nimi porozumieć. W krótkim czasie zniknął z krajobrazu Żuław.

Wtedy podsunęłam Zbyszkowi dom podcieniowy nr 72 w Żuławkach, którego nam nie udało się kupić. Jako uparty Kaszub, dopiął swego i gdzieś po roku starań nabył go. Napracował się przy nim bardzo, bo był bardzo zaniedbany w środku i na zewnątrz. Ale warto było. W roku 1985 Zbyszek otrzymał I nagrodę od Ministra Kultury i Sztuki za to dzieło. Miał w środku piękną pracownię, malował, kopiował obrazy, urządził wewnątrz starymi meblami, lampami, zegarami, które dokupował oraz swoimi obrazami, które tworzył, sprzedawał je i tak żył. Wykonał też piękny ogród wokół domu wraz ze swoją żoną Barbarą, pobudował basen. Bywaliśmy u siebie niemal codziennie. Mam osobistą satysfakcję, że uratowaliśmy ten przepiękny zabytek przed zniszczeniem.

Następnym artystą z mojej Spółdzielni był Bogusław Górecki, którego namawiałam do kupna wiatraka w Palczewie. To wielki holender, posadowiony na wzgórzu, na budynku, kryty drewnianym gontem, z całymi śmigami. Był w dobrym stanie, niedawno jeszcze pracował i miał zboże na mąkę. W środku posiadał wszystkie urządzenia przemiałowe w doskonałym stanie, o czym mówiłam Góreckiemu, że może mieszkać, pracować i zrobić muzeum. I kupił ten młyn. Dotąd stoi. Bardzo się cieszyłam, miałam sukcesy w ratowaniu zabytków. Mój mąż też je miał, bo na bardzo zniszczony, drugi wiatrak szkieletowy w Drewnicy, znalazł opiekuna i sponsora - Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Przy wsparciu konserwator Marii Lubockiej-Hoffman, ten zniszczony wiatrak został odbudowany. To był przepiękny holender, nasadzony na budynku, z obracającą się czapą ze śmigami. Stał nad samą rzeką Szkarpawą, jego wnętrze zaadaptowano na hotel, górną część na pokoje, dół na wielką jadalnię dla gości, a gości było mnóstwo, bo to było bardzo atrakcyjne spędzić urlop w wiatraku, nad rzeką i w pobliżu morza. Wiatrak służył także różnym uroczystościom, odbywały się w nim spotkania, sympozja, zabawy i wesela, jak wesele córki Zbyszka Dery. Pobudowano korty tenisowe, budynek na kajaki, łódzie i sprzęt wodny. Napływ gości był wielki - z Warszawy, z Ministerstwa Zdrowia, zagranicy. Po Szkarpawie sunęły łódzie, kajaki, rowery wodne, był ruch i życie, a także zatrudnienie dla mieszkańców okolicznych wiosek.

W 1978 roku kupiliśmy zabytkowy dom z 1905 roku w Żuławkach. Przez kilka lat z własnych pieniędzy remontowaliśmy go. Oprócz domu, mieliśmy wiatrak, któremu trzeba było wymienić koziół i poszukać starej cegły rozbiórkowej na podmurówkę, bo tylko taką można było zastosować. W tamtych czasach ciężko było z materiałami do remontu. Czasem pojawiały się okazje. Mój mąż pracował w Stoczni Gdańskiej. Kiedy jeden ze statków wjechał w nabrzeże, drewno ze zniszczonego nabrzeża mąż kupił jako rozbiórkowe, właśnie na nogi naszego wiatraka w Drewnicy. Pamiętam, jak przy pomocy holownika transportowano ze stoczni to drewno - olbrzymie, grube bale sunęły przez Głowę Gdańską i Szkarpawę. Było to wielkie wydarzenie dla Żuławek i Drewnicy. Wylegli wszyscy na brzeg rzeki podziwiać to widowisko, bo niewiele się tu działo, nie było kina, ani żadnej rozrywki. My tę rozrywkę im dawaliśmy prawie w każdą sobotę czy niedzielę. Na ścianie zachodniej wiatraka mój mąż wyświetlał na projektorze filmy amerykańskie, wypożyczone

w Ambasadzie Amerykańskiej w Warszawie, o zdobywaniu kosmosu przez Amerykanów, lotach na księżyc statkami kosmicznymi Apollo, ukulturalniając wieś, która wylegała całymi rodzinami na łąki przy wiatraku i leżąc w trawie mogła oglądać nasz świat, czyli cudowną, błękitną planetę, jaką jest nasza Ziemia i cały kosmos w swoim majestacie.

Dobrze też pamiętam, nasz pobyt w Trutnowach pod domem podcieniowym artysty plastyka Daniela Kuffla w roku 1981, kiedy po kupnie tego domu zabierał się do jego remontu. Szczuplutki, młody człowiek, przed gigantyczną pracą remontową. Nie dawaliśmy wiary, że uda się mu podnieść ten dom z ruin. I proszę bardzo, 40 lat minęło, a ten dom podcieniowy jest perełką Żuław, stoi w całej krasie i dzieje się w nim wiele.

Byłam tam, podziwiałam go i wielką pracę jego właściciela, artysty malarza, który tworzy w nim swoje wizje krajobrazu Żuław, na podstawie zachowanych budowli, umieszcza je w obrazie przedłużając ich istnienie, aby nie zniknęły. To prawdziwy malarz żuławski. Zbyszka Derę też namawiałam: maluj pejzaże Żuław, rób to w nakazie chwili, bo to piękna kraina, ale nie miał natchnienia. Za to Daniel je ma i ta wena go trzyma i nakazuje malowanie tylko pejzaży Żuław. Wiele przegadaliśmy z nim dni, wie, czego chce i tak trzymać. Ciesz się to, że wreszcie mamy prawdziwego artystę żuławskiego.

Wracając do naszego kozłaka. Wykonaliśmy wymianę kozła przy pomocy konserwatora zabytków, ale zanim do tego doszło, spławione drewno kilka lat przeleżało pod wiatrakiem. Niestety, śmigła nie udało się z nich zrobić, bo to był koszt nie na nasze kieszenie.

W latach siedemdziesiątych chcieliśmy ratować wszystkie wiatraki w Polsce. Przygotowaliśmy pisma do Wojewódzkich Konserwatorów Zabytków (było wtedy 49 województw) z prośbą o naniesienie na mapy: ile jest u nich wiatraków, jakie typy są tych wiatraków, w jakim są stanie, czy mają śmigła, czy są pracujące i jaki jest ich stopień zniszczenia? Była to robota gigantyczna. Udało się nam uzyskać wiedzę od konserwatorów z 47 województw; było to osiągnięcie duże, bo tych wiatraków okazało się być tysiące, dokładnie pięć i pół tysiąca. Wykonałam dla nich kartoteki. Wiedzieliśmy już, na czym stoimy, odezwali się do nas inni „wiatrakowscy”, bo tak się nazywaliśmy. Pasjonaci-wariaci pisali, zapraszali do siebie, aby zobaczyć ich wiatraki, ale nie było na to czasu. Mój mąż Tadeusz opracował statut Stowarzyszenia Ochrony Wiatraków w Polsce i brał czynny udział, jako członek Towarzystwa Molinologicznego, w sympozjach na terenie całej Europy. Zwiedzaliśmy przy okazji wyjazdów wiatraki w różnych krajach. Było ich wiele, także młyny wodne przemiałowe głównie, ale jak pięknie one były utrzymane, wymalowane, wyblyszczone, bardzo kolorowe i większość pracująca. One śpiewały, terkotały, kłapały, po prostu żyły, budziły nasz zachwyt swoim wyglądem, tak jak wiatraki w Holandii, piękne kolorowe jak ptaki, stały wzdłuż rzeki po kilkanaście sztuk, jak w Kinderdijk 19 wiatraków ruszało śmigłami i pracowało, świstało, grało muzykę na wietrze. To był widok niezapomniany. I to są wiatraki moich marzeń.

Wydawało się nam, że uda się uratować chociaż te wiatraki, które były w pobliżu nas, ale sami byliśmy zajęci remontami i nie na wszystko starczało nam czasu, tym bardziej, że przeżyliśmy dramat. Przybyła do nas Telewizja z Gdańska, aby nakręcić film o naszych działaniach w ratowaniu wiatraków na Żuławach, bo już było o tym głośno. Pokazała wnętrze wiatraka bogato wyposażone w zbiory. Po kilku dniach złodzieje wyłamali szyfrowy

zamek, dostali się do środka, opróżniając ze wszystkich naszych wieloletnich zbiorów staroci. Byliśmy załamani. One też tworzyły nastrój w wiatraku, podkreślały jego specyficzny charakter, upiększały go, wzbogacały. Wiedzieliśmy, że już nigdy nie będzie tam ten sam klimat, nastrój. Bolało to bardzo.

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Ludzie niecni, złośliwi, podli zabrali się do niszczenia wiatraka. Najpierw rozebrali okalający wiatrak płot, chyba na opał, a potem zabrali się za sam wiatrak, wrywając schody, poręcze, cały podest wejściowy do wiatraka, drewniane obitki nóg wiatraka, a potem całe dechy poszycia wiatraka. Mieszkający w pobliżu nazywali nasz ukochany wiatrak „gradobicie”, straszylłem, które im przeszkadza. Dlatego chcieli go zniszczyć, okaleczyć, pozbawić wyglądu, unicestwić lub spalić - najlepiej, aby przestał istnieć. Taki był ich stosunek do tego pięknego obiektu.

Zniszczenia były coraz większe. Już na początku lat 70. zaraz po kupnie, aby nie runął, umocowałam go stalową liną do drzewa. To niegodziwcy ścięli drzewo. Na szczęście ta część grubego pnia utrzymała wiatrak w pionie i do dzisiaj tak jest dzięki mojemu pomysłowi, z którego śmiał się mój mąż, że tak dobrze go zabezpieczyłam, na wieki. A przecież wiatrak ma 3 wieki.

Wiatraki to pomniki naszej kultury, naszej architektury wsi, są świadkami naszej historii, a obojętność i lekceważenie tych obiektów świadczy o niskiej kulturze człowieka. I nieważne, czy są polskie, czy niemieckie, są nasze. To spuścizna pokoleń, którą mamy obowiązek chronić.

Kiedyś napisałam artykuł „Wiatraki umierają stojąc”. Wiatrak w Ostaszewie został podpalony. Przepiękny holender na budynku w Wikrowie miał wspaniałych młodych właścicieli, których znałam. Spłonął podczas ich nieobecności w 2001 roku. Podobnie wiatrak w Jegłowniku pod Elblągiem. Były to dwa olbrzymy, precudownie piękne holendry. Odbudowany przez Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni wiatrak w Drewnicy też spłonął w roku 1989 r. Widziałam w nocy ten pożar z okien swojego domu. To było straszne dla mnie, niedawno odbudowany stał się olbrzymią pochodnią, wszystko odbijało się w rzece. Cały wysiłek ludzi poszedł na marne.

Byłam właścicielką wiatraka przez 38 lat. Podałam się. Nie byłam już w stanie go upilnować, ochronić, wciąż go remontowałam, mój mąż już nie żył, cały ciężar tego wysiłku spadł na moje barki. Bałam się, że go też podpalą, zanim zniszczą zupełnie. „Urzędowali” pod nim wciąż pijacy, albo pary, które kreśliły na nim serduszka i imiona swoich uko-



Ratowanie naszego wiatraka, fot. archiwum autorki

chanych. To jeszcze można było znieść, ale reszty już nie. Pagórek pod wiatrakiem został rozjeżdżany traktorem, który nie chciał zapalić, bo olej zamarzał w silniku. Łatwiej go było uruchomić z górki, a mrozy w tamtych latach były siarczyste. Po to zniszczono też naszą bramę pod wiatrakiem, aby można było zjeżdżać z wiatrakowego pagórka. Niszczony i rozjeżdżany traktorem był mój ogródek pod wiatrakiem, piękne krzewy forsycji, grządki z kwiatami. Wycinano posadzone drzewa, śliwy, morele, orzechy włoskie, które rodziły olbrzymie orzechy o cienkiej skorupie, wiadrami zbierali owoce dla siebie. To wszystko, co robili z naszą własnością, było okrutną zbrodnią.

I co z tego, że byliśmy wtedy prekursorami w walce o ochronę wiatraków i domów podcieniowych, jak gorzki był to wysiłek, bo „chłop i gliździe nie przepuści”, jak w tej piosence kabaretowej.

Obecnie mamy na Pomorzu tylko 4 wiatraki, 2 za Wisłą na Żuławach Gdańskich w Tczewie, kozłak z pięcioma śmigłami, dawna „Harcówka”, obecnie w rękach prywatnych, dlatego jeszcze istnieje. I drugi wiatrak w Pszczółkach, paltrak, też w rękach prywatnych - piękny kiedyś, odrestaurowany, służył jako restauracja.

I „nasz” kozłak, już teraz nie nasz, bo sprzedałam go w roku 2007, architektowi, który kupił też wiatrak w Palczewie, choć nie wiem po co, bo nic z nimi nie zrobił. Stan kozłaka jest po prostu opłakany. Kiedy 2 lata temu przypadkowo był on otwarty w lecie dla zwiedzających gości, zobaczyłam w środku zgniłe, pokryte grzybem, podziurawione podłogi, cały zalany wodą, która ściekała przez przegniły dach na ściany i podłogę, koło paleczne okryte jakimś plastykiem, smród pleśni, zaduch i potworny bałagan, żadnych mebli, wszystko wyprute ze ścian, jakieś dechy leżące, śmieci. Nie ma też zamku szyfrowego w drzwiach, wiszącej lampy na ganku, mebli z Kartuz, baru, kuchni, wielkiego stołu na drugim piętrze, ruina zewnątrz a w środku tylko płakać. Coś potwornego. Zaś nogi wiatra-



Wiatrak typu kozłak z 1718 r. w Drewnicy, fot. Cz. Misiuk

ka to rzeszoto, tak spróchniałe, że pierwszą rzeczą, którą należy zrobić to dach i nogi, potem podłogi, ale moja stalowa lina jeszcze utrzymuje wiatrak, bo stoi, tylko nie wiadomo jak długo.

Pisałam do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w sprawie koźlaka i prosiłam o pomoc w jego ratowaniu w roku 2018. Byłam osobiście z pismem, potem wysłałam drugie z zapytaniem, co zrobiono w tej sprawie, żadnej odpowiedzi, bo nie jestem właścicielem, to nie należy odpisywać, a przecież działam jako obywatel, bo los tych wiatraków nie jest mi obojętny.

One stoją, bo zostały przez nas uratowane. To są ostatnie wiatraki na Żuławach. Po prostu ręce opadają. Powołane służby konserwatorskie nic nie robią, tylko obiecują. Gmina jak zwykle nie ma środków, znam to od pół wieku, więc jak ratować te wiatraki?

W roku 2007 w Nowym Dworze Gdańskim odbyło się sympozjum pod tytułem: „Kraina wiatraków powraca”. Byłam tam jako gość honorowy. Zjechało z kraju i z zagranicy wielu wiatrakowców i powiem, że było to duże wydarzenie, ale było też dużo mów, dużo słów o ochronie wiatraków, o ich budowie od nowa, nawet goście z Holandii i Niemiec radzili jak to zrobić, jak to wygląda u nich, skąd można dostać fundusze, itd. I po tym wszystkim przez 13 lat nic nie zrobiono w tej sprawie i ten tytuł sympozjum powinien brzmieć inaczej: „Kraina upadłych wiatraków nie wróci”.

Podobnie się dzieje z domami podcieniowymi - żadnej pomocy, a są to wielkie obiekty i drogie są ich remonty. Nasi przyjaciele, doktorostwo Romanowsy, kupili taki dom podcieniowy w Żuławkach. Remontowali go od podstaw, wymieniając całe fragmenty ścian, wszystkie okna na modrzewiowe, dach także, kominy, podwaliny domu, bo stała woda w piwnicy. Jakie ilości drewna musieli kupić, przetrzeć w tartaku, na odpowiednie do wymiany elementy? Opisać tego się nie da, co to był za wysiłek i finansowy. Nagrodę od Ministra Kultury i Sztuki dostał, ale robił to i dla siebie, chciał podźwignąć ten dom z błota, bognił, uratował go, a potem sprzedał, bo nie dał już rady utrzymać go. Teraz jest on w następnych rękach pasjonata Mariusza Wiśniewskiego, który od 3 lat „walczy” z nim, czyli remontuje, upiększa, maluje, że dom wygląda jak cukierek, kolorowy bajecznie, domek z piernika. Przyjeżdżają z zagranicy go podziwiać, nawet Japończycy nakręcili o nim i domku film, podkreślając jego nostalgiczne piękno i wiek. Takich ludzi jak Mariusz nam potrzeba, to są następne pokolenia, które chcą ratować ostatnie zabytki Żuław, są przykładem dla innych, tych miejscowych, co je niszczą i nie szanują.



Zakupiony przez nas wiatrak wymagał wiele pracy i pieniędzy, fot. archiwum autorki

W Żuławkach stał dom podcieniowy przy głównej drodze, oczywiście do sprzedaży i do remontu, kupujący chcieli go przesunąć o kilka metrów od szosy, bo poruszające się po niej ciężarówki powodowały rozpad tego budynku przez wstrząsy, mury pękały, dom się zapadał razem z podcieniem. Oglądałam agonię tego domu, trwała ona prawie 3 lata i tylko dlatego, że konserwator nie zgodził się na jego przesunięcie w głąb posesji, bo to zmieni układ ruralistyczny wsi, którego już nie ma. I budynek runął, najpierw oderwał się podcień, pękły słupy podtrzymujące go, a potem skoszony padł cały na ziemię. Widok był okropny, a przecież można go było ratować, miał już nowego właściciela.

Drugi dom podcieniowy po prawej stronie tej drogi, gdzie stał ten padnięty, też niebawem runie, bo słupy ma zniszczone od wielu lat. Budynek jest pochylony, dach pokrzywiony, garbaty, a właściciele biedni, już go nie poratują, nie uchronią przed upadkiem.

Pozostanie dom podcieniowy Mariusza i Katarzyny Wiśniewskich, Zbyszka Dery i Gracjana Kleczewskiego, którego mocno namawiałam, aby wystąpił o fundusze unijne i ratował ten piękny obiekt wewnątrz wsi Żuławki. Dostał jakieś fundusze i remontuje ten swój dom podcieniowy, a też by już padł, bo jego stan był bardzo zły, stał z pozabijanymi deskami oknami, skazany na straty i upadek, pamiętam to dobrze.

Pod koniec lat siedemdziesiątych na tej właśnie drodze pomiędzy Żuławkami a Dworciem, na tej samej linii drogi, stał dom podcieniowy, zupełnie w dobrym stanie, ale jego właściciel zapragnął pobudować sobie nowy budynek i postawił go ścianą murowaną do podcienia, prawie na styk. Podziwialiśmy ten stary dom, był w dobrej kondycji i nawet irytowało to nas, że jego właściciel tak blisko podcienia stawia nowy mur drugiego bu-



Żuławy przypominają nam Holandię, którą odwiedzaliśmy bardzo często, fot. archiwum autorki

dynku... Zrobił to celowo, bo po jakimś czasie, przejeżdżając zobaczyliśmy, że nie ma już słupów podcienia ani samego podcienia, został po prostu on odcięty. Za parę miesięcy po domu podcieniowym nie było już śladu, stał tylko nowy dom. Tak ludność wiejska wykańczała wiatraki i domy podcieniowe i robiła to z pasją. Dlaczego?

A gdzie są służby konserwatorskie, gmina, mają narzędzia, kary administracyjne? One po prostu nie działają. Nie chcą, mimo że są powołane do ochrony dziedzictwa narodowego.

I powstaje zasadnicze pytanie, dlaczego te służby nie działają, jakby to do nich nie należała opieka nad zabytkami, pomoc kupującemu zabytek, bo dla gości zwiedzających wiatraki i domy podcieniowe są one wielką atrakcją i stąd napływ turystów, czyli pieniędzy, gmina tego nie docenia i zamiast środków finansowe skierować na te cenne zabytki i ich ochronę, pozwala i dopuszcza na ich całkowitą rujnację i zagładę. Podobnie konserwator zabytków. Czekają aż wszystko padnie i problem z głowy.

Dlatego tyle domów podcieniowych i wiatraków musiało zginąć, a tylko dzięki prywatnym właścicielom i ich zaangażowaniu w ochronę oraz kupno zabytku, wyłożenie prywatnych pieniędzy, na te domy podcieniowe i wiatraki, one jeszcze istnieją. Gdzie rola państwa, służb konserwatorskich, gminy?

38 lat posiadaliśmy wiatrak w Drewnicy. W 2007 roku musiałam go sprzedać. Może nie ze względu na środki finansowe, ale na te ciągłe remonty i reperacje, a przede wszystkim ze względu na ludzi i braku jakiegokolwiek pomocy konserwatora, gminy, nawet policji. Nikogo to nie obchodziło. Niszczono zabytek 300- letni, tak dla zasady, niech padnie. Taki jest stosunek ludzi, urzędników do zabytków.

Jest to stwierdzenie bardzo smutne i tragiczne w swojej istocie, bo przecież wieki patrzą na nas i dalej w sprawie zabytków architektury wsi, nic nie robi się, a to już ostatni dzwonek. Nie otoczono ich opieką, a mija moje prawie 50 lat bycia i życia na Żuławach! I nic się nie zmieniło.

Idea stworzenia Skansenu Zabytków Żuławskich, którą podniósł u marszałka Województwa Pomorskiego właśnie Mariusz Wiśniewski, jest najbardziej doskonałą formą ratowania tych ostatnich obiektów i otoczenia ich opieką Państwa.



Mariusz Wiśniewski

ŻYWE SKANSEN ARCHITEKTURY DREWNIANEJ W ŻUŁAWKACH I DREWNICY



Dom podcieniowy nr 6 w Żuławkach, fot. Piotr Lemański

Polska przez stulecia, oprócz bycia spichlerzem Europy, stanowiła ważne źródło pozyskiwania drewna na cele budowlane. Jeszcze w XVIII w. lasy pokrywały blisko połowę naszego kraju. To naturalne bogactwo powodowało, że drewniane budownictwo dominowało u nas aż do końca XIX wieku. Budulec pozyskiwano z rozmaitych gatunków drzew, które spławiano w najdalsze zakątki kraju, np. na słabo zalesione Żuławy. Najczęściej używano drewna drzew iglastych - sosny, jodły i świerku.

Osobne miejsce zajmuje budulec naszego domu podcieniowego nr 6 w Żuławkach. Modrzew, bo o nim tu mowa, i pozyskiwane z niego drewno, znacznie bardziej żywiczne i wytrzymałe od sosnowego, uznawano za najtrwalsze, odporne na działanie grzybów, wilgoci, a nawet - jak niektórzy wierzyli - na działanie ognia. Stosunkowo niewielkie jego zasoby powodowały, że używano go rzadziej, najczęściej w budowlach wyjątkowo okazałych i to wyłącznie w elementach ważnych pod względem konstrukcyjnym lub reprezentacyjnym, takich jak podciągi, belki stropowe czy portale. U nas, ale także w wielu innych domach podcieniowych na Żuławkach, modrzew występuje w każdym elemencie, łącznie ze stolarką. Prawdopodobnie przed ponad dwoma wiekami spłynął setki kilometrów Wisłą aż z dalekiego południa, bowiem przede wszystkim rósł w górskich częściach kraju.

No i tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Mieszkając w naszym domu, szybko poczuliśmy nie tylko jak wyjątkowy jest ten budulec, ale również uświadomiliśmy sobie, że te piękne drzewa przed ścięciem, sezonowaniem i spławieniem, za swojego „życia” mogły oglądać Polskę Stefana Batorego, a może nawet Jana Olbrachta. Podobnie jak budulec niegdyś ciężko pracującego wiatraka przemiałowego typu koźlak z 1718 r. w Drewnicy, który mimo że ma status najstarszego tego typu obiektu na całym pobrzeżu Bałtyku, dzisiaj gnije od wilgoci. Albo zagrody holenderskiej „nr 125” w Drewnicy, która tańczy na wietrze, krzywi się i niedługo upadnie na żuławskim parkiecie umierającej architektury. Nasz najbliższy sąsiad, czyli po „żuławsku” Nachbar - dom podcieniowy „nr 32/33” w Żuławkach to dogorywające na naszych oczach modrzewiowe architektoniczne cudo, niegdyś najpiękniejszy dom na wsi. Prawdopodobnie podzieli los dwóch innych sąsiednich domów podcieniowych - domu „nr 43” w Żuławkach i podcienia w Izbiskach.

Drewno niestety ma jedna przykrą właściwość - zawilgocone traci swoje właściwości w błyskawicznym tempie. „Grzyb i robak” zjadają dom kawałek po kawałku, a kiedy dojdą do belek, jętek i krokwi, wtedy dom składa się niczym zamek z kart. Oczami wyobraźni widzę właśnie podcień domu nr 32/33 złachany, leżący na ruchliwej ulicy. Nieustanny ruch aut, brak jakichkolwiek remontów praktycznie od 50 lat, codziennie uśmierca ten dom, jeden z czterech zachowanych w naszej wsi. Niedawno jeszcze było ich pięć. Ale piątego już nie ma... Zginął w ten sam sposób w 2011 r. Jego śmierć niczego nas nie nauczyła.



Dom gburcki nr 37 w Żulawkach, fot. Piotr Lemański



Dom podcieniowy nr 32-33 w Żulawkach, fot. Piotr Lemański



Dom podcieniowy nr 64 w Żulawkach, fot. Piotr Lemański



Dom podcieniowy nr 75 w Żulawkach, fot. Piotr Lemański

Wieś Żuławki z sąsiadującymi Drewnicą i Przemysławiem i tak mają wyjątkowe szczęście. Na tle wielu żuławskich wsi to właśnie tutaj wciąż możemy mówić nie tylko o rekordowo licznie zachowanych zabytkach, ale też o fenomenie prywatnego zaangażowania, które zaowocowało rewitalizacją aż 4 domów podcieniowych oraz zagrody gburskiej wraz z XIX-wiecznym spichlerzem. Należałoby do tego dodać wiele pomniejszych obiektów. Łącznie możemy mówić o kolejnych kilkunastu zabytkach drewnianej architektury, które zostały wyremontowane wyłącznie przez prywatnych właścicieli. Wszystkie niestety na tle kontrastujących żółtych fasad, betonowych wysokich ogrodzeń, fabryki zlewów, wszechobecnych tuż, gęsto posadzonych świerków oraz krzykliwych i pstrokatych reklam. Brak „gospodarza” widać gołym okiem.

Czasami ogarnia mnie rozpacz, zwłaszcza kiedy wstaję rano i oglądam kolejne dziury w dachu sąsiadującej z nami obory. Nasz dom, tak jak inne domy podcieniowe, był częścią sporej zagrody. W naszym przypadku było to 66 ha terenów uprawy buraka cukrowego i pszenicy, obora na 40 krów, 1200 m² drewnianej stodoły oraz szachulcowy spichlerz z wozownią i warsztatem na parterze. Do tego zespół parkowy i mały przydomowy ogród. A po drugiej stronie rozległe pastwiska. Co z tego pozostało? Spichlerz i obora poszły na opał, bo przecież „trudne czasy były”. Ceglanej obory nie dało się spalić, ale w latach 90. zdarzali się i tacy, co zaczęli wycinać drewniane elementy konstrukcji dachu. Dziś obora, częściowo bez poszycia, pełna jest flory i fauny. Niszczycze niemal z każdym większym wiatrem. Próbowaliśmy rozmawiać z właścicielami o uratowaniu jej. Syndrom psa ogrodnika jednak zwyciężył. Musimy oglądać ten smutny serial dalej.

W tym momencie dochodzimy do kolejnego wniosku. Nie możemy bazować wyłącznie na prywatnych miłośnikach żuławskiej architektury. Oni zrobili już swoje. Dera, Romanowski, Kwiatkowski, Kleczewski, Tomaszunas... to w mojej ocenie prawdziwi, często niedoceniani bohaterowie.

Wiejska gmina Stegna, na terenie której znajdują się Żuławki i Drewnica, nie powinna być jedynym partnerem do rozmów o ratowaniu kultury materialnej Żuław; zadania własne gminy, czyli utrzymanie szkół, budowa infrastruktury oraz rozwój turystyki nadmorskiej to jej priorytety. Starostwo? Chyba prędzej. Ale czy jest ono w stanie rozwiązać choć część naszych bolączek? Pieniądze i sprawność organizacyjna to już jednak województwo, a konkretnie urząd marszałkowski. I ta właśnie droga wydaje się najlepsza, bo właśnie na tym poziomie możemy liczyć na zrozumienie naszej troski o przyszłość otaczającej nas - z dnia na dzień coraz uboższej - architektonicznej żuławskiej schedy. Zaangażowanie urzędu w ratowanie podobnego nam drewnianego dziedzictwa na przykładzie podsłupskiej „Krainy na kratę” w Swołowie przyniosła bowiem nadszpiegowanie dobre efekty w postaci żywego skansenu.

Nasze Żuławki wraz z Drewnicą to właśnie takie żuławskie Swołowo.

Trzeba jednak podkreślić, że jest to ostatni dzwonek, aby „uswołowić” Żuławki. A „uswoławiać” mamy co: rewitalizacja Koźlaka i zagrody holenderskiej w Drewnicy oraz domu podcieniowego nr 32/33 w Żuławkach to pierwszy krok. Te XVIII-wieczne zabytki wymagają szybkiej interwencji z uwagi na zły stan techniczny, lokalizację i charakter. Następnym ruchem powinny być rekonstrukcje domu podcieniowego w Żuławkach nr 43 oraz wia-

traka typu holender w Drewnicy, które mogłyby być uzupełnieniem projektu Pętla Żuławska. Później należałoby się zastanowić nad infrastrukturą wokół dawnej twierdzy „Gdańska Głowa”, która ma potencjał, aby być żuławskim „Grunwaldem”. Równolegle powinniśmy popracować nad krajobrazem i charakterem wsi w kierunku promowania nasadzeń innych niż tuje czy iglaki, likwidacji wysokich betonowych ogrodzeń, krzykliwych reklam i wspierania przez gminę budownictwa tradycyjnego poprzez zwolnienia z podatków od nieruchomości dla nowych budynków, które będą powstawały w technologii i stylistyce nawiązującej do architektury żuławskiej.

Społecznicy jako wyłącznie ciało doradcze, które jest na miejscu i może zasugerować priorytety, gmina Stegna jako partner strategiczny oraz doświadczony marszałek jako lider to trio idealne, aby Żuławy doczekały się w końcu swojego skansenu. I to nie „pudrowanej” makiety, tylko prawdziwego, żywego skansenu, w którym można będzie zaprezentować łącznie, co najmniej 20 obiektów.

Odbiór tych pomysłów jest pozytywny i skutkuje coraz głośniejszym mówieniem o skansenie w Drewnicy, Żuławkach. Mamy już za sobą bardzo cenne rozmowy z Agnieszką Kowalską, Ewą Dąbską, Józefem Sarnowskim, Krystyną Wróblewską, Leszkiem Sarnowskim, Magdaleną Pramfelt, Zbigniewem Ptakiem, Władysławem Zawistowskim, Krystyną Wróblewską, Beata Jaworowską i Renatą Wierchołowską. Nie do przecenienia jest też życzliwe wsparcie redaktora Pawła Rogalskiego z TVP, który od początku wspiera ideę skansenu. Na koniec wsparcie moich działań przez sąsiadów - Wolfganga Naujocksa, Radosława Kubusa, Agnieszki Kleczewskiej oraz „aptekarzy” - Anny i Tomasza Sosnowskich. Przed nami kolejne uszczegóławianie tematu, głównie z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków oraz z Narodowym Instytutem Dziedzictwa. Najważniejsza jest jednak wola polityczna i chęć wejścia w projekt, który finalnie może być trzecim co do wielkości projektem na Żuławkach, po zabezpieczeniu antypowodziowym i Pętli Żuławskiej. To może być olbrzymi projekt Marszałka Województwa Pomorskiego, Wójta Stegny, mieszkańców Żuławek i okolic oraz całych Żuław.

Należy w tym miejscu przypomnieć, że sam pomysł jest dosyć stary, bo już w połowie lat siedemdziesiątych miała miejsce na Żuławkach dyskusja na temat skansenu „in situ”. Z inicjatywą wystąpiła wówczas p. Maria Łubocka-Hoffmann z WKZ w Elblągu. Już wtedy poważnie rozpatrywano Żuławki z Drewnicą w kontekście lokalizacji projektu. Od tamtego czasu minęło niestety blisko pół wieku. Z drugiej strony mamy jednak teraz trochę „lepsze czasy” związane chociażby z doświadczeniami Urzędu Marszałkowskiego, programami rewitalizacji zabytków, dostępem do nowych technologii itd. Technicznie przeszkód nie ma. Jest też większa świadomość problemu i przede wszystkim chęć pomocy.

Osobiście sądzę, że te podstawowe założenia zrealizujemy, bo dyskusja na temat żywego skansenu w Żuławkach i Drewnicy połączona z zagospodarowaniem terenu i tematu Gdańskiej Głowy to koniec z rozdrobnieniem działań i myśleniem poprzez pryzmat indywidualnych priorytetów. Jeśli chcemy widocznych efektów, wykorzystania potencjału, jaki drzemie szczególnie w tych obu wsiach, musimy najbliższe lata skupić na tym, aby krok po kroku realizować przedstawione powyżej pomysły. Bez konferencji, miliona spotkań i dyskusji o ograniczeniach. Wiemy, co robić, czas się wziąć do roboty.

Wiesław Olszewski

CEGLANA ZAGRODA

Ta myśl zaczęła kilka lat temu natrętnie burzyć spokój państwa Lili i Wiesława Kollerów z Powaliny koło Nowego Dworu Gdańskiego. Można by to odebrać jako zaprzeczenie będącej ludową mądrością maksymy: „Od przybytku głowa nie boli!”. Nie zawsze. Weszli w posiadanie dwu gospodarstw rolnych, po rodzicach każdego z nich. Obydwa zadbane, z solidnymi budynkami, bo rodzice byli pracowici i gospodarni, dbali, remontowali, budowali. W dwóch domach mieszkać jednocześnie nie sposób, więc jeden musiał się wyludnić. Dom nie lubi pustki, bez ludzi przestaje żyć, marnieje, popada w ruinę a z czasem i w zapomnienie. W ten sposób ginie i pamięć o ludziach, którzy go budowali, żyli w nim, był dla nich ważny przez dziesiątki lat. Tęgo Kollerowie zdecydowanie nie chcieli. Pojawiło się wiele pomysłów, jak ratować dom.

- Wiele podróżyowaliśmy, zwiedzając muzea, skanseny, izby pamięci i regionalne, to nas zaczęło fascynować - wspomina Pani Lila. Urzekła ich dbałość o zachowanie kultury i tradycji.

- W pewnym okresie życia człowiek zaczyna sięgać do swych korzeni, wspominać to, co minęło, a ja w tym domu nie tylko się wychowałem, ale i urodziłem - dodaje pan Wiesław.

Po długich rozmowach, także z synem Emilem, zdecydowali utworzyć prywatną izbę regionalną. Nazwali ją „Ceglana Zagroda”. Nazwa nawiązuje do solidnych zabudowań z 1932 roku zbudowanych z czerwonej cegły. Z pomocą rodziny i przyjaciół: Lewickich i Cieszkowskich, wykonali prace adaptujące dom do nowego życia. Nie bez wpływu na podjętą decyzję okazały się zainteresowania pana Emila. Rozwijając swoją ciekawość przeszłością Żuław i dziejami własnej rodziny, jeszcze jako licealista, został laureatem konkursu „Żuławy - mozaika wielu kultur”, który zorganizowało stowarzyszenie „Kocham Żuławy”. Informacja o konkursie i jego zwycięzcach pojawiła się również w kwartalniku „Prowincja”¹.

„Ceglana Zagroda” położna jest w miejscowości Powalina. „*Powalina (niem. Walldorf), miejscowość położona na obszarze Wielkich Żuław Malborskich, w środkowej części gminy, oddalona ok. 4 km od miasta Nowy Dwór Gd. Wieś założona na początku XVIII wieku przez osadników ołęderskich*” (Wikipedia). Więcej o miejscowości i jej historii można znaleźć w „Katalogu zabytków budownictwa holenderskiego w Polsce”², gdzie możemy przeczytać: „Wieś założona po wycięciu rosnącego tu lasu nowomiejskiego³ ok. 1715 roku, rozlokowana po obu stronach traktu z Nowego Dworu do Marzęcina, noszącego nazwę Schwartze Tam i Winter Bahn; [...] w 1820 roku na 130 mieszkańców 127 było mennonitami, petycję z 1868 roku⁴ podpisali Joann Epp i Dietrich Wiebe. W 1885 roku wieś liczyła

¹ „Prowincja”, Kwartalnik Społeczno-Kulturalny Dolnego Powiśla i Żuław, nr 1 (19) 2015, str. 191.

² <http://holland.org.pl/art.php?kat=obiekt&cid=420>

³ Lasy Nowego Miasta Elbląga.

⁴ Petycja wystosowana do władz pruskich w sprawie zwolnienia młodych mennonitów z poboru do armii pruskiej.



341 ha, 40 domów, obok 223 katolików i ewangelików mieszkało 117 mennonitów. Układ przestrzenny wsi - jednodworcza na terpach po obu stronach drogi Marzęcino - Nowy Dwór Gdański. Łańcuchówka przywalała po północnej stronie Kanału Różewo oraz po wschodniej stronie lokalnej drogi łączącej rejon przywalała z zabudową przy drodze nowodworskiej. Krajobraz kulturowy wsi tworzą: czytelny układ terpów, rowów melioracyjnych i polderów...

Zagroda ulokowana jest w bliskości Kanału Panieńskiego, atrakcyjnego a mało uczęszczonego szlaku kajakowego Żuław. W odległości kilkuset metrów przebiega też żuławski odcinek Pomorskiej Drogi Szlaku Świętego Jakuba. Budynki stoją w miejscu wcześniejszej, zapewne drewnianej zabudowy.

W dwóch izbach na parterze znajdują się ekspozycje. Jedno z pomieszczeń poświęcone jest rodzinie właścicieli z obojga stron, przybyłych na ziemię odzyskane w 1946 i 1947 roku z Lubelszczyzny i Warmii. Można tam zobaczyć np. 100 letnią chustę babci, narzędzia stolarskie dziadka przywiezione z robót przymusowych w III Rzeszy; meble (toaletkę, skrzynię posagową, kredens kuchenny, stół) otrzymane od państwa M. i M. Antasów, przybyłych na Żuławę z Podkarpacia, krewnych właścicieli.

Drugi pokój zawiera pamiątki po mieszkańcach sprzed roku 1945. Była właścicielka wraz z córkami i wnuczkami odwiedziła swój dawny dom na początku lat dziewięćdziesiątych. W izbie znajdują się między innymi: szafa, toaletka, maszyna do szycia, album na zdjęcia, które kiedyś były jej własnością. Na uwagę zasługuje również zbiór butelek fabryki Stobbe z Nowego Dworu Gdańskiego (Tiegenhof), porcelana użytkowa i dekoracyjna oraz inne elementy wystroju wnętrza, które warto obejrzeć.

Gospodyni o każdym przedmiocie potrafi barwnie opowiadać. Strudzony turysta może zatrzymać się w saloniku holenderskim i wypić napój przygotowany z owoców, herbatę lub kawę.

Nie jest to jedyna pasja państwa Kollerów. Lilla maluje, uczestniczy w plenerach, organizuje je także sama w swojej „Ceglanej Zagrodzie”. W ślady mamy poszedł syn Emil, który w wolnych chwilach również bierze pędzel do ręki. Miłością Wiesława są stare motocykle, cały wolny czas wypełnia mu ślęczenie nad przywracaniem im dawnego blasku. Rodzinnie uczestniczą w zlotach miłośników zabytkowych pojazdów w kraju jak i poza granicami.

„Ceglana zagroda” to miejsce pozytywnej energii. Państwo Kollerowe pragną organizować kameralne spotkania, popularyzujące ludzi z pasją z naszego regionu i nie tylko. Są otwarci na współpracę.

Zdjęcia wnętrza „ceglanej zagrody” z archiwum Państwa Kollerów

Krystyna Błaszczyk-Ryszkowska

Zacząło się od KOMISJI OPIEKI NAD KSIĄŻKAMI

Dlaczego na ścianie nowo otwartej biblioteki Kwadro w Sztumie znalazł się cytat z listu Kazimierza Moczarskiego, autora „Rozmów z katem”, napisanego do żony?

Biblioteka publiczna, z której korzystają od 1947 roku sztumianie, zmieniała przez lata swoje siedziby i szyldy, pod którymi działała: m.in. Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Sztumie, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Sztum i Biblioteka Sztumskiego Centrum Kultury. Ale na jej historię składają się przede wszystkim ludzie i książki...

Zacznijmy naszą opowieść od początków. 20 kwietnia 1945 roku wraz z przybyciem do Sztumu Pełnomocnika Obwodowego Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej Romualda Marmurowicza rozpoczyna się organizacja polskiej administracji i przejmowanie władzy na tym terenie z rąk sowieckich władz wojskowych. Zniszczone w 30 procentach miasto jest pozbawione energii elektrycznej i wody. Nie ma połączenia kolejowego (rozebrano tory) z Kwidzynem i Malborkiem. Na ulicach, mimo styczniowej ucieczki ludności przed zbliżającą się Armią Czerwoną, częściej słychać mowę niemiecką niż polską. W maju w Sztumie przebywało 676 Polaków i 901 Niemców.

Wiele problemów do rozwiązania ma polska administracja - od zapobieżenia epidemii tyfusu, grabieży mienia, po przyjmowanie polskich osiedleńców i zaopatrzenie w żywność. Aż trudno uwierzyć, że w tych warunkach już w czerwcu zorganizowano w Sztumie uroczyste obchody Dni Morza, których częścią było wystawienie przez amatorów jednoaktówki „Radosne powitanie”. Po wojennym kataklizmie ludzie potrzebowali nie tylko dachu nad głową, bezpieczeństwa, ale także zaspokojenia innych potrzeb - kulturalnych czy też zwykłej rozrywki. Także ucieczki w inny świat, ten utrwalony na kartach książek.

Nie dziwi zatem, że już 6 sierpnia 1945 roku powstała Powiatowa Komisja Opieki nad Książkami. Oddelegowano do niej z Urzędu Pracy trzy osoby, które miały za zadanie zabezpieczenie i rejestrację książek znajdujących się w Sztumie i okolicy. To był zarazem początek gromadzenia zbiorów dla mającej powstać biblioteki.

Według stanu na dzień 10 lipca 1946 roku tak zgromadzony księgozbiór liczył 703 tomy. Nie zachowały się, niestety, wykazy, dzięki którym można by zorientować się w jego zawartości. Ile było pozycji w języku polskim? Co udało się ocalić z przedwojennych biblioteczek polskich towarzystw i polskich zbiorów prywatnych? Ilu było czytelników i wypożyczeń? Czy była to już w tym czasie biblioteka publiczna? Wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi.

„Niech żywi nie tracą nadziei
i przed narodem niosą oświaty kaganiec“
J. Słowacki

Do
wszystkich mieszkańców ziemi sztumskiej

OBYWATELE!

Od kilku miesięcy uruchomiona została w Sztumie BIBLIOTEKA PUBLICZNA, która nie jest jeszcze dostatecznie zaopatrzona w książkę polską

Ofiarując książki przyczynicie się do szerzenia oświaty i polskości na Ziemiach Odzyskanych, do poznania piękna języka ojczystego i pogłębienia ducha narodowego.

Dobra książka w chwilach wolnych od pracy stanowi uczciwą rozrywkę, a jednocześnie kształci i wychowuje, powinna ona dotrzeć do każdego domu, do każdej wiejskiej zagrody. Pomoc w rozpowszechnianiu i udostępnieniu książki ludności miast i gmin będzie pięknym dowodem uświadomienia obywatelskiego, dowodem chęci współpracy na każdym odcinku życia w odbudowie Państwa Polskiego.

Pamiętajcie o tym, że na Ziemiach Odzyskanych brak Polskiej książki!

I dlatego apeluję do Was Obywatele
abyście składali ofiary w postaci książek polskich!

Książki – dary przyjmuje Biblioteka Powiatowa w Sztumie (Miejski Dom Kultury, Reja 9) w dni powszednie od godz. 14⁰⁰ do 17⁰⁰ w sobotę od godz. 13⁰⁰ do 15⁰⁰

Przewodniczący Wydziału Powiatowego
STAROSTA
(JÓZEF GRODNICKI)

TAKIE BYŁY POCZĄTKI

„1 czerwca 1947 roku po objęciu kierownictwa przez panią Ninę Sawicką biblioteka powiatowa rozpoczęła swoją działalność” - taka adnotacja, zrobiona 40 lat później widnieje w księdze pamiątkowej sztumskiej księżnicy. Wydaje się, że to bardzo prawdopodobne, bo znajdujemy potwierdzenie tego faktu gdzie indziej. W 1948 roku starosta sztumski Józef Grodnicki zaapelował do mieszkańców o przekazywanie darów książkowych: „Od kilku miesięcy uruchomiona została w Sztumie BIBLIOTEKA PUBLICZNA, która nie jest jeszcze dostatecznie zaopatrzona w książkę polską.”

Pierwszą powojenną bibliotekarką z kwalifikacjami była Nina Sawicka.

- Miała wtedy ok. 50 lat. Przybyła na te tereny z Kresów Wschodnich wraz z matką. Wprowadzała mnie do pracy i przygotowała na kurs bibliotekarski w Jarocinie - wspomina Danuta Góra. - Potem panią Ninę (1952 rok) oddelegowano do pracy w Wojewódzkiej Bibliotece w Gdańsku, gdyż bardzo potrzebni byli pracownicy z dobrym przygotowaniem i doświadczeniem. Zamieszkała z matką w Gdyni.

Oprócz Biblioteki Powiatowej była też Biblioteka Miejska. Najpierw kierowała nią Anna Szlagowska, potem (w latach 1947-1958) Irena Hoffmann. Z jej relacji wynika, że pierwotnie miejska placówka mieściła się przy ulicy Baczyńskiego, obok nieistniejącego dziś budynku Miejskiej Rady Narodowej (ul. Mickiewicza). Lokal był mały, dość ciemny i ogrzewany piecem kaflowym. Administracyjnie biblioteka ta podlegała Wydziałowi Kultury i Sztuki Powiatowej Rady Narodowej, którego to kierownikiem był Czesław Wieczerzycki.



W 1963 roku Biblioteka Miejska otrzymała pomieszczenia w nieistniejącym dziś domu przy ulicy Mickiewicza (obecnie w tym miejscu znajduje się budynek ZUS), fot. Henryk Lipski

- Z jego inicjatywy zostałam wysłana na szkolenie do Jarocina, gdzie był Państwowy Ośrodek Kształcenia Bibliotekarzy. Mieścił się w pałacyku z pięknym ogrodem. Słuchacze byli bardzo różni - od młodych tuż po maturze po starsze panie - napisała w swoim wspomnieniu pani Irena.

OSZUST „MILIONER”

Księgozbiór biblioteki był mało ciekawy, przypadkowy, a przy tym bardzo zniszczony. Na dodatek nadszedł taki okres, gdy przyszedł odgórny nakaz, aby wycofać książki przedwojenne, zdaniem władz - nieodpowiednie. „Z żalem pakowałyśmy te książki, czasem co ciekawsze zatrzymywałyśmy”.

Zakupy nowych książek odbywały się niezwykle rzadko, a i wybór niewielki. „Przeważali autorzy ze Związku Radzieckiego - wspomina pani Irena. - Pamiętam, że była taka książka pt. „Milioner”. Czytelnicy chętnie po nią sięgali, zwabieni tytułem, ale szybko odnosili, bo była to historia... kołchozu. Biblioteka dostawała też książki w Warszawy, porządnie oprawione, z drukiem na cienkim papierze. Zazwyczaj była to propaganda, dzieła Lenina, Stalina i innych komunistycznych propagatorów komunizmu.

W tym okresie książki nie miały kart katalogowych, obowiązywał katalog autorski. Bibliotekarki starały się ratować podniszczone i stare książki przy pomocy kleju żytniego i szarego papieru. „Potem nastąpiły lepsze czasy, bo w [sztumskim] Zakładzie Karnym powstała pracownia introligatorska”. Pani Irena wspomina, że nie lubiła tam chodzić, szcęk zamykanych bram wywoływał u niej lęk.

„Po remoncie budynku przy ulicy Reja, gdzie znajdowało się kino i dom kultury, przeniesiono Bibliotekę Miejską do dwóch dużych pomieszczeń. Na drugi etat zatrudniona została pani Domańska, która miała ona zmysł artystyczny i ładnie przystroiła bibliotekę, a po niej pracowała ze mną Maria Trautsołt, starsza pani, oddana książkom i czytelnikom”.

Poprawa warunków lokalowych wpłynęła na większe zainteresowanie pracą biblioteki. Oprócz cotygodniowego czytania bajek dzieciom, organizowano też spotkania autorskie, m.in. z Aliną i Czesławem Centkiewiczami, pisarzami i podróżnikami.

„Bardzo miło wspominam pracę w bibliotece i pracę z panią Danutą Górą, która wtedy była kierownikiem Biblioteki Powiatowej. Żałuję tylko, że w czasie powojennym czytelnicy mieli mały wybór dobrych książek” - kończy wspomnienia Irena Hoffmannowa, która wyjechała ze Sztumu w 1958 roku.

Danuta Góra była kierownikiem Biblioteki Powiatowej od października 1952 do sierpnia 1957 roku. - Placówka zajmowała się wypożyczeniami dla bibliotek znajdujących się na terenie powiatu. Wymiana książek odbywała się za pośrednictwem poczty lub przyjeżdżali po nie bibliotekarze. Z biegiem czasu książki pozostały w bibliotekach wiejskich.

Pracownicy często zmieniali się, co było dość dużym utrudnieniem, bo wykwalifikowanej kadry ciągle brakowało. W ciągu trzynastu lat (lata 50 i 60) rotacyjnie pracowało ponad 60 osób. Jedynie w Ryjewie, Starym Targu i Tywężach sytuacja była dobra, ponieważ bibliotekarzami byli miejscowi nauczyciele.

ZGRANY ZESPÓŁ

Janina Ludwik rozpoczęła pracę w bibliotece miejskiej w 1961 roku, wiążąc się z nią do emerytury.

- Angaż otrzymałam z rąk Czesława Wiczerzyckiego, kierownika wydziału kultury w powiecie. Moją bezpośrednią szefową była Maria Trautsolt, osoba niezwykle sumienna, skrupulatna i zasadnicza. Pamiętam, że nawet czytelnicy czuli przed nią respekt. A ja zaczynałam swoją „karierę” zawodową od okładania książek w szaro-bury papier... Kierowniczką Biblioteki Powiatowej była wówczas Wiktoria Fichauzer, a instruktorkami Anna Wójcik i Małgorzata Pladwig. Stanowiłyśmy zgrany zespół. Pracowałam z wieloma koleżankami, niektóre z nich do tej pracy trafiły przypadkowo, inne z prawdziwego zamiłowania”.

W 1963 roku Biblioteka Miejska dostaje nowe pomieszczenia w nieistniejącym dziś domu przy ulicy Mickiewicza (obecnie w tym miejscu znajduje się budynek ZUS), gdzie znalazła się wypożyczalnia. - Miejsca było o wiele więcej, dobry punkt w mieście, ale warunki pracy dalej kiepskie - piece kaflowe, a później akumulacyjne. W lokalu było zimno - opowiada pani Janina.

- Wchodziło się do niej po kilku stopniach, najpierw na przeszkloną werandę, a później do pomieszczenia przedzielonego ogromną ladą oddzielającą część czytelni czasopism od regałów z książkami. Pamiętam, że trzeba było „zasłużyć” na wejście za ladę i możliwość samodzielnego wybierania książek. - tak wspomina siedzibę biblioteki Bogumiła Bruniecka, która większość zawodowego życia związała ze sztumską placówką. - Podstaw bibliote-



W 1976 roku przeprowadzka do pomieszczeń w Domu Partii (obecne Starostwo Powiatowe), fot. Henryk Lipski

karstwa uczyła mnie pani Helena Lubińska. Otoczyła mnie opieką jak matka. Nigdy tego nie zapomnę... Postanowiłam przeczytać wszystkie książki z „mojej” biblioteki. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że to po prostu niemożliwe... Poznawałam je działami: filozofia, religioznawstwo, socjologia, sztuka, historia, itd.

W 1962 roku księgozbiór liczył ponad 11 tys. książek, a wypożyczających 684 osoby. W 1968 roku biblioteka miała prawie dwa tysiące czytelników i ponad 16 tys. woluminów. Trzeba było ograniczyć wypożyczenia do dwóch egzemplarzy jednorazowo, aby zapewnić książki wszystkim chętnym. Finanse były skromne, o czym świadczy choćby fakt, że nowoczesne, metalowe regały zakupiono tylko do wypożyczalni Miejskiej Biblioteki w Sztumie.

Problemem był brak samodzielnej biblioteki dla dzieci. Pracownicy narzekali również na oddzielne siedziby dla Biblioteki Powiatowej i Miejskiej chociaż w rzeczywistości stanowiły jedną instytucję.

NIE TYLKO PISARZE

Lata sześćdziesiąte obfitują w wiele imprez oświatowo-kulturalnych. Bibliotekę w Sztumie i podległe jej placówki w powiecie odwiedzali przedstawiciele Muzeum Pomorskiego w Gdańsku, m.in. wielokrotnie autor wielu przewodników turystycznych Franciszek Mamuszka. Biblioteka współpracowała również z Rozgłośnią Polskiego Radia w Gdańsku, czego efektem były audycje. Nie brakowało spotkań z pisarzami Wybrzeża (m.in. Róża Ostrowska, Irena Przewłocka), Warmii i Mazur (m.in. Maria Zientara-Malewska, Tadeusz Stępowski) oraz tak znanymi jak Melchior Wańkowicz i Julian Przyboś.

2 lutego 1972 roku w dwuizbowym lokalu w sąsiedztwie wypożyczalni miejskiej została otwarta Filia Dziecięca Powiatowej i Miejskiej Biblioteki w Sztumie. Kierownikiem działu dziecięcego została Małgorzata Pladwig. Jej następczynią była Regina Piątek.

W listopadzie 1983 roku filia dziecięca przeniosła się do nowo przebudowanego pomieszczenia po byłej księgarni na placu Wolności. Była tam nie tylko wypożyczalnia i czytelnia, ale także salka z przeznaczaniem na spotkania i imprezy. Rok później kierownikiem działu dziecięcego została Elwira Powłoka, która pełniła tę rolę aż do objęcia stanowiska kierownika Biblioteki Sztumskiego Centrum Kultury.

Przedwojenny budynek, w którym znajdowała się biblioteka dla dorosłych, był przeznaczony do rozbiórki. Na terenie tej działki zaplanowano biurowiec Zakładu Ubezpieczeń Społecznych – Oddziału Wojewódzkiego w Elblągu. W marcu 1976 roku biblioteka przeniosła się do kolejnej siedziby, tym razem reprezentacyjnej, bo do Domu Partii (obecnie Starostwo Powiatowe). Warunki zmieniły się radykalnie. Osobne pomieszczenie przeznaczono na czytelnię, w której znalazło się około tysiąca książek udostępnianych na miejscu i prawie sto(!) tytułów czasopism i gazet.

RECEPTA NA KRYZYS

Lata osiemdziesiąte to początek spadku czytelnictwa, co było tendencją ogólnopolską spowodowaną trudną sytuacją polityczną i gospodarczą. Kłopoty finansowe przekładały się na mniejszą atrakcyjność oferty bibliotecznej.

Kryzysowi temu starają się zapobiegać pracownicy wychodząc z nowymi propozycjami, które przyciągną potencjalnych czytelników. Bogumiła Bruniecka wspomina, że „z inicjatywy kierowniczkii wypożyczalni dla dorosłych powstał Klub Miłośników Książki, którego członkowie dobrowolnie opodatkowywali się na rzecz zakupów nowości wydawniczych i przez wiele lat to było najważniejsze źródło pozyskiwania bestsellerów”. Biblioteka oferowała sztumianom także wiele imprez i atrakcji kulturalnych. Jutta Zimińska wspomina „wspaniałą, koleżeńską atmosferę pracy, myślę że wynikało to z tego że pracujące tam osoby traktowały swoją pracę nie tylko jako obowiązek zawodowy, ale także jako swoją pasję. Organizowałyśmy konkursy literackie dla dzieci i młodzieży sztumskich szkół, wieczory poetyckie, wystawy książek i plastyczne. Dużą popularnością cieszyły się projekcje filmów animowanych, w bibliotece zawsze się „coś działo” i to przyciągało rzesze zainteresowanych.”

Z ciekawszych wystaw organizowanych w tamtym czasie przez bibliotekę trzeba wymienić: „Ważne dokumenty w historii świata”, „Ziemia Sztumska w dokumentach piśmienniczych” oraz ekspozycję fotogramów Henryka Lipskiego. Ale najważniejszym wydarzeniem było sprowadzenie i ekspozycja dwóch dokumentów lokacyjnych miasta: Michała Kuchmeistera von Sternberg z 1416 r i potwierdzenie praw miejskich przez króla Zygmunta II Augusta z 1553 r. z okazji Dni Ziemi Sztumskiej w 1993 roku. Ekspozowano je, także ze względu na bezpieczeństwo, w oddziale Banku PKO BP.

DROGA DO KWADRO

W grudniu 1996 roku biblioteka zmienia swój status. Z jednostki samodzielnej staje się, po połączeniu ze Sztumskim Ośrodkiem Kultury, działem bibliotecznym SCK. Nastę-



Nowe wnętrze sztumskiej biblioteki jest wyjątkowo przyjazne dla dzieci, fot. archiwum

puje też kolejna zmiana lokalu. Cały księgozbiór i dział dziecięcy zostaje przeniesiony do zabytkowego budynku przy ulicy Mickiewicza, wcześniej zajmowanego przez przedszkole.

Kilka lat temu, gdy już wydawało się, że wędrująca po mieście biblioteka, nie znajdzie swojego stałego i godnego dla siebie miejsca, samorząd przejął od Zakładu Karnego budynek przy ul. Nowowiejskiego. Powstał w latach 50. i pełnił rolę zakładowej świetlicy. Był przez lata świadkiem wielu wydarzeń, nie tylko związanych ze służbą więzienną. Na scenie dużej sali występowały zespoły zawodowe i amatorskie, wyświetlano filmy, był tu pierwszy w Sztumie kolorowy telewizor, a wieczór autorski miał Daniel Olbrychski (lata siedemdziesiąte). Kilka lat temu ministerstwo sprawiedliwości postanowiło pozbyć się budynku, który wymagał remontu i generował koszty. Zakład Karny w Sztumie przekazał go miastu.

Samorząd zdecydował, że po gruntownej modernizacji znajdzie tam swoją siedzibę Biblioteka SCK. I tak jest - od grudnia 2019 roku. Tylko pierwszego dnia odwiedziło nową siedzibę ponad 600 osób. Warto dodać, że zachowano ostatnią nazwę obiektu - KWARDRO, a o dawnej jego funkcji przypomina także cytat umieszczony na ścianie, a pochodzący z listu Kazimierza Moczarskiego, autora głośnych „Rozmów z katem”, dziennikarza, żołnierza Armii Krajowej, skazanego na karę śmierci. W 1956 roku pisał do żony z więzienia w Sztumie: „Czytam trochę więcej. (...) Tutaj pogody jesienno-wiosenne. Brak mrozu. Wiatry. Chmury żeglujące za oknem. O mnie się nie martwicie - moi najukochańsi. „Nie jest tak źle, choć może nie jest zbyt różowo”, jak pisze [czeski pisarz] Waclaw Rzezacz w swej doskonałej „Krawędzi”. Spróbuj przeczytać tę książkę. Jest b. ciekawa i interesująca”.



Nowoczesne wnętrze biblioteki, fot. archiwum

Alicja Łukawska

Z „Córką organisty” w Markusach

Razem z moją mamą Haliną Łukawską zostałyśmy zaproszone na spotkanie autorskie do Markus na Żuławach Elbląskich. Pojechałyśmy tam 12 lutego 2010 roku jako autorki naszej wspólnej książki „Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza”. W książce sporo miejsca poświęciłyśmy gminie Markusy, gdzie nasza rodzina przyszła mieszkać jako osadnicy po II wojnie światowej.

Moja mama zamieszkała w Markusach wiosną 1947 roku, kiedy Żuławy były jeszcze częściowo zalane. W początkach lat 50. spalił się pierwszy dom naszej rodziny na Ziemiach Odzyskanych. Wtedy mama, jej brat Stasiak i babcia Marta Kowalska poszli mieszkać do Wiśniewa w tej samej gminie. W 1952 roku zmarła babcia Marta i została pochowana na cmentarzu w Zwierznie. To był pierwszy grób kogoś z naszej rodziny na Żuławach. W następnym roku mama wyjechała za pracę do Bydgoszczy, jednak stale wracała na Żuławy, odwiedzając rodzinę. Wyszła za mąż za sąsiada z Wiśniewa, czyli Stefana Łukawskiego, mojego ojca.

Z kolei rodzina Łukawskich przyszła na Żuławy jako powodzianie z Radziwiłki na Mazowszu (tam u żony Katarzyny zamieszkał dziadek Józef Łukawski, rodem z Witkowiec w gminie Młodzieszyn na Mazowszu). Moi rodzice poznali się w Wiśniewie w czasie akcji zbierania stonki na polach ziemniaczanych, jaką organizowano w początkach PRL-u. Była to akcja masowa, musieli w niej brać udział prawie wszyscy mieszkańcy wsi, którzy chodzili po polach z butelkami z naftą i zbierali stonkę do tych butelek. Walczono w ten sposób ze szkodnikiem, który jakoby zrzucali z samolotów Amerykanie, by niszczył nasze ziemniaki.

Rodzice wzięli ślub w Bydgoszczy w 1957 roku, a ja urodziłam się w 1959 roku. Miałam przyjść na świat w izbie porodowej w Markusach, ale mama miała ciężki poród, więc położyła wezwąła karetkę pogotowia, która przewiozła ją do szpitala w Elblągu. Tam się właśnie urodziłam. Pierwsze miesiące życia spędziłam w domu dziadków Łukawskich w Wiśniewie. Tam stawiałam swoje pierwsze kroki. W 1961 roku razem z rodzicami zamieszkałam w Bydgoszczy, ale do Wiśniewa i Markus wracałam co roku. Spędzaliśmy tam wakacje letnie u dziadków, u ciotki Geni Burkowej lub u wujka Staśka Kowalskiego. Ostatni raz byłam w Markusach u krewnych w połowie lat 80.

Tak więc jechałyśmy teraz z mamą do tych Markus tak, jakbyśmy jechały do swojej małej ojczyzny, bo obie jesteśmy mocno związane emocjonalnie z tą gminą. I przeżyłyśmy tam na miejscu prawdziwy szok! Spotkanie zostało wspaniale zorganizowane przez panią Barbarę Turzyńską, dyrektorkę Biblioteki Gminnej w Markusach. Dziwnym zbiegiem okoliczności, pani Barbara mieszka w Markusach w tym samym domu, gdzie przebywał na robotach przymusowych u Niemca Johanna Froesego mój wujek Stefan Burek. Rodzina jej

męża, państwo Turzyńscy, zamieszkała tam jako osadnicy zaraz po wojnie. Kierowca z gminy Markusy przyjechał po nas do Malborka i zawiózł nas z powrotem do domu!

Spotkanie odbyło się w świetlicy wiejskiej, w sali dawnego Klubu Rolnika, gdzie w czasach PRL-u organizowano słynne na całą okolicę zabawy wiejskie przy orkiestrze (moja kuzynka Jadzia Burkówna za młodu biegała tam na tańce, a jej młodsza siostra Andzia chodziła tam na zebrania Związku Młodzieży Wiejskiej). Wyobrażałyśmy sobie z mamą, że to będzie takie bardziej kameralne spotkanie z czytelnikami, że przyjdzie z dziesięć, piętnaście osób, a okazało się, że przyszło chyba z pięćdziesiąt osób, a może nawet więcej. Okazało się, że zainteresowanie naszą opowieścią było zaskakująco duże.

– *Tyle osób na spotkaniu autorskim to nie ma nawet w dużych miastach* – powiedział Leszek Sarnowski, nasz wydawca, redaktor naczelny Kwartalnika „Prowincja”, który promował także kwartalnik. Nasza książka jest z nim związana, bo wyszła w zeszłym roku jako ósmy tom „Biblioteki Prowincji”.

A to byli ludzie z całej gminy, nie tylko z Markus, ale też ze Zwierzna, Różan, Jeziora, Rachowa, Wiśniewa i innych wiosek. Przeważnie członkowie miejscowego Klubu Seniora, ale nie tylko. Przyszli tutaj, aby posłuchać historii o swojej gminie, bo chyba jeszcze dotąd nikt o niej nie pisał w ten sposób. Przygotowując naszą książkę, robiłam poszukiwania w źródłach bibliograficznych i jedyny tekst historyczny o Markusach znalazłam w kultowej już chyba książce o historii tych terenów pod tytułem „Żuławiacy. Wspomnienia osadników żuławskich” pod redakcją Józefa Pawlika wydanej przez Wydawnictwo Morskie w latach 70. XX wieku i obecnie trudno dostępnej. Zamieszczono tam opowieść Marcina Kostusia, który jako osadnik zamieszkał w Markusach pod koniec lat 40., ale nieco później niż nasza rodzina.



Alicja Łukawska, Halina Łukawska i Leszek Sarnowski na spotkaniu w Markusach, fot. B. Turzyńska

Współcześnie w gminie jest spore zainteresowanie tym pierwszym, powojennym okresem osadnictwa na Żuławach. Świadczy o tym m. in. wspaniała cyfrowa kolekcja zdjęć, które udało się zgromadzić Barbarze Turzyńskiej na stronie Biblioteki Publicznej Gminy Markusy. Zdjęcia są prezentowane w następujących działach: miejscowości (Brudzędy, Dzierzgonka, Jezioro, Markusy, Nowe Dolno, Złotnica i Zwierzno), parafie (Jezioro, Zwierzno), szkoły i przedszkola (Przedszkole w Zwierznie, Gimnazjum w Stankowie, szkoły podstawowe w Brudzędach, Jeziorze, Kępniewie, Markusach, Stankowie, Wiśniewie, Zwierznie, Żółwińcu i Żurawcu). Ta kolekcja to bardzo interesująca dokumentacja życia mieszkańców żuławskich wsi na przestrzeni przeszło siedemdziesięciu lat, od 1945 roku do czasów współczesnych.

Markusy to gmina położona daleko od głównych dróg, w obecnych czasach prawie odcięta od świata. Latem jeszcze jeżdżą tam nieliczne autobusy PKS, by zawieźć do Elbląga młodzież szkolną, ale w wakacje podobno już prawie nic nie jeździ. Jeśli chodzi o komunikację, to jest o wiele gorzej niż za Niemców (wtedy w Markusach był nawet dworzec kolejowy!), a także w czasach PRL-u, kiedy to do Markus i do Wiśniewa można było swobodnie dojechać autobusem PKS z Elbląga, Malborka czy Sztumu. Było wtedy kilkanaście kursów autobusowych dziennie, dzięki czemu ja sama w dzieciństwie wraz z rodzicami mogłam tam dojechać w czasie letnich wakacji. Dzisiaj to się już nie opłaca, bo trudno znaleźć przewoźnika, który chciałby zainwestować w jeżdżenie po Żuławach Elbląskich. Jak ktoś na wsi nie ma własnego auta - to jest wykluczony komunikacyjnie. Nie dojedzie do miasta do szpitala czy do większego sklepu.

Czy Żuławy umierają?



Mieszkańcy gminy Markusy na promocji książki, fot. B. Turzyńska

– *Za sto lat tutaj pewnie wszystko będzie zalane, tak jak kiedyś było* – mówił nam w czasie drogi kierowca z gminy, który nas wiozł na spotkanie. – *Nic się tutaj nie robi, nie ma prowadzonej melioracji, Żuławy się zapadają, nasiąkają wodą jak gąbka, zamieniają się pomału w bagno...*

No, ale na razie jeszcze Żuławy są i mają się dobrze! Ileż wspomnień, ileż wzruszeń było na tym spotkaniu! Razem z mamą opowiadałyśmy o jej wojennych i powojennych przeżyciach, kładąc nacisk na te tuż powojenne, kiedy to zamieszkała w Markusach. Tak wyszło, że ja mówiłam nieco więcej, bo mama dość marnie się czuła. Od paru dni wiały silne wiatry z zachodu, miała więc kołatanie serca; dzień wcześniej dały o sobie znać także arytmia i migotanie przedsionków. Dlatego najadła się na zapas sporo tabletek na serce i ciśnienie. Dzięki temu serce się uspokoiło, ale z drugiej strony – była trochę przymulona od leków. Ale i tak była bardzo wzruszona i pełna emocji!

Najlepsze było to, że jak opowiadałyśmy o wydarzeniach, które miały miejsce siedemdziesiąt czy nawet więcej lat temu, to do naszej opowieści włączali się ludzie z sali i potwierdzali nam, przytakiwali lub dopowiadali coś ciekawego. Na spotkaniu pojawiły się osoby, które pamiętały nawet kolejne domy rodziny Kowalskich w Markusach i w Wiśniewie, jak również wspominały moją mamę z młodych lat, jej siostrę Genię, szwagra Stefana, brata Staśka, bratową Jasię, a nawet małego pieska Maćka należącego do Jasi. Niektórzy znali mamę wtedy, ale nie rozpoznawali jej teraz.

– *A pani to jest naprawdę Halinka Kowalska?* – pytała pani z pierwszego rzędu, która jak się okazało, była mamy znajomą sprzed lat. Ostatni raz widziały się kilka lat temu na cmentarzu w Zwierznie, ale teraz ledwo mogły się poznać.

– *A pani to jest chyba Sławka Semków, tak?* – upewniała się moja mama.

Wyglądało to tak jak na spotkaniu szkolnym „naszej klasy” po wielu, wielu latach. Inne osoby kojarzyły z kolei rodzinę Łukawskich z Wiśniewa.

– *Czy pani rodzina to Łukawscy z Witkowic?* – usłyszałam od jednej pani, której teściowa pochodziła z tej rodziny.

– *A jak tam pani ciotki, Henia i Marta Łukawskie? Czy jeszcze żyją? Co z nimi?* – pytała mnie jakaś kobieta o siostry mojego ojca, z którymi w latach 50. chodziła do szkoły podstawowej w Wiśniewie.

– *Ciociu Halino, Alu, tu jesteśmy! Poznajecie nas?* – wołała z tyłu jakaś pani w czapce, machając do nas ręką. Okazało się, że to żona mojego kuzyna Janka z Wiśniewa. Obok niej siedziała najstarsza córka tegoż kuzyna, Małgosia, która mieszka teraz z rodziną w Zwierzyńskim Polu. Przekazały nam pozdrowienia od kuzynki Urszulki z Elbląga, której nie widziałam chyba czterdzieści lat!

Dodatkowym plusem tego spotkania było to, że przywiozłam z Markus wiele nowych kontaktów, wiele ciekawych opowieści o losach ludzi mieszkających na Żuławach. Było to bardzo inspirujące! Chyba wszędzie na Ziemiach Odzyskanych jest tak, że co człowiek, to inna historia. Właściwie o każdej rodzinie mieszkającej na tych terenach można by napisać osobną książkę, tak barwne i skomplikowane są dzieje mieszkających tutaj ludzi.

Ot, takie historie usłyszałam: Janusz Wasik, kierowca, który nas wiozł z Malborka do Markus, opowiadał o swojej babci, która urodziła się w Stanach Zjednoczonych, w rodzinie polskich emigrantów. Latem 1939 roku przyjechała do Polski, aby tutaj wyjść za mąż, potem wybuchła II wojna światowa, babcia już do Ameryki nie wróciła, jakoś znalazła się na kresach wschodnich, potem w Związku Radzieckim, skąd wydostała się z armią generała Andersa, później w Afryce, w Rodezji, skąd z powrotem dotarła do Polski.

Na spotkaniu był Dariusz Stawski, syn Henryka Stawskiego, z którym moja ciotka Genia w czasie wojny była na robotach przymusowych u rodziny szwajcarskiej Mindnerów w Alt-Rosenfeld (Różany), a potem, zimą 1945 roku, razem wracali pieszo do domu do Ziemi Dobrzyńskiej. Stawski zaraz po wojnie ożenił się i wraz z żoną Moniką przyjechał z powrotem na Żuławy. Osiedli w gospodarstwie po Mindnerach, którzy musieli opuścić Polskę. Niestety, długo tam nie pomieszkali, bo to gospodarstwo było tak duże, że uznano ich za kulaków. Gmina nakazała im przenieść się do mniejszego gospodarstwa.

Państwo Stawscy przyjaźnili się z ciotką Genią i jej rodziną, tak samo jak ich dzieci, które wspólnie chodziły do szkoły podstawowej w Zwierznie. O tych naszych rodzinnych związkach ze Stawskimi miałam okazję już kiedyś rozmawiać. Mianowicie, w 2003 roku byłam w szkole w Zwierznie razem z członkami stowarzyszenia Klub Nowodworski z Nowego Dworu Gdańskiego: Moniką Jastrzębską, Markiem Opitzem i Grzegorzem Gołą. Marek Opitz pokazywał tam nakręcony przez siebie film dokumentalny i wystawę fotograficzną, która miała przekonać polskich rolników do wstąpienia do Unii Europejskiej. Rolnicy byli wtedy chyba najbardziej sceptycznie nastawioną do Unii grupą zawodową w Polsce i trzeba było ich specjalnie zachęcać. Przyjmowała nas wtedy w Zwierznie dyrektorka szkoły, która



Mieszkańcy Markus w książce „Córka organisty” odnajdywali swoje losy, fot. L. Sarnowski

nazywała się... Stawska! Była to żona Leszka Stawskiego, drugiego syna Henryka. Obecnie Leszek Stawski wraz z żoną mieszka w Iławie, Henryk już nie żyje, a jego żona Monika mieszka z synem Dariuszem w Różanach. – Mama bardzo chciała być na tym spotkaniu, wybierała się nawet, ale dzisiaj się źle poczuła i nie dała rady przyjechać – usłyszałyśmy.

Miałyśmy okazję porozmawiać z Piotrem Liedtke, którego dziadek w 1923 roku kupił gospodarstwo w Zwierznie (wówczas ta wieś nazywała się Thiersdorf). Matka jego pochodziła z Nowego Targu pod Sztumem i znała zarówno język niemiecki, jak i polski. Rodzina Liedtke pozostała na tych terenach, bo w czasie wielkiej ucieczki Niemców przed Armią Czerwoną zimą 1945 roku dotarli tylko w okolice Słupska. Tam zgarnęli ich Rosjanie. Dziadek pana Piotra zmarł gdzieś w czasie tej wyprawy, został pochowany po drodze, zaś matka wróciła sama do domu w Zwierznie. Budynek był już wtedy całkowicie obrabowany, nic tam dosłownie nie było! Ojciec pana Piotra był w czasie wojny w Wehrmachcie, a potem dostał się do niewoli. Dopiero później wrócił do domu.

Pani Liedtkowa przewija się we wspomnieniach mojej ciotki Geni, bo to do niej właśnie chodziła z listami, jakie jej mąż Stefan w latach 70. dostawał z Niemiec, od wnuka swojego dawnego gospodarza Johanna Froese, u którego był na robotach przymusowych. Matka pana Piotra tłumaczyła tę korespondencję i pisała odpowiedzi. Z kolei moja mama przypomina sobie, że Liedtkowa była też taką ludową uzdrowicielką, bo umiała nastawiać stawy, kości i kręgosłupy. Ludzie chodzili do niej z różnymi dolegliwościami, a ona im pomagała, bo wtedy rolnicy nie byli przecież ubezpieczeni i nie stać ich było nieraz na wizytę w ośrodku zdrowia u lekarza.

Spotkałyśmy również Jarosławę (Sławkę) Semków, córkę Ukraińca Piotra, który przyjechał do Markus w ramach Akcji Wisła w 1947 roku i przez wiele lat żył samotnie. Jego żona bowiem pozostała po drugiej stronie granicy, w Sowietach. Ta żona i córka Sławka przyjechały do niego dopiero w połowie lat 60., w ramach ostatniej repatriacji ze Związku Radzieckiego, kiedy władze pozwoliły na łączenie rodzin. Potem Sławka wyszła za Michała Semków, kupili sobie piękny, okazały dom murowany przy drodze Różany-Jezioro. Byli bardzo dobrymi gospodarzami, ich gospodarstwo kwitło, powodziło się im bardzo dobrze. Przyjaźniła się z nimi moja ciotka Jasia, żona brata mamy, Stanisława Kowalskiego. Michał Semków zmarł w połowie lat 80.

Dowiedziałam się także, że w gminie mieszka pewna pani, która w czasie II wojny światowej została deportowana na Syberię. Jej wspomnienia zostały podobno już spisane i są dostępne w bibliotece. Radziecki epizod w swej biografii ma także Elżbieta Gadzińska, żona mojego kuzyna Janka z Wiśniewa.

Poznałyśmy również przedstawicieli pierwszych polskich osadników w gminie Markusy. Teść Jana Abramowskiego zamieszkał w Zwierznie już wiosną 1945 roku. Znalazł się tutaj, bo był wywieziony na roboty przymusowe do Braniewa, a jak wojna się skończyła, to został na tych poniemieckich terenach, bo tu były piękne, duże gospodarstwa i żyzna ziemia. Z kolei rodzina pana Abramowskiego przyszła tutaj aż z kresów wschodnich, z Wołynia, gdzie szalały bandy UPA. Pan Abramowski pochwalił się, że jest w posiadaniu pamiątki jakiejś niemieckiej dziewczyny, bodajże z końca XIX wieku. Tekst został napisany ręcznie,

po niemiecku, ale pismem gotyckim i trudno go odczytać. Obiecał udostępnić ten pamiętnik redakcji Kwartalnika „Prowincja”.

W sumie na tym spotkaniu rozmawiałam z potomkami polskich osadników, którzy przybyli na Ziemię Odzyskane po II wojnie światowej, Ukraińców z Akcji Wisła, a nawet Niemców mieszkających w gminie Markusy przed II wojną światową. Dzisiaj to się już wszystko przemieszało. Obecnie wszyscy są tak samo dobrymi Polakami, ale taka właśnie mieszkanka narodowościowa była na Żuławach jeszcze w czasach PRL-u.

- Wspaniałe i wzruszające spotkanie w Markusach. Promocja książki Alicji Łukawskiej i Haliny Łukawskiej „Córka organisty” oraz kwartalnika „Prowincja”. Dobra energia, piękne wspomnienia. Alicja ze swoją mamą napisały wspaniałą książkę o swojej rodzinie i życiu, między innymi na Żuławach. To najwspanialsza chwila dla wydawcy (Kwartalnik „Prowincja”) kiedy czytelnicy żywo reagują na tekst, odpowiadają, potwierdzają, z uśmiechem i akceptacją na twarzy. Wielkie dzięki dla Pani Barbary Turzyńskiej z Biblioteki Gminnej w Markusach za zorganizowanie spotkania i Pani Haliny Łukawskiej za dzielenie się wspomnieniami i wytrwałość – napisał na Facebooku nasz wydawca Leszek Sarnowski.

A na koniec dostałyśmy kwiatki i pamiątkowe kubki „wydane” przez Bibliotekę Gminną w Markusach. Chyba najfajniejsze w pisaniu książek są spotkania z Czytelnikami! To bardzo motywuje i ubogaca!

Stanisława Wojciechowska-Soja

HOMO VIATOR

utrudzony i radosny wędrowiec

(o emigrancie z Kociewia)

Mimo swoich niespełna 73 lat ma młodzieńczą sylwetkę. Dawno zostawił w odwodzie własną metrykę urodzenia. Ma rysy nordyckie: jasną karnację, kiedyś blond włosy, niebieskie spojrzenie. Wysoki, w miarę szczupły. Żywo gestykułuje. Ma coś z tura i antylopy. Jest silny i jednocześnie kruchy, ale nie na tyle, by z rykiem paść na ziemię. Koniec końców - jak Feniks odradzał się z popiołów, mimo wielu bolesnych doznań. Na stałe od 1981 roku mieszka w Hanowerze. Ale przez cały czas ma Polskę „pod skórą” - jak napisał o naszych emigrantach poeta Kazimierz Wierzyński. Za działalność polonijną otrzymał w 1998 r. Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, nadany przez prezydenta A. Kwaśniewskiego.

Waldemar Wachowski - tczewianin z urodzenia, hanowerczyk z wyboru, Polak z serca.

JEGO HEIMAT

Jest Kociewiakiem po mieczu i kądzieli. Oboje Jego rodzice urodzili się i zamieszkali na tych ziemiach. Ojciec, Alojzy, pochodził ze wsi Rajkowy, koło Pelplina, zaś mama, Marta z domu Philipp - z miejscowości Narkowy, w pobliżu Tczewa. Spotkali się w Szkole Handlowej w Tczewie, pokochali się i stanęli przed ołtarzem w 1936 roku. Owocem ich związku była piątka dzieci. Przed Waldemarem na świat przyszli: Roman, Gizela i Ewa. Po nim - Bogdan. - Kiedy mama chodziła ze mną w ciąży, mówiła, że jak urodzi się syn, to będzie miał na imię Waldemar. Wtedy była pod urokiem „Trędowatej” Mniszkówny.



I tak stało się - przytacza rodzinną opowieść Waldek. Dorodny chłopak pojawił się na świecie w ich domu na ulicy Wąskiej 1, nie w szpitalu. To był ich drugi adres na tejże ulicy. Wcześniej mieszkali pod trójką, ale tam było im za ciasno. - Ten dom odwiedziłem dopiero w tym roku po wielu latach. Trudno ująć w słowach wzruszenie, jakie mnie dopadło. Jakby wczoraj to było. Znalazłem się na podwórku, gdzie organizowałem gry i zabawy, przedstawienia cyrkowe. Pełno tu było dzieci, nawet z innych ulic. Zaczarowany świat! Drugim takim miejscem, gdzie aktorsko i organizacyjnie udzielałem się, był dom

dzieciństwa mojego ojca w Rajkowach. Mieszkała tam jego siostra, Agnieszka. Ubierałem się w „szaty kapłańskie” i odprawiałem mszę po łacinie, nie rozumiejąc, co mówię. Wtedy byłem żarliwym wyznawcą Kościoła. Na tym etapie życia chciałem być księdzem. Im bardziej oddalałem się od dzieciństwa, tym myśl o posłudze kapłańskiej słabła. Coraz częściej wadziłem się z Bogiem, ale od 15 lat szukam znaków boskich w swoim życiu. Tak samo jak pod hanowerskim niebem szukam mojej Wisły spod Tczewa, cmentarza przy kościele św. Bartłomieja w Rajkowach. Powracam do opowieści, a nawet legend związanych z moimi przodkami. Ogarnia mnie coraz silniejsze wzruszenie i coraz cichsze milczenie. Tam czułem się bezpiecznie. Już nigdy tak słodko mi nie było, jak na Kociewiu. Na to znajduję typowo niemieckie określenie: Heimat, czyli miejsce, gdzie dorastałem, poszerzałem sobie horyzonty poznania, wychodziłem poza własne podwórko. Poznawałem coraz to więcej ludzi, ale wracałem do punktu, skąd ruszałem każdego dnia. Nie jest ono tożsame z określeniem „mała ojczyzna”, to coś więcej! Heimat to dziedzictwo, spadek. „Mała ojczyzna” to miejsce, w którym się żyje dłużej, ma określony kształt, swój etos. Wchodzi się do niego na zaproszenie bądź z konieczności, jak w moim przypadku. Obecnie moją „małą ojczyzną” jest Hanower. Wtopiłem się w to miasto, żyję jego regułami. Spełniam się na co dzień. Ale serce ulatuje pod inny skrawek nieba - na Kociewie. Jedni to nazywają tęsknotą, inni - nostalgią, a jeszcze inni - skazą romantyczną. Nie ma ucieczki od smaków, zapachów i opowieści rodzinnych. One w człowieku drzemią przez całe życie i cieszą się z przebudzenia - dzieli



Budynek Muzeum Dekabrystów i Zesłańców syberyjskich w Irkucku, fot. archiwum rodzinne

się swoimi przemyśleniami. Zna wiele historii rodzinnych. Do ciągle żywych należą opowieści o dziadkach z obu stron, o ich udziale w I wojnie światowej. Obaj walczyli, tylko że po przeciwnych stronach, Dziadek Augustyn Philipp - Kaszuba z Żukowa, wcielony do armii niemieckiej, walczył w 1916 roku pod Verdun we Francji. Nie zabiły go gazy łzawiącej, chlor, ani grypa - „hiszpanka”, która dziesiątkowała żołnierzy. Dziadek Augustyn był zmuszony do udziału w wojnie po stronie niemieckiej, mimo iż był Polakiem, ponieważ mieszkał w zaborze pruskim. Bardzo ciekawy jest los wojenny dziadka Michała Wachowskiego. Z orłem na czapce odbył długą i splątana drogę żołnierską. Pod koniec wojny wyrokem Sądu Rosyjskiego został skazany na 7 lat Sybiru. Po odbyciu zsyłki pokonał blisko 9000 km, głównie na pieszo, rzadko koleją, by powrócić w swoje strony, gdzie czekało na niego pięcioro dzieci samodzielnie gospodarujących w Rajkowach. Ich mama, a żona Michała, zmarła jeszcze przed wojną. – Z powrotem dziadka z wojny jest związana legenda, którą przekazywała ciocia Agnieszka. Tego dnia, kiedy jakaś dziwna postać zbliżała się do kościoła, ledwie majaczyła na horyzoncie, w ich domu sama włączyła się maszyna do szycia „Singer”. Coś na wzór perpetuum mobile... Oni odczytali to jako znak powrotu ich ojca. I tak było! Po wielu latach (w 1985r.) udało mi się odwiedzić miejsce zsyłki mojego dziadka. Były to okolice Irkucka i jeziora Bajkał. Udałem się z biurem podróży „DER”. Było to możliwe, gdyż po „pierestrojce” żelazna brama między Wschodem i Zachodem zaczynała się rozwierać. Znane też były opowieści o przodkach dziadka Michała, którzy walczyli pod Wiedniem w 1683 r. i za waleczność został im przyznany herb rodzinny - Paw. Jest to udokumentowane. Prowadzę archiwum rodzinne, choć je powoli przekazuję mojemu najstarszemu synowi, Klaudiuszowi, który coraz głośniejszym głosem mówi o powrocie do Polski, na co wyraziła zgodę jego żona, rodowita Niemka. W ogóle dużo rozmawiało się o dramatycznych lub idyllicznych losach rodziny z obu stron. Niektórych słuchałem z wypiekami na twarzy. Gdzieś w dalekiej Bawarii mieszkała siostra mojej mamy, Elżbieta. Miała dobre i dostatnie życie. Zaś druga siostra, Gertruda, przywdziała habit i osiadła we Francji. Po wielu latach poznałem je obie. W ogóle historie niektórych członków mojej rodziny i jej przodków nadają się na osobną powieść, pełną zdarzeń ponad rozum człowieka - uważa Waldemar.

I trudno z nim się nie zgodzić, skoro „życie każdego człowieka jest baśnią napisaną przez Boga” – jak zauważył Hans Christian Andersen.

EDUKACJA I POCZĄTKI PRACY

Lata 60. dwudziestego wieku w całej Polsce dyszały pod uciskiem jedynie słusznej ideologii PZPR, przewodniczki narodu. Tak było też w Liceum Pedagogicznym w Tczewie. Większość kadry nauczycielskiej realizowała zadania wychowawcze pod kątem tego światopoglądu. Aby to osiągnąć, trzeba było w uczniach wzbudzić karność, nie dopuszczać do dyskusji.

- Moja szkoła średnia to przede wszystkim dyscyplina, mało rozrywki. Życie ucznia nie było tak barwne jak dzisiaj. Sprawą wielkiej wagi było noszenie tarcz na zewnętrznych odzieniach, trzy palce nad łokciem. Obowiązywał ciemny strój na co dzień. Dziewczyny nosiły granatowe fartuszki, a my - ubrania: spodnie, marynarki, swetry też w granacie albo czerni. Łamanie tego nakazu groziło obniżeniem oceny ze sprawowania. Wieczorami po

mieście chodziły komitety rodzicielskie sprawdzające, czy młodzież nie chuligani. Coś na wzór godziny policyjnej. Zupełnie nie kładło się nacisku na rozwój ucznia pod względem naukowym. Mało było zajęć pozalekcyjnych. Można było należeć do chóru, do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, o którym dyr. Jabłoński mówił szyderczo: towarzystwo wzajemnej adoracji, choć sam był w Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR, czyli po tej „właściwej” stronie. Ja należałem do obu. Jedynie sportowcy mogli pokopać sobie piłkę, czy pograć w siatkówkę. Obok tego oficjalnego wizerunku, toczyło się inne życie - na prywatkach ze swojskim winkiem (u mnie na Jagiellońskiej 1 też zorganizowałem takie spotkanie), czy w ubikacji szkolnej na papierosku. Trzymały się nas żarty, śmiech. Ja miałem łatwość parodiowania zachowań ludzi i głosów oraz ich gestów. Podobno najlepiej wychodziła mi scenka z prof. Bronowską! Z przedmiotów nauczania najbardziej lubiłem język rosyjski, który w późniejszym moim życiu odegrał ważną rolę. Za to dużo czasu poświęcałem muzyce jako uczeń Tczewskiej Szkoły Muzycznej, do której chodziło jeszcze moje rodzeństwo. Bracia to nawet zostali później zawodowymi muzykami. Moi rodzice wychodzili z założenia, że lepiej jest posłać dzieci do dodatkowej szkoły, aniżeli miałyby ich „wychowywać” ulica. Ja uczyłem się gry na wiolonczeli i fortepianie. Nie byłem uzdolniony muzycznie, wręcz przymuszany do ćwiczeń. Nie było „zmiłuj się”. Moi rodzice nie byli zawodowymi muzykami, ale potrafili zagrać na akordeonie, harmonijce ustnej czy na skrzypcach. Ja dla siebie to ostatnim razem zagrałem na fortepianie w Recklinghausen - snuje refleksje podczas spotkania z kolegami po 52 latach.



Z nastarszym synem Klaudiuszem, fot. archiwum rodzinne

Po skończeniu liceum w czasie podpisywania umowy o pracę w Tczewskim Inspektoracie Oświaty dostał propozycję praktykanta na kolonii dla Polonii Zagranicznej w czasie wakacji w Trójmieście. Skorzystał z niej. Po wakacjach został powołany do służby wojskowej. Po jej skończeniu i w czasie studiów na UG oraz podczas pierwszej pracy zawodowej jeździł na kolonie rokrocznie, ale już w charakterze wychowawcy. Miał wtedy okazję do rozwijania swoich zdolności lingwistycznych i możliwość zarobkowania.

Swoją pierwszą pracę nauczycielską podjął w Rudnie. Później zdomowił się w średnich szkołach w Tczewie. W tym czasie zmienił stan cywilny i powiększała mu się rodzina. Najpierw na świat przyszedł Klaudiusz (1972) oraz bliźniaki: Michał i Bartłomiej (1977). Równocześnie studiował, najpierw stacjonarnie, a później - zaocznie. Zaczęło mu brakować środków na utrzymanie rodziny, więc brał dodatkowe godziny. Zaczęło nie wystarczać mu sił.

Czuł, że jego kartą źle grał czas...

POBYT W WOJSKU

Po wakacjach 1967 r. został powołany do wojska. Trafił do Mrągowa na Mazurach. Na początku przez 6 miesięcy uczył się żołnierskiej krzepy. Były to wyczerpujące ćwiczenia, poprawiające kondycję fizyczną, długie marsze połączone z musztrą. Nie było łatwo być rekrutem: dyscyplina i rygor. Ale potem już było tylko lepiej. Tamże trafił do Podoficerskiej Szkoły Radiotelegrafistów. Interesowały go zajęcia teoretyczne i praktyczne, do których przykładał się z należytą powagą. Na dyplomie ukończenia szkoły ma wynik: bardzo dobry. Po zdobyciu zawodu telegrafisty został przeniesiony do Elbląga, do Jednostki Wojsk Lotniczych. - W Elblągu byłem osobistym sekretarzem i zarazem tzw. pisarzem dowódcy jednostki. Miałem nawet swój pokój wyposażony w potrzebny sprzęt dobrej jakości, co w tych czasach było rzadkością. Czułem się wyróżniony i zaszczycony. Bardzo mi się tam podobało. Nawet martwiłem się, że służba w tej jednostce szybko miją mi i będę musiał pójść do cywila. Wówczas byłem bardzo młodym nauczycielem po maturze, dlatego zamiast obowiązkowych 24 miesięcy, służyłem tylko 20, by powrócić do wyuczonego zawodu. Zapotrzebowanie na nauczycieli wówczas było duże. Jednak ja chciałem pójść inną drogą - wołałem zostać żołnierzem zawodowym. Złożyłem pismo w tej sprawie, ale ono zostało ocenione negatywnie. Nie podano żadnych powodów odrzucenia moich starań o pozostanie w wojsku. Domyśliłem się, że odpowiednie „organa” wojskowe dotarły do informacji, iż miałem krewnych za granicą, dwie siostry mojej matki, jedną w RFN, a drugą we Francji - mówi z goryczą. I tak zakończyła się jego rokująco zapowiadająca się przygoda z wojskiem, która zdeterminowała jego dalsze życie... Czyżby zawisł nad nim miecz Demoklesa?

PIERWSZA PODRÓŻ DO RFN

Kiedy jeszcze był na studiach w Gdańsku, starał się o wyjazd do cioci Elizabeth, siostry mamy, do Bawarii. Ona i jej mąż Rudi nie mieli dzieci i zwrócili się do mamy Waldemara listownie z prośbą o adopcję wewnątrzrodzinną. Mieszkali w miejscowości Schwanfeld / Kreis Schweinfurt. Wujek Rudi był właścicielem dobrze prosperującego kina, a ciocia pomagała mu w prowadzeniu interesu. Mieli piękny dom z ogrodem i mogli zapewnić dobre życie komuś innemu. Ale starania te spełzyły na niczym. Dopiero pod koniec lat 70. zdarzyła

się taka możliwość. Wujek specjalnie przyjechał do Tczewa, by przekazać wiadomość, że kuzynka Elizabeth i Marty zmarła bezpotomnie, pozostawiając po sobie spadek. O nabycie go mogły starać się wszystkie żyjące dzieci Augustyna Philippa. Trzy jego córki (Marta, Anna, Klara) mieszkały w Polsce. Natomiast czwarta - Gertruda, była zakonnicą we Francji. Ta ostatnia zrezygnowała ze spadku, ponieważ surowa formuła zakonu nie zezwalała na przyjmowanie żadnych darowizn. Wiadomość o spadku była dla Waldemara i jego rodziny manną z nieba w tak trudnych egzystencjalnie czasach PRL-u. Waldek rozpoczął starania o wizy na wyjazd tymczasowy do Bawarii na załatwienie spraw spadkowych.

- I o dziwo, bardzo szybko otrzymaliśmy najpierw zgodę władz polskich, a potem - niemieckich, w postaci wiz ważnych trzy miesiące, na przełomie lat 1979/80. Razem z mamą udaliśmy się do Schwanfeld. Ażeby załatwić wszystkie sprawy spadkowe, musieliśmy często jeździć z wujkiem do bardzo odległego Heilbronn, gdzie mieszkał polecony nam adwokat i notariusz zarazem. Już wtedy znałem język niemiecki, ponieważ na moich studiach był językiem obowiązkowym. Mama też znała ten język, ale to ja byłem osobistym sekretarzem mojej rodzicielki i wszystkiego musiałem dopilnować osobiście. Cieszyłem się jak dziecko, kiedy udało mi się sprawy doprowadzić do końca. Występowałem też w imieniu siostrzyny z Polski, gdyż nie chciały pojechać do RFN. Także ciocia Elizabeth nie uczestniczyła osobiście w procedurach spadkowych ze względu na chorobę lokomocyjną, która uniemożliwiała jej jazdę samochodem. Natomiast wcześniej musiałem otworzyć konto w Sopocie,



Waldemar Wachowski i Han Dietrich Genscher, wicekanclerz Niemiec, fot. archiwum rodzinne

w Banku Walutowym S.A. , aby pieniądze spadkowe w DM spłynęły do Polski, gdzie ciągle mieszkała moja rodzina i ja tam po trzech miesiącach miałem powrócić - relacjonuje nieoczekiwany beneficjent.

Tam, w Bawarii, zrodził się pomysł wyjazdu na stałe do RFN.

- To dzięki spadkowi mogliśmy organizować drugi wyjazd do Niemiec, tym razem na stałe. Wybraliśmy Hanower, stolicę Dolnej Saksonii, bo to było najbliższe granicy z Polską duże miasto niemieckie. Tutaj też mieszkała dobra znajoma mojej mamy. Mogliśmy wybrać Bawarię, ale to nie wchodziło w rachubę, bo za daleko do Polski - wyjaśnia przekonywująco.

Martę Wachowską i Waldka z rodziną czekała najdalsza podróż. Po nowe życie. Lepsze?

WYJAZD NA STAŁE

Podróż Waldemara i jego mamy z Polski zaczął się pechowo. W czasie podróży taksówką z Tczewa na lotnisko w Rębiechowie mieli wypadek. W pobliżu Oruni jakiś rozpędzony samochód najechał na nich z tyłu. Dzięki dużemu bagażowi pasażerom nic się nie stało, oprócz małych poranień zewnętrznych. Natomiast pojazd był zrujnowany w tylnej części. Walizki całkowicie rozwalone. Wokół było pełno szkła. Tylko usiąść i płakać. Ale nie oni! Podjęli decyzję, że pojedą dalej inną taksówką. Pozbierali wszystkie rzeczy ze zniszczonych walizek i z pomocą pana kierowcy podjechali do pobliskiego domu towarowego, by kupić nowe. Dostali walizy - duże tekturowe pudła, ale i tak cieszyli się, bo sklepy w tym czasie świeciły pustkami. Na dworzec lotniczy dotarli na przysłowiową ostatnią minutę. Poleciali do Warszawy, gdzie mieli wcześniej zamówiony hotel. Tam okazało się, że skaleczenia powypadkowe były większe i sporo szkła odnajdowali w bieliznie osobistej. Następnego dnia, a było to 15 sierpnia 1981 roku, wystartowali do Frankfurtu nad Menem. Miasto powitało ich świątecznie, bo tego dnia było uroczyste obchodzone przez katolików Wniebowstąpienie Matki Bożej. Następnym etapem był wyjazd do Friedlandu, do tzw. obowiązkowego obozu dla przesiedleńców. - Tam załatwiało się praktycznie wszystko: wyprawkę składającą się z nowych rzeczy osobistych, kontrolę lekarską, otrzymanie „przejściowych” dokumentów niemieckich, a także pierwszą wyprawkę finansową. Te formalności trwały dość długo, bo obóz był przepelniony. Trzeba było stać w długich kolejkach. W końcu po kilku dniach otrzymaliśmy zezwolenie na pobyt w RFN do czasu wyjaśnienia ewentualnego niemieckiego pochodzenia. Ostatnie pytanie urzędnika to wskazanie miejsca, do którego chcielibyśmy pojechać. Wybraliśmy Hanower. Wcześniej mieliśmy załatwiony przez „Friedland” darmowy hotel. Posiadaliśmy też pieniądze na kilka tygodni życia. Potem zaczęła się latanina po różnych urzędach. Ten początkowy okres wymagał od nas dużej cierpliwości i wytrwałości. Mama po kilku miesiącach otrzymała obywatelstwo niemieckie, ponieważ urodziła się w dawnych Prusach, a ja miałem problemy, bo urodziłem się po wojnie, w Polsce. Miałem tę możliwość, że mogłem otrzymać podwójne obywatelstwo. Wybrałem tę opcję, bo zapamiętałem, jak ojciec mówił mi, żebym nie palił nigdy za sobą mostów. Do dziś mam dwa paszporty - mówi triumfalnie. Po ustaleniu obywatelstwa pozostał mu do rozwiązania największy emocjonalny problem - sprowadzenie żony z dziećmi do Hanoweru. Od pierwszych dni pobytu we Friedlandzie starał się o wizy na ich przyjazd. Automatycznie zostali

zarejestrowani jako ci, którzy dołączą kiedyś do męża i ojca. W Hanowerze dowiedział się, że wizy dla nich są gotowe i trzeba je odebrać w Ambasadzie RFN w Warszawie. Do tego jednak był potrzebny specjalny numer kodu i skrócony numer wizy rodzinnej. Chciał, aby żona otrzymała te dane jak najprędzej. Tymczasem łączność z krajem była katastrofalna. Trudno było o połączenia telefoniczne, korespondencje były kontrolowane. To wszystko było podyktowane stanem wojennym w Polsce. Zdeterminowany bezsilnością wobec historii, która kładła swą czarną łapę także na losach jego rodziny, wpadł na „szatański” pomysł. - Postanowiłem nadać informację o kodach poprzez „Radio Wolna Europa”. Było to ryzykowne posunięcie, bo władze polskie mogły wstrzymać ich przyjazd do mnie. Poza tym nie miałem pewności, czy żona tego dnia będzie słuchać radia i czy nie będą silne zakłócenia uniemożliwiające odbiór tego komunikatu. Jednak udało się i wszystko poleciało z góry. I tak moja żona wraz z dziećmi przyjechali do Hanoweru pociągiem już w marcu 1982 r. Nawet w stanie wojennym! Choć zawieszonym wtedy, ale jeszcze niezniesionym - informuje o swoim sukcesie. Był to czas, kiedy jak mityczny Midas, czego się nie dotknął, zamieniało się w złoto. Udało mu się też nostryfikować dyplom mgra filologii rosyjskiej. Już 23.12.1981 roku otrzymał odpowiedni dokument (Genehmigungsurkunde), uznający



Na spotkaniu klasowym w sierpniu 2019 r., fot. archiwum rodzinne

jego kwalifikacje zdobyte w Polsce, a nie było to takie łatwe w tamtych czasach, dzisiaj też nie. Tak więc drzwi na przyszłość zawodową w Niemczech zostały mu oficjalnie otwarte. Od samego początku miał dwie możliwości: albo kontynuować pracę w zawodzie nauczyciela, albo zacząć coś nowego. Okazało się, że każdy niemiecki nauczyciel musiał posiadać dwie specjalizacje. On miał jedną. Na drugą musiałby poświęcić kilka następnych lat. Dlatego postanowił pójść do przemysłu. Skierowano go do wielkiego koncernu „Continental AG” z siedzibą w Hanowerze. - Tam na początku szkoliłem się na kupca przemysłowego. Czas nauki był wliczany od początku do lat pracy. To bardzo mi się podobało! Przeszedłem zawodowo wszystkie działy firmy. Po tych doświadczeniach zostałem menadżerem spraw organizacji transportu do krajów byłej Europy Wschodniej, a także do RPA, Nowej Zelandii i Australii. Przede wszystkim byłem tłumaczem języków słowiańskich w kontaktach zawodowych, m.in. z Polską - „Stomil” w Olsztynie. Uprawnienia tłumacza z wynikiem bardzo dobrym (sehr gut) zdobyłem już w 1982 roku. Dodatkowo pracowałem na stanowisku docenta w Wyższej Szkole Ludowej, wykładając język polski i język rosyjski - przypomina fakty związane z pracą. Ale dobrą passę zawodową Waldemara przygłuszało życie rodzinne. Żona nie poradziła sobie z oddaleniem od rodziny w kraju. Kilkakrotnie wymagała kuracji szpitalnych. Po jednej z nich zdecydowała się na życie u boku innego mężczyzny. - W końcu po roku rozłąki (akurat w moje 39 urodziny) doszło do rozwodu. Jednocześnie sąd w Hanowerze orzekł podział majątku i dzieci. Bliźniaki (Michał i Bartek) przydzielono mojej żonie, a najstarszy syn - Klaudiusz, został mnie przyznany. Były to dla mnie bardzo ciężkie czasy: praca w Firmie Continental AG, praca w Volkshochschule, wychowywanie mojego syna, kolejna przeprowadzka, ustawowe płacenie dosyć wysokich alimentów na Michała i Bartka. A gdy bliźniaki skończyły 16 lat, to zostały mi podrzucone. Wtedy kończył się czas opieki koniecznej nad dziećmi, dający dodatek do przyszłej emerytury. Wtedy ze mną zamieszkała moja mama, której pomoc w wychowaniu moich dzieci była bezcenna. Klaudiusza już w domu nie było, usamodzielniał się - ze smutkiem wspomina ten czas. To nie był jednak koniec jego niefortów życiowych. Po roku 1998 musiał stoczyć skomplikowaną batalię sądową w obronie godności osobistej, kiedy został pomówiony o malwersacje, opluwany przez zawistne „polonuski” za rzekome czyny nieetyczne. Mimo tych upadków, udało mu się podnieść głowę do góry. W myśl dewizy, którą wyznaje: „Ciesz się z życia i uważaj je za dobre”. Tak. W człowieku tyle rzeczy zasługuje na podziw.

EMIGRANT Z POLSKĄ W SERCU

Mieszka w „dobrej dzielnicy” Hanoweru. Tu rozłożyły się Ogrody Królewskie, urokliwa i reprezentacyjna wizytówka miasta. A w jego mieszkaniu można ujrzeć kawałek Polski. Na regałach prężą się polskie książki, stoi też lalczka w stroju łowickim. Jedną ze ścian zdobi portret LOKATORA z herbem rodowym w ręku, wykonany przez Ewę Wachowską - jego siostrę, uznaną malarkę w środowisku hanowerskim. W szafach leżą stosy albumów ze zdjęciami rodzinnymi i obrazującymi niemiecką Polonię na przestrzeni dziesiątek lat. Na nich zastygł czas. Ożywa jedynie przy okazji odwiedzin synów i wnuków. Są też kasety CD. Na biurku w szklanym dzbanie „powiewają” trzy miniaturki chorągiewek: Polski, Niemiec i Unii Europejskiej. Można rzec: mieszkanie z duszą Polaka - Europejczyka. Polska dała mu korzenie, Niemcy materialną stabilizację, UE - szeroki horyzont widzenia

świata i akceptacji wszelkiej inności. Jak widać- można „różnić się pięknie”. Po czterech pierwszych latach pobytu w Landzie Dolnej Saksonii (tam leży Hanower) wstąpił do Związku Polaków „Zgoda” za-intrygowany nazwą oraz potrzebą łączności duchowej z krajem przodków. Szybko włączył się do działalności emigracyjnej i z pasją angażował się w struktury związku i jego działalność. - Tutaj w Hanowerze pokazywaliśmy nasz kraj przede wszystkim poprzez przedstawianie jego kultury i sztuki. Zapraszaliśmy więc różne zespoły artystyczne: muzyków, chóry, teatry, wybitnych polskich współczesnych malarzy, rzeźbiarzy oraz polskie zespoły taneczne i folklorystyczne. Na tych kilkudniowych imprezach, które odbywały się nie tylko w salach teatralnych i koncertowych, ale także w kościołach i na wolnym powietrzu (ulice i place miasta), przybliżaliśmy Polskę mieszkańcom Hanoweru. W tamtym czasie nie było to tak oczywiste. Z tego, co pamiętam, występowali, m.in.: znakomity Chór Politechniki Szczecińskiej, Zespół Folklorystyczny „Łany” z Poznania, profesjonalny Chór i Zespół Folklo-

rystyczny Akademii Rolniczej z Lublina itp. Dodam, że nasze imprezy finansowane były m.in. przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” w Warszawie, Rząd Landu Dolnej Saksonii oraz Konsulat Generalny RP w Hamburgu. Naturalnie, szukaliśmy i znajdowaliśmy też różnych sponsorów (miejscowe firmy polskie lub niemieckie). Trzeba też podkreślić, że sporo trudu wymagało przygotowanie takiej imprezy: sporządzenie planów i kosztów przedsięwzięcia, jego finansowanie, samo przeprowadzenie imprezy, zapewnienie uczestnikom miejsc noclegowych (hotelu), opłacenie kosztów przejazdu w obie strony i wreszcie wypłacanie honorariów za ich występy. Ważne też było nagłośnienie i promocja w mediach, czyli kampania reklamowa, co niemało kosztowało... itd.! Wszystkie imprezy i wszystkie możliwe dotacje rozliczał Bundesverwaltungsamt w Kolonii. Nie było mowy o żadnych przekrętach finansowych, o co mnie później pomawiano. Moje doświadczenia w pracy polonijnej w Hanowerze i Landzie Dolnej Saksonii przeniósłem potem (po wyborze mnie na stanowiska Prezesa Zarządu Głównego „Zgody” T.z.) do Nadrenii - Westfalii, do Recklinghausen. Na chwilę (2000 - 2006 r.) opuściłem Hanower i tam zamieszkałem z synem. Za moich czasów został tam odrestaurowany „Dom Polski”. Była też wydawana gazeta „Głos Polski” (istniejąca od 1950 r.), której byłem redaktorem naczelnym, dziennikarzem



W rodzinnym Tczewie, fot. archiwum rodzinne



W oddali Ratusz w Hanowerze, fot. archiwum rodzinne

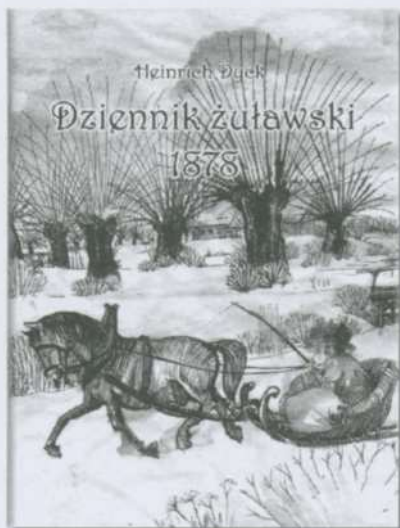
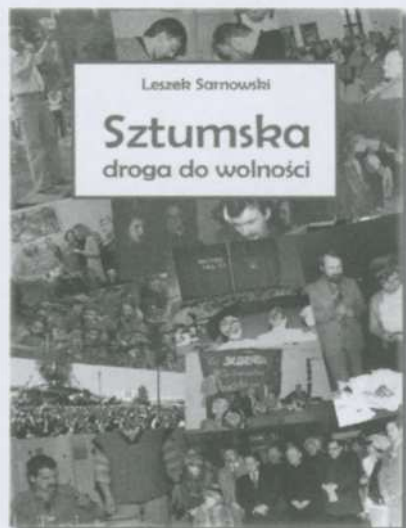
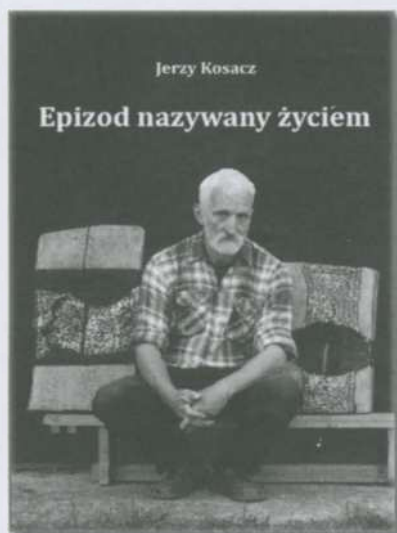
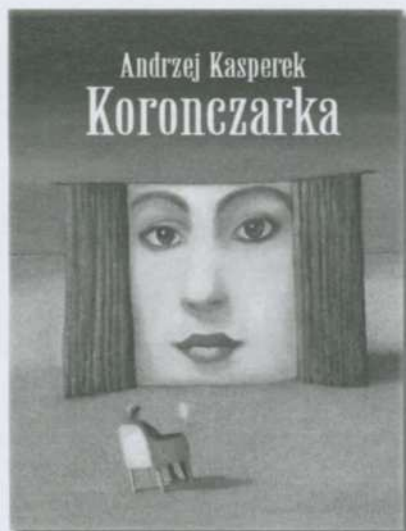
i wydawcą. W okresie mojego pobytu w głównej siedzibie „Zgody” w tym mieście był to kwartalnik dwujęzyczny. Wszystkie polskie teksty tłumaczyłem na język niemiecki, by najmłodsze pokolenie emigrantów, często nieznające języka polskiego, mogło też poczytać to pismo. Byłem Übersetzerem, tłumaczem tekstów pisanych. Już wtedy byłem samodzielnym tłumaczem (od 1998 r.). Nasz kwartalnik drukowany był w Polsce, w Lublinie, przez Wydawnictwo „Multico”. Za moją pracę na rzecz Polonii doczekałem się kilku wyróżnień. Oto one: dyplom z medalem Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia z Macierzą”, wręczony mi z okazji 30-lecia istnienia kolonii dla dzieci i młodzieży polonijnej 24.10.1977 roku. Następnie Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za sukcesy w działalności polonijnej - (Postanowienie Prezydenta RP z dnia 26.08.1998 roku, numer legitymacji 157-98-14. Wówczas Prezydentem RP był Aleksander Kwaśniewski. Także mam pamiątkowy Medal Senatu RP „Senat Odrodzony” z okazji dziesięciolecia istnienia Senatu w nowej RP (1989 - 1999) za działalność polonijną w RFN - szeroko prezentuje swoje dokonania Wachowski. Za najcenniejsze trofeum uznaje Krzyż Kawalerski. W postanowieniu prezydenta można przeczytać: „[Waldemarowi Wachowskiemu - przyp. autorki tekstu] za wybitne zasługi w dokumentowaniu i opiekowaniu się polskimi miejscami pamięci narodowej (...)”. - Chodzi tu m.in. o pielęgnowanie grobów polskich lotników, którzy walczyli w drugiej wojnie światowej o Anglię. Zestrzeleni zostali na terytorium Landu Niedersachsen, a pochowani zostali w Hanowerze na cmentarzu „Hannover War Cemetery”. Jest 8 takich grobów. Tu obchodziliśmy różne polskie uroczystości rocznicowe. Po przyznaniu tego wyróżnienia, doświadczył niewyobrażalnej agresji (dziś byśmy to określili krótko: hejtem). Poznał polonijne piekielko zawiści, podłości. Zazdrościli mu dotacji na działalność związkową. Podejrzewali go o szpiegostwo i malwersację na organizowanych dla dobra Polonii imprezach. Niewybrednie wchodzili w butach w jego życie osobiste i rodzinne. Nawet podali sprawę do sądu. Po wielu nieprzespanych nocach, szamotaninie wewnętrznej i poniesionych wysokich kosztach finansowych na adwokatów - odniósł zwycięstwo, a winni oszczerstw zostali ukazani wyrokiem w zawieszeniu - 50 tys. DM. I jak tu nie wierzyć, że „nikt nie jest prorokiem między swemi”?

*

Waldemar Wachowski w jesieni życia coraz częściej odbywa sentymentalne podróże do Polski. Ostatnio był pod koniec sierpnia 2019 r. w Tczewie. Odwiedził profesora Jana Bronowskiego, wychowawcę z LP. Spotkał się z kolegami szkolnymi - opowieściom nie było końca. Odwiedził Trójmiasto. Był obecny na uroczystościach na Westerplatte 1 września, w 70 rocznicę agresji niemieckiej na Polskę. W tym roku znów przyjedzie do kraju na kolejne spotkanie klasowe. Tym razem do Pelplina, gdzie mieszka Jadwiga, znana na Pomorzu esperantystka. Jako człowiek tzw. trzeciego wieku, zawarł przymierze z Koheletem. Wie, że za nim jest czas zasiewu i dojrzewania. Jego czas to owocobranie. Przekonał się o tym, kiedy dorośli synowie wpadają do niego i mówią po polsku. A gdy on jako symultaniczny tłumacz z zawodowego nawyku odpowiada im po niemiecku, to oni nadal mówią po polsku. Ziarno padło na podatny grunt. Nie ma już siły Samsona. Mimo to, krocząc po wertepach życia, skacze zwinnie jak antylopa. Obiera azymut na słońce. Ono najjaśniej, choć najdalej, świeci dla niego nad Wisłą. Tam wszystko się zaczęło...

Biblioteka kwartalnika

PROWINCJA



Prowadzimy sprzedaż wysyłkową: provincia@onet.pl

Na tropach historii

Grażyna Nawrońska

ODKRYWANIE PRABUT





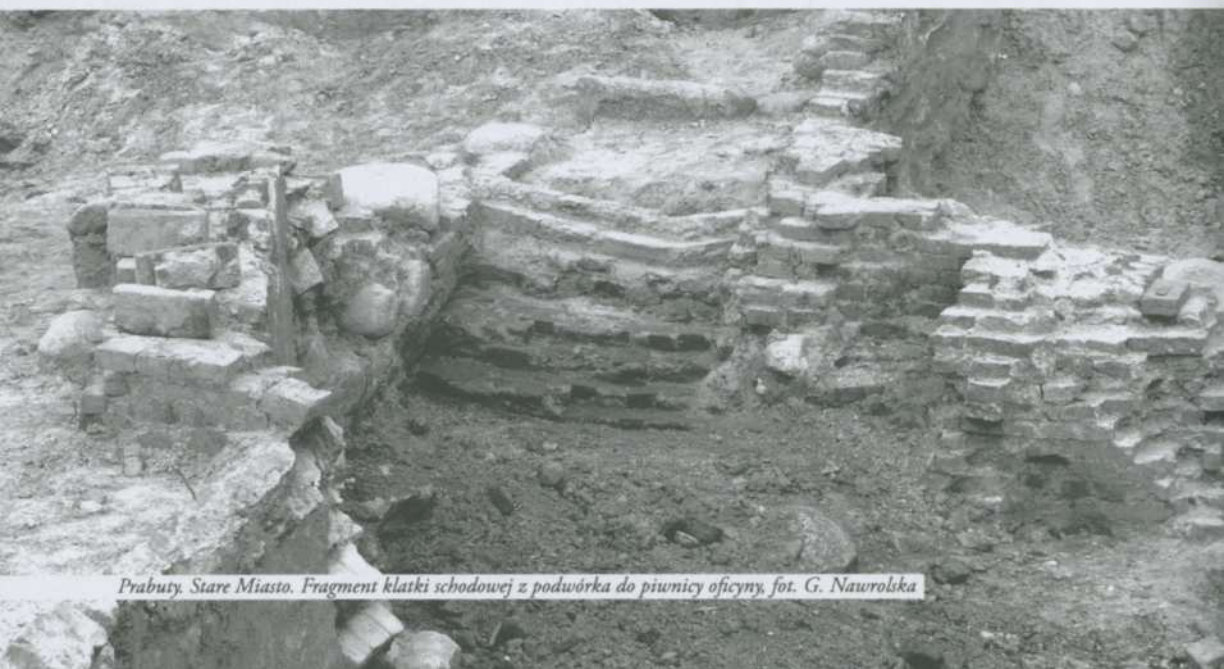
Prabuty - miasteczko o interesującej przeszłości położone niedaleko Kwidzyna powoli zaczyna odsłaniać swoje tajemnice.

Dzieje zamku i założonego obok niego ośrodka miejskiego rozpoczynają się w drugiej połowie XIII w. Rozpoczęcie przez Krzyżaków budowy obronnego założenia, a w kilkadziesiąt lat później przekazanie obiektu biskupom pomezzańskim, rozpoczyna bogate i skomplikowane koleje losu średniowiecznego zamku. Te zagadnienia zostaną Państwu przedstawione w osobnym artykule. Teraz naszą uwagę skierujemy na historię miasta, zwłaszcza na nieznaną dotąd kwestie, które jednak możemy poznać, opierając się na źródłach archeologicznych uzyskanych podczas prac wykopaliskowych prowadzonych w obrębie Starego Miasta. Chociaż one z pewnością nie są także wystarczające - stanowią tylko wyimki z jego przeszłości - jednak niewątpliwie bardzo ubogacają naszą wiedzę o dawnych Prabutach.

Za oficjalną datę lokacji przyszłego miasta przyjęto datę 30 maja 1330 r., a potwierdzeniem tego faktu był dokument wystawiony przez biskupa pomezńskiego Rudolfa (1321-1331). Chociaż, jak sądzą historycy, akt lokacyjny sankcjonował prawnie rozwijający się już od końca XIII w. nowy ośrodek miejski. Prabuty otrzymały prawo chełmińskie, dość powszechnie nadawane miastom i wsiom zakładanym w państwie krzyżackim. Zawierało ono m. in. prawa i obowiązki dotyczące mieszkańców - nadania ziemi na wspólne cele, zwolnienia z czynszów, zakresy działania władzy sądowniczej, funkcjonowania administracji miejskiej, kwestie gospodarcze.

Ulokowanie nowego ośrodka bezpośrednio w sąsiedztwie już istniejącego zamku było aktem typowym w działalności państwa krzyżackiego, w którym funkcjonowanie jednego członu zespołu stymulowało rozwój drugiego elementu kompleksu.

Zarówno Prabuty, jak i zamek, usytuowane zostały na wzniesieniu pomiędzy dwoma jeziorami: Liwieniec (Schlossee) i Młyńskim (Müllesee). Takie strategiczne położenie pozwalało mieszkańcom kontrolować przebiegające w pobliżu szlaki handlowe. Plan miasta



Prabuty. Stare Miasto. Fragment klatki schodowej z podwórka do piwnicy oficyny, fot. G. Nawrońska

zbliżony do kwadratu został podzielony na dziewięć bloków zabudowy, ograniczonych z każdej strony ulicami. Dwie główne osie komunikacyjne o orientacji północ - południe znajdowały się po obu stronach centralnie usytuowanego rynku - placu targowego oraz mieszczącego się w jego środkowej części ratusza - siedziby władz miasta. W zachodniej części Prabut połowę jednego z bloków zabudowy zajmowały kościół parafialny pw. św. Wojciecha, plebania, szkoła przykościelna oraz otaczający świątynię cmentarz. W obrębie każdego bloku zabudowy wytyczone zostały działki miejskie będące najmniejszą jednostką własnościową w obszarze miasta. Prabuty otoczono umocnieniami obronnymi początkowo ziemnymi, następnie w XV w. obwałowaniami murowanymi wzmocnionymi basztami i bramami. Do dzisiaj zachowała się tylko Brama Kwidzyńska w południowej części dawnej linii murów obronnych.

Miasto otaczały przedmieścia zamieszkałe głównie przez uboższą ludność. Na ich obszarze były urządzenia gospodarcze i warsztaty rzemieślnicze, m.in. rzeźnie, garbarnie, place składowe drewna, stajnie, a także ogrody i łąki należące do właścicieli miejskich parcel. Liczne wojny i epidemie powodowały duże zniszczenia miejskiej substancji, jak również dziesiątkowały mieszkańców Prabut. Ogromne dewastacje zabudowy mieszkalnej i gospodarczej powodowały gwałtowne pożary, które miały miejsce m.in. w latach 1688, 1861 i 1868. Spaleniu uległ wówczas ratusz i dwie trzecie zabudowy w obrębie miasta. Te kryzysowe wydarzenia, rozbiórka umocnień obronnych, ale i postępująca industrializacja, wymusiły podnoszenie się miasta z gruzów. Odbudowywano i wznoszono nowe budynki mieszkalne zarówno w mieście jak i na dawnym obszarze obwałowań miejskich, wytyczano ulice pokrywając je brukiem. Budowa linii kolejowej Berlin - Królewiec umożliwiła Prabutom połączenie z innymi miastami państwa pruskiego, co zdecydowanie miało duży wpływ na rozwój gospodarczy miasta.

Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. Prabuty znalazły się w granicach państwa polskiego. Niestety, dawna zabudowa Starego Miasta uległa ogromnemu zniszczeniu. Dalsza rozbiórka zachowanych jeszcze relikwów budynków podporządkowana akcji „porządkowania i estetyzacji terenu” unicestwiła pozostałości dawnej zabudowy - z wyjątkiem kilkunastu domów. W miejscu historycznego układu urbanistycznego wznoszono „nowoczesne bloki”, które zmieniły diametralnie dawny obraz Prabut. Pozostały jedynie niezabudowane współczesną architekturą fragmenty miejskiej przestrzeni po zachodniej stronie kościoła parafialnego pw. św. Wojciecha, południowej pierzei Rynku i fragmentu dawnej zabudowy na granicy zamek - miasto (część południowo-wschodnia).

BADANIA ARCHEOLOGICZNO - ARCHITEKTONICZNE

Pierwsze prace archeologiczno-architektoniczne w obrębie Starego Miasta w Prabutach miały miejsce w 2008 r. w południowej pierzei Rynku oraz w północnej części obecnego placu Kościuszki i były prowadzone przez dr. Antoniego Pawłowskiego. Odślonięto wówczas fundamenty kilku kamienic, a po wykonaniu dokumentacji naukowej wzniesiono w tym miejscu nowe budynki z zachowaniem dziewiętnastowiecznego podziału parcelacyjnego, jaki został stwierdzony w trakcie prac wykopaliskowych. Nie mając możliwości dotarcia do pełnej dokumentacji z tych prac badawczych, nie odniosę się do ich wyników.

Kolejne prace badawcze: archeologiczne i architektoniczne przeprowadzono na zlecenie Burmistrza Urzędu Miasta i Gminy w Prabutach pana Marka Szulca w latach 2018-2019. Badaniami kierowała niżej podpisana we współpracy z mgr inż. arch. Tatianą Balcerzak.

Badaniom archeologiczno-architektonicznym towarzyszyły inne prace. AES Pracownia badań archeologicznych Patryk Muntowski wykonała ortofotomapy odsłoniętych relikwów architektury murowanej; „GALEA” Stowarzyszenie Historyczno-Badawcze z Susza, przy użyciu wykrywacza metali sprawdzało wydobyty urobek z zasypanych po II wojnie światowej wewnątrz kamienic; Biuro Usług Geodezyjno-Kartograficznych Mirosława Wrześcińskiego z Kwidzyna wykonało inwentaryzację geodezyjną całego obszaru, a konstruktor Krzysztof Janowicz z Kwidzyna określił stan zachowania odkrytych fundamentów kamienic.

Pracami objęto fragment kwartału zabudowy, położonego w środkowo-zachodniej części Starego Miasta, ograniczonego ulicami: B. Prusa (dawniej Lindenstrasse), Jagotty (dawniej Grosse Kirchenstrasse) i Barczewskiego (dawniej Kleine Kirchenstrasse), a od strony zachodniej kościołem parafialnym pw. św. Wojciecha. W trakcie dwuletnich badań wykopaliskowych prace przeprowadzono na powierzchni 910 m².

Na podstawie źródeł historycznych, ikonograficznych i kartograficznych możemy stwierdzić, że na terenie objętym badaniami znajdowało się siedem lub osiem parcel (numery 75-81). Zabudowa została całkowicie zniszczona w 1945 r., a teren uporządkowano poszerzając jednocześnie ulice i chodniki kosztem dawnych działek miejskich.

Na planie miasta z 1750 r., pomiędzy trzecią a czwartą posesją (licząc od południa), widoczny jest rodzaj przechodu - miedzucha o szerokości od 2,5 m do 3,0 m, prowadzący na zaplecza działek i dzielący tę część kwartału na dwie części. Na późniejszym katastralnym planie miasta z przełomu XIX i XX w. nie dostrzegamy już przechodu, który prawdopodobnie został włączony do jednej z przebudowywanych kamienic (nr 78).

Przeprowadzone badania terenowe objęły swoim zasięgiem jedynie frontowe partie głębokich parcel, które wg planów katastralnych sięgały w głąb bloku średnio 37 m. Jak wynika z analizy planów miasta jedynie parcela o numerze 75, w południowo-wschodniej części



Prabuty. Stare Miasto. Fundamenty oficyn, fot. G. Nawrońska

bloku na narożniku ulic: Barczewskiego i Prusa była nietypowa, gdyż została podzielona na dwie mniejsze o długościach około 16 m i 20 m. Pozostałe wydłużone działki (o długości około 37 m) dochodziły do wydzielonej w zachodniej części bloku działki kościelnej, którą zajmowała świątynia parafialna miasta pw. św. Wojciecha, dom plebana, szkoła i cmentarz przykościelny. Wykopy badawcze ze względów bezpieczeństwa (czynna instalacja gazowa i energetyczna) musiały być odsunięte od ulicy Bolesława Prusa o 4,5 m i z tego powodu nie można było odsłonić linii zabudowy frontowej, która znajdowała się pod obecnym chodnikiem tej ulicy. Odsłonięte w wykopach relikty piwnic kamienic (numery 75-80) zajmowały niemal połowę pierwotnych parcel, czyli około 19 m.

KAMIENICA NR 75

Relikty kamienicy narożnej o numerze 75 zostały odsłonięte fragmentarycznie, ponieważ większą jej część zajął wytyczony po drugiej wojnie światowej chodnik należący do ulicy Barczewskiego. Ten niepodpiwniczony budynek o orientacyjnych wymiarach 8 m x 16 m zajmował całą powierzchnię parceli. Od strony Barczewskiego zachowały się relikty sieni wejściowej do budynku, a jej pozostałością jest fragment posadzki wykonanej z ceglanych szkliwionych płytek. Zachowane relikty kamiennie-ceglanych fundamentów ukazują niezbyt staranny sposób budowy domu. Ukazana na archiwalnych fotografiach kamienica posiadała dwie kondygnacje i nakryta była dwuspadowym wysokim dachem, z kalenicą skierowaną równoległe do ulicy B. Prusa. Skromna elewacja nie wyróżniała jej spośród stojących budynków. Najstarsze jej fragmenty możemy datować na XVIII w.

KAMIENICA NR 76

W obrębie następnej posesji oznaczonej numerem 76 odkryto fundamenty piwnicy traktu frontowego, które były najstarszym elementem domu i mogą być datowane na koniec XVIII w. Do tej części frontowej budynku dostawiono przesklepiony kolebkowo drugi segment, z którego zachowana w dobrym stanie piwnica zajmowała (podobnie jak część frontowa) pełną szerokość działki wynoszącą 8,7 m, a jej długość wynosiła 11 m. Łączna głębokość całego domu wynosiła około 19 m, mierząc od przypuszczalnej linii frontowej elewacji, która podobnie jak poprzednia została nakryta po drugiej wojnie światowej chodnikiem ulicy B. Prusa. Do piwnicy drugiego traktu prowadziły dwa wejścia: jedno z frontowej części budynku, drugie ze znajdującego się po północnej stronie wąskiego przechodu pomiędzy kamienicami o numerach 75 i 76. Z analizy źródeł ikonograficznych i fotograficznych wynika, że kamienica była budynkiem o znacznej głębokości nakryta trójkondygnacyjnym pulpitowym dachem o wyraźnie eklektycznej dziewiętnastowiecznej elewacji. Drugi głęboki trakt powstał prawdopodobnie na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku.

Wspomniany wcześniej przechód - miedzuch pełniący funkcję wąskiej uliczki o szerokości od 2,5 m do 3 m, znajdujący się pomiędzy budynkami o numerach 76 i 77 uwzględniony na planie z 1750 r., został w trakcie prac potwierdzony. Prowadził z dzisiejszej ulicy B. Prusa (dawnej Lindenstrasse) na podwórka domów znajdujących się przy niej. Trudno obecnie stwierdzić, jaką formę konstrukcyjną posiadała nawierzchnię przechodu. Czy był to bruk, ułożone dranice, względnie przestrzeń pokryta piaskiem. Tę ostatnią formę

stwierdzono podczas prac wykopaliskowych, jednak nie mamy pewności czy jest to oryginalny poziom.

KAMIENICA NR 77

Odsłonięte relikty murowanej zabudowy na tej posesji to zachowana część piwnic frontowej partii kamienicy oraz dostawiona do niej przysklepiona piwnica traktu tylnego budynku. Partia frontowa składająca się z dwóch piwnic (kamiennej i ceglanej) o łącznej długości 12 m i szerokości 7,5 m nie zajmowała pełnej szerokości parceli wynoszącej 10,7 m. Ostrożnie możemy przyjąć, że została wzniesiona na przełomie XVII i XVIII w. lub w pierwszej połowie XVIII w. Do piwnic traktu frontowego prawdopodobnie w końcu XVIII w. dostawiono drugi budynek, którego piwnica miała 8 m długości i 4 m szerokości. Była nakryta sklepieniem kolebkowym opartym na niskich bocznych murach. Zachowana na archiwalnych fotografiach cała dwutraktowa kamienica przedstawia typowy budynek czynszowy o eklektycznej elewacji, który możemy datować na pierwszą połowę XIX w. Nakryty płaskim pulpitowym dachem miał dwie kondygnacje i wysokie poddasze.

KAMIENICA NR 78

Relikty następnej kamienicy o numerze 78 odsłonięte zostały w całości. Partia fundamentowa piwnic frontowego traktu zajmowała 2/3 szerokości parceli, a po jej południowej stronie zajmował się wąski przejazd na zaplecze działki. Budynek miał około 10,8 m szerokości i 9,5 m głębokości. Trakt frontowy kamienicy, podobnie jak było to w przypadku kamienic nr 75-77 nie był podpiwniczony, a kamienne fundamenty posadowione były stonkowo płytko. Do budynku dostawiono jednoprzestrzenną oficynę o wymiarach 3,9 m x 4,0 m, głęboko posadowioną i przysklepioną ceglana kolebką. Od strony wschodniej prowadził do jej piwnicy długi korytarz z doskonale zachowanymi schodami, łączący ją z kamienicą. W zachodniej ścianie piwnicy wykuto otwór w postaci czterech stopni łączący



Prabuty. Stare Miasto. Odsłanianie piwnic kamienic, fot. G. Nawrońska

ją z poziomem terenu podwórka. Był to zapewne rodzaj zsypu. Oficyna mogła być zbudowana na przełomie XVIII i XIX w.

Na fotografii z początku XX w. widzimy 3-kondygnacyjną kamienicę z pulpitem dachem o dziewiętnastowiecznej stylistyce elewacji.

KAMIENICA NR 79

W części frontowej posesji nr 79 odsłonięto pozostałości niepodpiwniczonej kamienicy o szerokości 8 m i maksymalnej długości 11 m. Wyznaczały ją kamienne fundamenty o grubości murów sięgające jednego metra. Wzniesiony na nich budynek mógł powstać w drugiej połowie XVII w lub na przełomie siedemnastego i osiemnastego stulecia. Do frontowej kamienicy od strony zachodniej dostawiono dwu-pasmową oficynę nakrytą kolebkowym sklepieniem, której zachowane kamiennie-ceglane mury wyznaczają obiekt o wymiarach 6 m xx 8 m. Łączna długość kamienicy i oficyny od frontu do podwórka na zapleczu budynków wynosiła 19,5 m. W południowej części niezabudowanej parceli znajdowało się niewielkie podwórko.

W źródłach ikonograficznych i fotograficznych kamienica nr 79 ukazana jest jako wąski, XIX-wieczny budynek o trójosiowej kompozycji elewacji frontowej, posiadający trzy kondygnacje, a całość nakryta jest pulpitem dachem.

KAMIENICA NR 80

Na posesji nr 80 odkryto reliktory fundamentów ścian niepodpiwniczonej kamienicy usytuowanej we frontowej części działki, podpiwniczoną oficynę ulokowaną w tylnej jej partii oraz długi korytarz łączący oba wnętrza od strony niewielkiego podwórka w części południowej. Pełna szerokość tej działki miejskiej wg planu katastralnego z przełomu XIX/XX w. wynosiła 12,80 m, a odsłonięte reliktory kamienicy mają tylko 6-7 m. Odkryte przez nas fundamenty zajmowały prawdopodobnie obszar pierwotnej wąskiej posesji, do której na przełomie XIX i XX w. włączono parcelę sąsiadującą z nią od strony północnej. Do kamienicy od strony zachodniej dostawiono oficynę, której kamiennie-ceglane mury wyznaczały powierzchnię 4 m x 5 m. Cały obiekt nakryto sklepieniem kolebkowym. Zachowane reliktory ścian kamienicy i oficyny określają łączną głębokość zabudowy na 19,5 m. Na zachowanej fotografii z początku XX w. stojąca na posesji nr 80 kamienica jest wyjątkowo szerokim pięcioosiowym obiektem. Wysokością zbliżona do budynków sąsiednich posiadała dwie kondygnacje, a całość przykrywał dach dwuspadowy o mocno nachylonych połaciach.

Przeprowadzone w latach 2018-2019 prace archeologiczno-architektoniczne w obrębie wschodniej części kwartału zabudowy ograniczonego ulicami: Barczewskiego - Prusa - Jagotty i bryłą kościoła parafialnego pw. św. Wojciecha, zapoczątkowały działania badawcze w tym rejonie miasta.

Do 1945 r. obszar ten był zabudowany, o czym świadczy dostępna nam ikonografia i dokumentacja fotograficzna. Zakończenie działań wojennych drugiej wojny światowej

przyniosło poważne zniszczenia miejskiej zabudowy, a późniejsza rozbiórka ocalałych reliktów unicestwiła do końca istniejącą zabudowę mieszkalną. Ten fragment miasta do dzisiaj pozostaje niezabudowany, a przeprowadzone przedinwestycyjne prace badawcze miały na celu określenie wielkości miejskich parcel, ich rozplanowanie i sposoby budowy.

Na planie Prabut z 1750 r. widocznych jest siedem parcel z kamienicami zwróconymi frontem do ulicy B. Prusa (dawniej Lindenstrasse). Mniej więcej w połowie zabudowy rozdzielone są one wąskim przechodem o szerokości 2,5 m - 2,7 m prowadzącym na zaplecza działek. Plan katastralny z początku XX w. precyzyjnie już określa szerokości frontowe poszczególnych parcel, jednocześnie rejestrując zlikwidowany przechód, który został wchłonięty przez rozbudowaną kamienicę nr 78. Prace badawcze potwierdziły podane na dwudziestowiecznym planie szerokości frontowych kamienic, które zamykały się w granicach od 8,5 m do 10,7 m. Głębokość zabudowy w poszczególnych działkach wynosiła 19 m. Tę przestrzeń stanowił budynek frontowy i dostawiona do niego oficyna, która były częściami mieszkalnymi zabudowy kwartału. Łączna długość posesji wynosiła około 37 m, a ich tylne partie stanowiły podwórka. Na wszystkich przebadanych parcelach budynki frontowe były niepodpiwniczone sięgające głębokości do 10,70 m, licząc od miejsca przypuszczalnej ściany frontowej. Ich zachowane, ale mocno zniszczone reliktury kamiennych fundamentów z nielicznie wykorzystanymi ceglami, możemy ogólnie datować na XVII-XVIII w. Generalna przebudowa kamienic miała miejsce na przełomie XVIII i XIX w., gdy do wnętrza budynków drugiego traktu dostawiono przesklepione kolebkowo piwnice, które w przypadku kamienic nr 76 i 77 miały kolejno 9 m i 7 m długości. W trakcie tej przebudowy podwyższono budynki frontowe o jedną lub dwie kondygnacje, całość nakrywając pulpitowy dachem.

Odślonięte podczas badań archeologiczno-architektonicznych reliktury dawnej zabudowy mieszczańskiej na Starym Mieście w Prabutach stanowią doskonałe źródło wiedzy mówiące nam o podziałach limitacyjnych bloku, rozplanowaniu parcel miejskich, technikach wznoszenia budynków i materiałach użytych do ich budowy - kamienia, cegły, różnorodnych zapraw. Ukazują nam także sposoby radzenia sobie podczas stawiania domów w gliniasto-piaskowym gruncie. Podczas przyszłej odbudowy będzie można zachować dawny podział kwartału na poszczególne parcele i tym samym nawiązać do historycznej limitacji miasta.



Prabuty. Stare Miasto. Piwnice kamienic, fot. G. Nawrońska



Prabuty. Stare Miasto. Klatka schodowa prowadząca z traktu frontowego do piwnicy oficyny, fot. G. Nawrońska

Bogumił Wiśniewski

FRESK

Z KWIDZYŃSKIEJ KATEDRY

Malarstwo kościelne towarzyszyło modlącym się w katedrach od wieków. Obrazy ściennie w świątyniach wpływały pozytywnie przez swoją różnorodną treść na ówczesną pobożność. Bezpośrednio przybliżyły do Boga. Czy wierzący zdawali sobie sprawę, że były w nich również ukryte znaczenia? Pewnie nie, tylko duchowni potrafili zinterpretować zawilosci teologiczne. Obecnie wydaje się, że wszystko w tym temacie zostało już powiedziane. Przecież postacie biblijne na freskach są obecnie rozpoznawalne przez ogół wierzących, także gesty świętych utrwalone na ścianach są zrozumiałe dla modlących się ludzi w świątyni. Rodzi się pytanie - czy coś jeszcze można w nich zaskakującego odkryć?



Wspornik z prezbiterium katedry, fot. B. Wiśniewski

Malarze wszystkich epok lubili w swoich dziełach pozostawiać sekretne wiadomości i ukryte treści. Wyrażali w swoich obrazach chociażby refleksję nad naturą i związkiem człowieka z otaczającą go przyrodą. Odnosili się bezpośrednio w swoich dziełach do więzi człowieka z Bogiem. Freski zachowane w kwidzyńskiej katedrze, nazwijmy to współcześnie - *chmurą danych z obrazu*, wciąż namawiają odbiorcę, aby je prawidłowo odczytał. Na pierwszy rzut oka we freskach nie ma nic sensacyjnego. Sceny biblijne są zrozumiałe dla współczesnego odbiorcy, mają wszystkie walory, aby je prawidłowo odczytać. Jednak przy bliższym ich poznaniu nasuwa się przypuszczenie, że nie jest w nich wszystko odkryte, bo obrazy mają podwójny sens teologiczny. Aby dobrze zrozumieć przesłanie autora, trzeba sięgnąć do Jana z Kwidzyna (1343-1417), a konkretnie do: *Księgi świętych*, pod intrygującym podtytułem: *Objawienia Błogosławionej Doroty z Mątów*¹. Jakże zatem z tej *Księgi* inspiracje mógł zaczerpnąć malarz z epoki? Przede wszystkim są to wizje Doroty spisane przez mistrza Jana oraz jego interpretacje. Zapewne zapisane wizje z księgi błogosławionej przyczyniły się do powstania przynajmniej kilku fresków w kwidzyńskiej katedrze. Sądzę, że objawienia Doroty zainspirowały nie tylko Jana z Kwidzyna, ale również nieznanego nam z nazwiska malarza, który pozostawił nam freski w kościele.

¹ Jan z Kwidzyna, *Księga świętych. Objawienia Błogosławionej Doroty z Mątów*, przełożył ks. biskup Julian Wojtkowski, Olsztyn 2013.

Kiedy wchodzi się do kwidzyńskiej świątyni, wewnątrz robi wrażenie swoją piękną przestrzenią. Światło padające przez okna podkreśla walory średniowiecznej katedry. Dzięki światłu freski na ścianach zaczynają żyć, a sceny namalowane na ścianach budują niepowtarzalny klimat wnętrza. Są one jak korona, która otacza prawie całą kwidzyńską świątynię. Ta mnogość obrazów czasami może przytłoczyć widza. Umieszczone po stronie północnej i południowej malowidła tworzą panoramę biblijną. Trudno wybrać z tej różnorodności tematyki tylko jeden fresk, aby go omówić, ponieważ wszystkie są interesujące. Moje zainteresowanie skierowałem na wielowątkową opowieść, która składa się z siedmiu oddzielonych pól, które tworzą niepowtarzalną całość. Fresk znajduje się po stronie południowej w centralnym miejscu, nad głównym wejściem do kościoła. Fresk opowiada historię zbawienia ludzkości. Uważam, że w tym dziele najprawdopodobniej malarz umieścił dwukrotnie bł. Dorotę z Mąków. Być może nie ze swojej inicjatywy, tylko zrobił to z polecenia Jana z Kwidzyna.

Wychodząc z kościoła głównym wyjściem nie sposób nie zauważyć dzieła powstałego w średniowieczu. Całość malowidła znajduje się w centralnym miejscu, tuż nad wspólną kruchtą, następnie ciągnie się w kierunku zachodnim. Siedmioczęściowy obraz przedstawia mękę, śmierć i zmartwychwstanie Pana Jezusa. Dzieło wykonane jest z dużym rozmachem. Sceny z życia Chrystusa są sugestywne i oddziałują na wyobraźnię widza. Tłem fresku są namalowane wijące się liście. Zielone liście są bardzo ważne dla prawidłowego zrozumienia powstałej kompozycji.



Chrystus otwiera bramy piekiel, fot. B. Wiśniewski

Dwa pola dzieła są nie do końca czytelne, ponieważ XIX wieczna przebudówka, przedłużająca późnoromańską od zewnątrz kruchotę, zasłania obrazy. Akurat fresk ten nieprzypadkowo znalazł się nad głównym wejściem do kościoła. Wydaje się, że chodziło o zrobienie wyjątkowego wrażenia na modlących się w świątyni. Na zewnątrz kościoła znajduje się mozaika, która przedstawia św. Jana gotowanego w oleju. Przesłania płynące z tych dwóch dzieł z katedry miały za zadanie rzucenie wiernych od razu na kolana. Od zewnątrz katedry witał ludzi patron katedry św. Jan Ewangelista wraz z kłęczącym biskupem. Natomiast we wnętrzu, po przekroczeniu progu kościoła, rozpościerał się nad głowami wiernych najważniejszy fresk świątyni z historią ludzkiego zbawienia. Te dwie sceny miały potrząsnąć świadomością grzeszników i pozytywnie wpłynąć na i pobożność.

Pierwsza scena z fresku przedstawia dwie postacie z aureolą nad głową oraz symboliczne drzewo życia i śmierci. Dlaczego akurat drzewo rozpoczyna opowieść o życiu Jezusa? Ponieważ drzewo kojarzymy z Rajem. To również drzewo, które zostanie przeznaczone na krzyż Chrystusa. Dzięki mocy zbawczej drzewo oznacza życie. O tym mówi Apokalipsa św. Jana (2,7; 22,14) w rozdziale, w którym przedstawiony jest obraz „Świętego Miasta” „*Pomiędzy rynkiem Miasta a rzeką, po obu brzegach, drzewo życia rodzące dwanaście owoców - wydające swój owoc każdego miesiąca - a liście drzewa [służą] do leczenia narodów (22,2)*”. „*Kto ma uszy, niech słucha, co Duch mówi do Kościołów. Zwyćięzcy pozwolę jeść z drzewa życia, które znajduje się w raju Boga (2,7)*”. Natomiast Psalm 92 wyjaśnia, dlaczego splecione liście posłużyły za tło fresku: „*sprawiedliwy zawsze okrywa się zielonymi liśćmi i wydaje liczne owoce (13-15)*”. Drzewo w ikonografii uznaje się za symbol zmartwychwstania, „*drzewo życia, jako symbol chrześcijański, albo całkowicie utożsamiano z drzewem poznania, albo ukazując ich przeciwieństwo, wskazywało się, na zachodzące jednak między nimi bardzo ściśle związki*”.

Drzewo życia i drzewo poznania są ze sobą splecione, łączą się w symboliczny sposób tworząc początek i koniec. Przesłanie naszej wiary. Wielu egzegetów upatruje, to że *liście są symbolem słów: Boskie wypowiedzi Pana i nauki Jego następców nie przeminą, tak jak czytamy w (PS 1,3): A liście jego nie więdną. Są to bowiem liście drzewa życia Chrystusa i służą do leczenia ludzkości, tak jak przepowiedział Ezechiel (47,12); prorok z Patmos ogląda zaś wypetnienie jego prorockich słów (Ap 22,2)*².

W dalszej scenie naszego fresku, w innym już polu, przedstawiony jest ukrzyżowany Jezus. I tu właśnie po raz pierwszy została namalowana - moim zdaniem - bł. Dorota z Mątów. Stoi po prawej stronie, tuż za ukrzyżowanym Chrystusem. Niektórzy badacze są przeciwni temu, aby łączyć tę postać z błogosławioną. Jednak moim zdaniem wizja Doroty wyjaśnia, dlaczego Ona mogła tam się znaleźć. „*A ponieważ żaden z twoich duchowych synów nie szukał mnie tak gorąco jak ty pod krzyżem, dlatego dziś chcę wspaniałomyślnie ukazać się tobie i pokazać świętości, mianowicie nie srebro i złoto, lecz mnie samego*”³.

W rozgrywającej się scenie Dorota zwrócona jest twarzą do żołnierza trzymającego włócznię. Są tu tylko dwie postacie, nie mają nimbu świętości nad głowami. Właśnie żołnierz, który przed chwilą przebił bok Chrystusa i opisana kobieta. Jest pochylony, skupiony

² D. Forstner OSB, *Świat symboli chrześcijańskiej. Leksykon*, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 2001, s. 155.

³ Tamże, s. 212.

⁴ Jan z Kwidzyna, *Księga świętych...*, dz. cyt, s. 119.



Pole z ukrzyżowaniem Jezusa. Bł Dorota z żołnierzem, fot. B. Wiśniewski



Scena ukrzyżowania Jezusa. Bł Dorota z żołnierzem, fot. B. Wiśniewski

i wsłuchany w słowa niewiasty, która szepce mu coś do ucha. Może Dorota akurat w tym momencie tłumaczy mu swoją wizję, którą przeżyła w kwidzyńskiej pustelni: „*Pana wysoko na krzyżu zawieszono, ponieważ tak mocno pociągnął ją w górę na krzyż do siebie zawieszono, że tego rodzaju pociągnięcie odczuła nawet w zmysłach i myślała, że tak mocno jest przebita do krzyża, że od jego zbawiennego zawłaszczenia nie może się uwolnić po wszystkie dni swego życia*”⁵.

Kobieta ubrana jest w długą tunikę w różowym kolorze, na głowę ma włożoną seledynową czapkę. Zachowane kolory niekoniecznie odpowiadają pierwotnej kolorystyce, wiadomo przecież, że freski były odnawiane w XIX wieku. Obecnie niemal nie widać już oryginalnych średniowiecznych tonacji, ale mimo wszystko nadal barwy pobudzają wyobraźnię. Trzeba chyba przyjąć, że kolorystyka szat, które się zachowały na obrazie, może być zbieżna z pierwotnymi barwami malunku. „*Wreszcie gdy zeznająca tak przez wszystkich była opuszczona, jak stwierdziła, pani Dorota wspomniana w takiej szacie, jak wymalowana jest w katedrze Pomezkańskiej, ukazała się tejże zeznającej*”⁶. Ciekawy jest opis wizji wieśniaka, dotyczącej stroju Doroty: *nie poznał; i dziwił się, która by to była, bo wówczas żadnej niewiasty w rzeczonyj wsi nie było, która by taki strój, mianowicie błękitny, nosiła. Ubrana była w tunikę błękitnej barwy i w płaszcz czerwony*⁷.

⁵ Jan z Kwidzyna, *Księga świętych...*, dz. cyt., s. 118.

⁶ *Akta procesu kanonizacyjnego Doroty z Mąjów od 1394 do 1521*, przeł. bp J. Wojtkowski, Olsztyn 2014, s. 460.

⁷ Tamże, dz. cyt., s. 444.

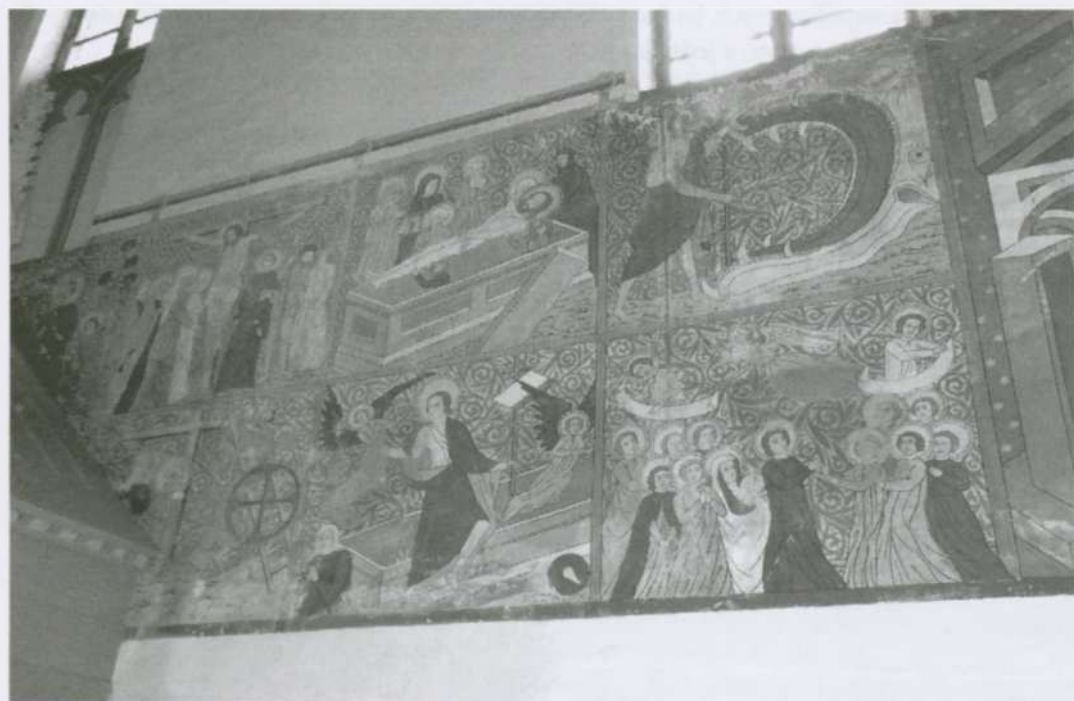


Scena zmartwychwstania, for. B. Wiśniewski

Po raz drugi Dorota pojawiła się w scenie zmartwychwstałego Jezusa. Tak jak w poprzednim obrazie nie ma Ona nimbu nad swoją głową. Scena z błogosławioną Dorotą jest bardzo zagadkowa. Kobieta klęczy ze złożonymi rękoma do modlitwy, twarz ma pogodną, wydaje się, że jest niezainteresowana wyjątkowymi wydarzeniami, które akurat dokonują się za jej plecami. Być może klęczy odwrócona plecami do Zmartwychwstałego, ponieważ taki układ polecił jej Jezus. Ta poza najwidoczniej pozwoliła jej przeżyć, aby mogła później dać świadectwo o wydarzeniach z pustelni Janowi z Kwidzyna. „*On jej powiedział: Tej nocy w porwaniu ukazałem się tobie tak wspaniałomyślnie, że nie zdołasz wyrazić. Gdybym ci się tak ukazał cielesnie jak uczyniłem duchowo, nie zdołałabyś wytrzymać, lecz zaraz musiałabyś umrzeć, tak jak w Wielki Piątek. Gdybyś dokładnie zobaczyła moje więzy, rany, umarłabyś z ogromnego bólu*”⁸.

Dalej, na pierwszym planie tuż przy Dorocie, w prawym dolnym rogu, znajduje się w czerwonym kole namalowany but lub stopa. Co może oznaczać ta symbolika w kluczowym wydarzeniu dla chrześcijan? Przekaz ten wyjaśnia między innymi jeden z Psalmów: *Stopa, a także but są symbolem ujarzżenia albo wzięcia czegoś w posiadanie (Ps 60, 10). Idea ta prowadzi następnie do idei panowania godności i rangi społecznej. Potężni królowie posyłali pomniejszych władcom swoje obuwie, które musieli oni nosić na znak panowania. Jak obuwie jest znakiem panowania, wyniosłości i wysokiej rangi społecznej, tak z drugiej strony obnażenie stopy, zdjęcie obuwia jest wyrazem czci, pokory, uniżoności, w niektórych okoliczności rów-*

⁸ Jan z Kwidzyna, *Księga świętych...*, dz. cyt., s. 114.



W całości fresk siedmiopolowy, fot. B. Wiśniewski

niez żatoby i pokory (Ez 24,17.23)⁹. Przez mękę, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa, wzięci zostaliśmy w posiadanie Boże, jednocześnie jest to wyraz czci i pokory dla Najwyższego. W Apokalipsie stopy Syna Człowieczego są *podobne do drogiego metalu, jak gdyby w piecu rozżarzonego (Ap 1,15), ponieważ wszechmoc Boża może zburzyć i zniszczyć wszystko, co chciałby się sprzeciwić planom Boga albo przeszkodzić ich realizacji*¹⁰.

W następnej części siedmiopolowego fresku możemy oglądać scenę przedstawiającą Chrystusa, który otwiera Bestii szeroko paszczę. Inaczej, moc zmartwychwstałego Jezusa, otwiera bramę piekła. Nikt przed Nim tego nie dokonał. *Potem ujrzałem inną Bestię, wychodzącą z ziemi: miała dwa rogi podobne do rogów Baranka, a mówiła jak Smok (Ap 13, 11). Tu jest potrzebna mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć (Ap 13, 18)*¹¹.

Dodatkową atrakcją omawianego fresku jest namalowany tzw. zacheuszek. W kościołach katolickich zacheuszki były umieszczane w tych miejscach, które biskup namaścił podczas dedykacji i poświęcenia kościoła. Zwyczajowo w katedrze było dwanaście znaków tego typu.

Podobna scena z Bestią znajduje się także na wsporniku sklepienia, który znajduje się w prezbiterium kwidzyńskiej katedry. Tam również pojawia się otwarta otchłań Bestii z diabłem w roli głównej.

Katedra kwidzyńska ma jeszcze wiele nieodkrytych tajemnic. Freski stanowią taki namacalny dowód. Każda namalowana scena w kościele ma w sobie drugi wymiar. Są to kody, które pozostawili nam poprzednicy do rozwiązania. Rozszyfrowanie ich wiąże się z dużym wyzwaniem dla współczesnych badaczy. Wydawałoby się, że mamy na ścianach prostą do odczytania *Biblię Pauperum*, a jednak jest inaczej.

⁹ D. Forstner OSB, *Świat symboli chrześcijańskiej...* dz. cyt., s. 447.

¹⁰ Tamże, dz. cyt., s. 361.

¹¹ *Biblia tysiąclecia. Pismo święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallottinum, Poznań, 2003.

Łukasz Rzepczyński

DĄB CESARZA

Przyczynek do dziejów Placu Plebiscytowego w Kwidzynie

Nieopodal zespołu katedralno-zamkowego w Kwidzynie znajduje się wyjątkowa przestrzeń urbanistyczna, która jako jedyna w mieście niemalże w całości zachowała swój historyczny charakter i klimat. Miejscem tym jest dzisiejszy *Plac Plebiscytowy*, dawniej cmentarz miejski, następnie *Plac Flottwella* (*Flottwellplatz*) oraz *Plac Zwycięstwa*. Na jego temat lub niektórych jego elementów, w dzisiejszych czasach powstało już kilka opracowań i artykułów. Co nie znaczy, że wszystkie jego sekrety zostały odkryte.

W krajobrazie kulturowym omawianego placu, oprócz reprezentacyjnych i użytkowych zabytków architektury XIX i XX – to wiecznej, występują również liczne nasadzenia zieleni nawet o ponad stuletniej metryce. Na szczególną uwagę zasługuje okazały i wiekowy dąb – *Pomnik Przyrody*¹, znajdujący się we wschodniej części dawnego cmentarza, który zdecydowanie wyróżnia się na tle pozostałego zadrzewienia.

¹ Dąb szypułkowy, nr rejestru wojewódzkiego - 57/93, obwód: 380 cm, wysokość: 32 m.



Kwidzyn, Plac Plebiscytowy, widok na Pomnik Przyrody w kierunku wschodnim, fot. Ł. Rzepczyński (15.03.2020)

Posadzenie tak okazałego i szlachetnego drzewa w tak zacnej parkowej przestrzeni i to w dodatku naprzeciw klasycystycznego gmachu dawnego *Gimnazjum Królewskiego* (*Königliches Gymnasium zu Marienwerder*) musiało zapewne wiązać się z uroczystym wydarzeniem. W literaturze przedmiotu z ostatniego ćwierćwiecza można natknąć się na kilka istotnych informacji, które mogą mieć związek z omawianym zagadnieniem. W publikacji dotyczącej architektury i budownictwa w Kwidzynie w czasach rejencji, Artur Dobry wymienia m.in. pomniki, które znajdowały się w omawianym parku -wspomina w o *Dębie Cesarskim!* Autorzy przewodnika po Kwidzynie – Antoni Barganowski i Henryk Michalik charakteryzując pokrótce historię i zabytki *Placu Plebiscytowego* zaznaczają, że w jego obrębie (...) *rosł tzw. Dąb Cesarski*. W obu pozycjach brak jednak jest jego dokładnej lokalizacji. Z kolei Jerzy Kosacz zgłębiając historię tego magicznego miejsca odnotowuje w zarysie okoliczności posadzenia dębu wraz z jego dokładną lokalizacją. W tym miejscu zaznaczyć trzeba, że informacje dotyczące okoliczności posadzenia drzewa, które zawarte zostały, w co najmniej czterech bardzo zbliżonych publikacjach nie są ze sobą spójne. W jednym z pierwszych opracowań badacz tak oto opisuje historię omawianego dębu – (...) *Naprzeciwko byłego Królewskiego Gimnazjum rośnie otoczony metalowym płotkiem dąb. Przez niektórych zwany Dębem Napoleona, jako że "co drugi" dąb w XIX-wiecznych Prusach nosił taką potoczną nazwę. Ten prawdopodobnie osobiście zasadziła księżniczka Luiza, córka królewskich fundatorów Gimnazjum, gdy 15 czerwca 1840 roku miała uczestniczyć w ponownym uroczystym otwarciu nowego gmachu Gimnazjum*. W kolejnych publikacjach zaś – (...) *Z czasów cesarskich pozostał na placu żywy pomnik, którym jest okazały dąb zasadzony w dniu cesarskich urodzin Wilhelma I w 1871 roku*.

Zasadniczym celem niniejszego tekstu będzie zweryfikowanie dotychczasowych ustaleń, które nie do końca są ze sobą spójne i precyzyjne. Zamierzenie będzie realizowane w oparciu o analizę pozyskanych w toku kwerend źródeł pisanych i drukowanych, ikonograficznych oraz kartograficznych.

Już po wstępnym zapoznaniu się z pozyskanym i przeanalizowanym materiałem źródłowym można uzyskać odpowiedzi na wyznaczone powyżej postulaty, a także postawić kolejne pytania dotyczące np. wspomnianego *Dębu Napoleona* czy dębu zasadzonego przez księżniczkę Luizę. Ale po kolei...

Za punkt wyjścia w naszych rozważaniach można przyjąć przegląd wraz z przedstawieniem kluczowych dla tematu przekazów kartograficznych i katastralnych, które dla Kwidzyna są zresztą bardzo bogate. Na jednym z orientacyjnych planów, który przedstawia obraz przestrzenny miasta w 1929 roku wraz uzupełnieniami z 1938 roku, można dostrzec w miejscu dawnego *Placu Flottwella* uczytelnione drzewo. Jego umiejscowienie pokrywa się z naszym okazałym dębem. Niestety brak jest jakiegokolwiek komentarza czy podpisu, co zdecydowanie ułatwiłoby jego identyfikację. Mimo to stwierdzić można, że dla ówczesnych mieszkańców dawnego Marienwerder był to niezwykle istotny detal o historycznej i kulturowej wymowie.

Kluczowych danych dostarcza plan katastralny z 1906 roku z fragmentem omawianego placu. Poza danymi mierniczymi wraz z zaznaczoną lokalizacją centralnie postawionego *Pomnika Wojennego* (*Kriegerdenkmal*), naniesiony na plan przez mierniczego został *Dąb Ce-*

sarski (*podpis – Kaisereiche!*). Jego położenie po wschodniej stronie przestrzeni parkowej tuż przy dzisiejszej ul. Słowiańskiej (Herrenstrasse) i naprzeciw dawnego *Królewskiego Gimnazjum* definitywnie powiązać należy z zachowanym i prezentowanym *Pomnikiem Przyrody*.

Uzyskane informacje z analizy kolejnych przekazów źródłowych, zarówno tekstowych, jak i ikonograficznych zdecydowanie potwierdzają powyższy wniosek, jak i dostarczają garść nowych faktów związanych chociażby z przebiegiem uroczystości urodzinowych cesarza, trwałym upamiętnieniu tego doniosłego wydarzenia, a także umożliwiają obserwację procesów wzrostowych drzewa z formą jego ochrony.

W ujęciu chronologicznym i bezpośrednio związanym z *Dębem Cesarskim* za kluczowe źródło publikowane można uznać rzadką pozycję monograficzną Kwidzyna z 1908 roku autorstwa inspektora F. Diehla, który jako jedyny historyk spośród innych autorów monografii zawarł bardzo interesujące kwestie o dębie – (...) *Wspaniały jest Plac Flottwella z jego majestatycznymi drzewami. Jest to odpowiednie miejsce dla uczczenia pamięci o wielkim czasie naszego kraju. W dniu urodzin cesarza Wilhelma I, 22 marca 1871 roku², posadzono w tym miejscu Dąb Cesarza z przestaniem dla naszych potomków, aby pamiętali, żeby naśladować swoich ojców w pobożności, niemieckiej lojalności i sile prawdy. Po tysiącu latach walk i cierpienia mamy Rzeszę Niemiecką z władcą Prus na cesarskim tronie i parlament ludowy. Niemiecki Dąb jest mocno zakopany w ziemi i trwale przechowywany.* Autor w przytoczonym cytacie

² Wilhelm I Hohenzollern urodzony, jako Wilhelm Friedrich Ludwig von Preußen (22.03.1797- 9.03.1888). Król Prus w latach 1861-1888. Od 1871 cesarz niemiecki. Współtwórca II Rzeszy Niemieckiej.



Fragment planu Kwidzyna z wydzieloną częścią dawnego Placu Flottwella oraz z oznaczonym omawianym dębem. Stan z 1929 r., w zbiorach autora

cytuje słowa, które padły podczas uroczystości z ust kilku ważnych miejskich osobistości. Głównymi mówcami wówczas byli: przedstawiciel rady miejskiej - Wagner, dyrektor sądu okręgowego - Wetzki oraz major Kehler. W późniejszych ceremoniach rocznicowych przemawiał m.in. prezydent rejencji - Schilling. Warto w tym miejscu zaakcentować fakt związany z proklamowaniem w tym samym roku Cesarstwa Niemieckiego pod przewodnictwem Prus, co zbiegło się z urodzinami cesarza i króla Wilhelma I. Wydarzenie to zdecydowanie podniosło rangę i skalę organizowanych wówczas uroczystości.

Trzymając się kryteriów chronologicznych pozyskanych materiałów następną w kolejności jest pozycja publikowana w formie przewodnika po Kwidzynie z 1911 r. Autor - E. Salzwedel, który pełnił funkcję sekretarza rejencji, tylko w kilku zdaniach charakteryzuje majestatyczny *Plac im. Eduarda Flottwella*. Wymienia najważniejsze jego detale, w tym *Dąb Cesarza (Kaisereiche)*. Podaje datę jego posadzenia - 22 marca 1871 r.

Bardzo zbliżonych informacji dostarcza nam artykuł prasowy z lokalnej gazety *Weichsel-Zeitung* z 1933 r. autorstwa Ernsta von Kriesa – świadka wydarzeń. W taki oto sposób relacjonuje on te wniosłe wydarzenia sprzed 62 lat - *Dąb został zasadzony 22 marca po zakończeniu świątecznego nabożeństwa. Dyrektor Sądu Rejonowego Wetzki i radny Wagner (...) wygłosili przemówienia. Czy uczniowie również śpiewali z tej okazji, nie pamiętam już, ale wiedziałem, że świętowaniu sprzyjała najpiękniejsza pogoda. Wieczorem doszło do imponującej iluminacji, która w przeciwieństwie do innych zwyczajów oświetliła także gimnazjum i, jeśli się nie mylę, inne budynki użyteczności publicznej. Oczywiście, mówiąc o świątecznym oświetleniu w tym czasie, nie należy myśleć o terażniejszości, w której światło elektryczne umożliwia efekty, które były wówczas niewyobrażalne. W 4 lub 6 oknach znajdowało się 8 długich świec. Natomiast uformowany z małych gazowych płomieni orzeł, gwiazda i zwieńczona koroną litera - W, były czymś wyjątkowym. Jeśli chodzi o smutny aspekt, który jest nieunikniony nawet w przypadku zwycięskiej wojny, pamięć o ofiarach mieszkańców Marienwerder. Jeden z absolwentów gimnazjum stwierdził heroiczną śmierć, podobnie jak syn ówczesnego prezesa sądu apelacyjnego, Breithaupt. Ale pamiętam niektórych moich starszych kolegów, którzy wrócili do domu bez uszczerbku na zdrowiu. Dąb Cesarza wyrósł na okazałe drzewo. Oby ojczyzna mogła w dalszym ciągu rosnąć i dobrze się rozwijać!*

Z kolei w opisie dotyczącym samej wojny prusko-francuskiej zakończonej w 1871 r. wielkim zwycięstwem Prus, Ernst von Kries fragmentarycznie nakreśla obchody urodzinowe cesarza organizowane przez *Królewskie Gimnazjum* - (...) *Dzień cesarskiej proklamacji wersalskiej nie był szczególnie obchodzony w gimnazjum. Natomiast 22 marca 1871 r. Obchodzono, jako pierwsze urodziny cesarza. Rada miasta rozważała posadzenie „Dębu Cesarza”. W przeddzień głównych obchodów odbyła się uroczystość w auli gimnazjum, w której pierwsza klasa śpiewu śpiewała „Salvum sac regem” i inne. Uczeń, Friedrich von Kries, wygłosił poemat łaciński Felixa Dahna (...).*

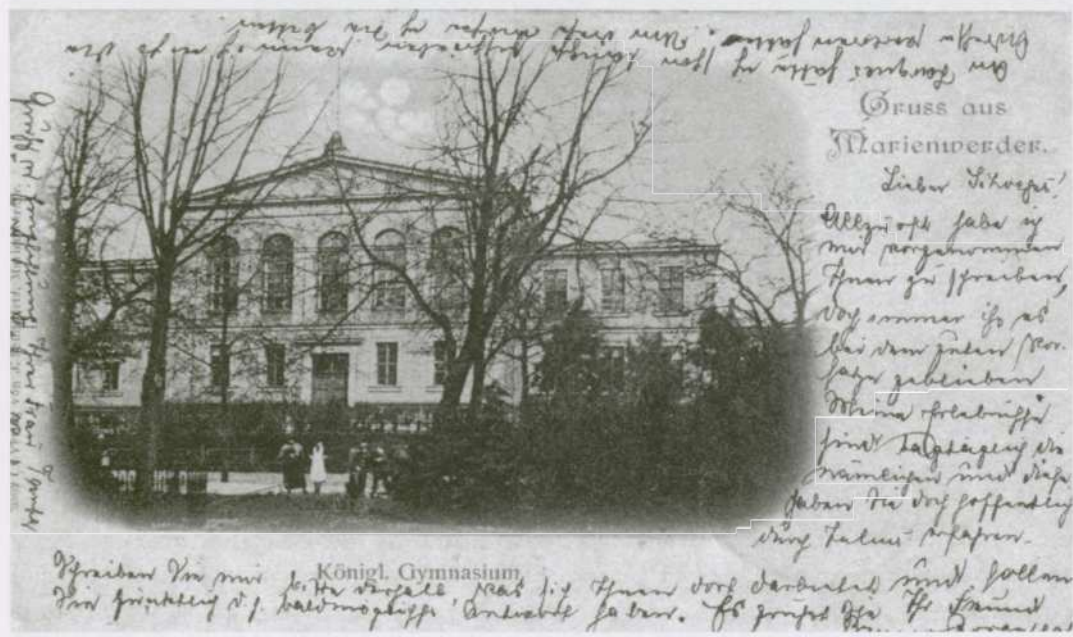
Do ostatnich źródeł historycznych zawierających informacje pokrewne, choć niebezpośrednio związane z okolicznościowym drzewem, można zaliczyć sprawozdania z działalności pobliskiego i już wcześniej wielokrotnie wspomnianego *Królewskie Gimnazjum*. W bibliotekach i archiwach zachowały się opublikowane sprawozdania tej zacnej szkoły, w których tak ważne wydarzenia jak urodziny cesarza i proklamowanie cesarstwa, przecięż

nie mogły być pominięte. W sprawozdaniu z 1871 r. ówczesny dyrektor, a zarazem wybitny historyk dr Max Toeppen, tak oto opisuje uroczystości urodzinowe cesarza – (...) *W dniu 21 marca, tuż przed głównymi obchodami urodzin Jego Cesarskiej Mości Cesarza i Króla odbyły się publicznie uroczystości szkolne. Pod przewodnictwem dyrektora muzycznego Ledera były śpiewane pieśni patriotyczne przez chór z gimnazjum. Piękny oryginalny łaciński wiersz „Barbablanca” prof. Dahna z Würzburga, został przetłumaczony na język niemiecki przez uczniów klas wyższych i deklamowany przez prof. Kühna (...).*

W opracowaniu dyrektor Toeppen tłumaczy również, dlaczego uroczystości w wykonaniu gimnazjalistów odbyły się dzień wcześniej, czyli 21 marca 1871 roku. Powodem był zbyt mocno rozbudowany plan uroczystości związany z wieloma spektaklami i wysokiej rangi uroczystościami.

Wzbogaceniem wyluskanych wszystkich powyższych informacji jest oczywiście historyczna ikonografia *Placu Plebiscytowego*, która występuje w znacznych ilościach w zbiorach muzealnych, archiwalnych czy kolekcjonerskich. Na wybranych przykładach z końca XIX i I poł. XX wieku można dostrzec *Dąb Cesarza*, który wówczas prezentował się nie tak efektownie jak obecnie. Podyktowane to oczywiście było jego ówczesnymi niewielkimi rozmiarami.

Na szczególną uwagę zasługuje widoczne na dawnych widokówkach pierwotne metaloplastyczne i kunsztowne ogrodzenie drzewa, które było najprawdopodobniej żeliwne. Z fotografii wykonanych przez p. Michała Kamińskiego wiadomo, że stało ono jeszcze długo po wojnie, ale już bez tablicy informującej o okolicznościach jego posadzenia i o fundatorach dębu. Ze źródeł archiwalnych wiadomo, że żeliwna tablica w formie tarczy,



Widok na Królewskie Gimnazjum oraz fragment Placu im. Eduarda Flottwella. Po lewej stronie stoi niewielki Dąb Cesarza, 1898 r., w zbiorach autora



Widok żelaznej tablicy w formie tarczy informującej o okolicznościach posadzenia i o fundatorach Kaisereiche, fot. autor nieznany (ok. 1933). Źródło: Stadtarchiv Celle

zwieńczona motywem odznaczenia Krzyża Żelaznego (*Eisernes Kreuz 1870*) z atrybutami cesarskimi i królewskimi, a także datą 1870 w dolnym ramieniu krzyża, opatrzona została następującym podpisem: *Dąb Cesarza posadzony przez mieszkańców Kwidzyna 22 marzec 1871.*

Podsumowując niniejsze opracowanie można stwierdzić, że wyniki poszukiwań i analiz źródeł nie tylko potwierdziły istnienie (wraz dokładną lokalizacją) w obszarze *Placu Plebiscytowego* pamiątkowego *Dębu Cesarza*, ale również w znacznym stopniu wzbogaciły dotychczasowy stan wiedzy na temat jego historii. Pozostaje jeszcze kwestia zweryfikowania hipotetycznych informacji o dwóch innych pamiątkowych dębach – Napoleona i księżnej

Luizy. Na dziś wiemy, że nie był to omawiany *Pomnik Przyrody*. Potwierdzają to chociażby zaprezentowane odkrycia, jak i również wzmianka w książce Romualda Frydrychowicza z 1922 roku dotycząca obecności wraz z wymiarami (wys. 30 m) *Dębu Napoleona* na *Placu Flottwella* w dawnym Marienwerder³. Zagadnienie to wymaga odrębnych badań, choć pewne kwestie udało się już ustalić. Ale jest to już inna historia...

W obecnych czasach *Dąb Cesarza* stanowi subdominantę w krajobrazie kulturowym *Placu Plebiscytowego*. Solidny i mocny pień, bujna i rozłożysta korona, sprawiają, że w zdecydowany sposób wyróżnia się spośród wszystkich nasadzeń zieleni w tej przestrzeni⁴. Ponadto, już przez 149 lat te szlachetne drzewo było świadkiem doniosłych wydarzeń historycznych i miejmy nadzieję, że jeszcze pozostanie nim przez kolejne dekady⁵.

³ R. Frydrychowicz, *Podania ludowe na Pomorzu z czasów wojen napoleońskich – Dąb Napoleona w Kwidzynie*, Pelplin 1922, s. 24.

⁴ Dęby Cesarskie w okresie nowo utworzonego cesarstwa były dosyć popularne. Te szlachetne drzewa symbolizowały siłę, wytrzymałość i sławę, a jego liście były starogermańskim symbolem męstwa i odwagi.

⁵ Tekst pisany był kilka dni przed 149 rocznicą posadzenia *Dębu Cesarza* z okazji urodzin jego cesarskiej mości Wilhelma I. Aż się prosi, aby ufundować Kaiserowi na kolejną okrągłą – 150 rocznicę tablicę pamiątkową, choćby podobną do tej historycznej...



Flottwellplatz - Marienwerder. Landschaft.

Ok. 100 lat temu te magiczne miejsce, jakim jest dzisiejszy Pl. Plebiscytowy, wyglądało jak na poniższej fotografii. Monumentalny Pomnik Wojenny z ogrodzeniem o wysokich walorach estetycznych, majestatyczna zieleni, *Dąb Cesarzski*, okazałe klasycystyczne Gimnazjum Królewskie oraz neogotycki gmach dawnego Zachodniopruskiego Ziemstwa Kredytowego. To wszystko sprawiało, że to wyjątkowe miejsce było chętnie odwiedzane przez lokalną społeczność, w zbiorach autora

MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO DŹWIĘKU

Z KACPREM SMOLIŃSKIM, MUZYKIEM GRAJĄCYM NA
HARMONIJCE CHROMATYCZNEJ, ROZMAWIA WACŁAW BIELECKI

- Zaczniemy naszą rozmowę od ostatniego wydarzenia, jakim był walentynkowy koncert pana w słynnej Auli UAM w Poznaniu w niedzielę 16 lutego br. Jakie były pana wrażenia?

- Piękna sala koncertowa, jaką jest Aula UAM, jest mi znana, ponieważ grałem w niej już kilka razy. Były to występy z Wiesławem Prządka - akordeonistą i bandoneonistą, z kwintetem Weezdob Collective oraz z Poznań Jazz Philharmonic Orchestra. Orkiestrę Kameralną Polskiego Radia „Amadeus” znałem wcześniej z nagrań, jednak nie słyszałem nigdy na żywo. Koncert oraz poprzedzające go próby były moim pierwszym bezpośrednim kontaktem z Agnieszką Duczmal oraz jej orkiestrą. Byłem pod wielkim wrażeniem tego, jak dyrygentka była zaangażowana w muzykę. Prowadzenie dużego zespołu wymaga szerokiego wachlarza muzycznych jak i pozamuzycznych umiejętności. Przyjemnie jest patrzeć na kogoś, kto pomimo opanowania jest tak aktywny i żywotny. Jeśli chodzi o tremę, nie czułem jej, gdyż do występu byłem dobrze przygotowany.



Kacper Smoliński, fot. Katarzyna Kukielka

- Czy były próby przed koncertem?

- Nie wiem, ile prób orkiestra odbyła beze mnie. Ze mną przeprowadzone były trzy, w tym próba generalna w dniu koncertu. Na każdej z nich przegrywaliśmy koncert i powtarzaliśmy jego trudniejsze części.

- Proszę powiedzieć, co to jest za utwór, ten Koncert na harmonijkę ustną i orkiestrę smyczkową, który pan zagrał?

- Został napisany przez znanego muzyka jazzowego, aranżera i kompozytora Krzysztofa Herdzina. Jego budowa oparta jest na formie koncertu klasycznego, to znaczy składa się z trzech części: szybkiej - wolnej - szybkiej, i trwa około 30 minut. W części pierwszej znajduje się kadencja, czyli miejsce, gdzie orkiestra milknie, a gra sam solista. Kadencja jest dokładnie zapisana w nutach, natomiast w każdej części koncertu są miejsca, które kompozytor przeznaczył na improwizację w wykonaniu solisty. Są one oparte o zapis funkcyjny akordów, który jest bardziej charakterystyczny dla jazzu niż klasyki i zajmują mniej więcej jedną czwartą całej kompozycji.

- Czy przed koncertem konsultował pan sposób jego wykonania z kompozytorem?

- Tak, ale było to jeszcze przed prawykonaniem koncertu, które odbyło się 21 listopada 2019 r. w Łomży. Odwiedziłem kompozytora dwukrotnie w jego domu. Posiada on sporą kolekcję ciekawych instrumentów, w tym harmonijkę chromatyczną, na której był w stanie pokazać mi m.in. jakie wibrato zagrać w konkretnych fragmentach koncertu.

- Proszę powiedzieć więcej o koncercie w Łomży i o tym, jak do niego doszło?

- Do prapremiery w Łomży doszło z inicjatywy mojej koleżanki Agaty Klimczak, teoretyczki muzyki, która pracowała jako koordynatorka projektów w Elbląskiej Orkiestrze Kameralnej, a później razem ze mną i Piotrem Scholzem przy organizacji koncertów Poznań Jazz Philharmonic Orchestra. Podsunęła mi ona pomysł na możliwość złożenia zamówienia kompozytorskiego w Ministerstwie Kultury. Dzięki niej zadzwoniłem do Krzysztofa Herdzina i zapytałem, czy byłby zainteresowany napisaniem koncertu na harmonijkę ustną. Jednocześnie zapytałem o zdanie Mirka Dziewę - największego miłośnika muzyki, jakiego znam, organizatora Novum Jazz Festival oraz byłego fagocisty Filharmonii Kameralnej w Łomży. Pomysł na tyle mu się spodobał, że przekonał do niego dyrektora Filharmonii Łomżyńskiej - Jana Miłosa Zarzyckiego. Ostatecznie Filharmonia złożyła stosowny wniosek do Ministerstwa Kultury, który uzyskał akceptację, a za nią pieniądze na jego realizację.

- Czy kompozytor był w Poznaniu, i jak odebrał wykonanie koncertu?

- W Poznaniu nie, ale był na koncercie w Łomży. Był zadowolony z wykonania, chociaż miał do mnie kilka uwag, za co jestem mu wdzięczny.

- Czy przygotowanie się do koncertu sprawiło panu trudność?

- Opanowanie materii muzycznej zajęło mi trochę czasu. Było to dla mnie wyzwanie, ponieważ dotychczas nieporównywalnie większą styczność miałem z jazzem niż z klasyką. Niemniej w czasie studiów w Poznaniu u Macieja Kocińskiego zapoznałem się z klasyczną literaturą muzyczną. Z kolei w Berlinie, gdzie studiowałem równolegle, miałem warsztaty

ze znanym saksofonistą jazzowym Branfordem Marsalisem, który też gra klasykę. W moim odczuciu to, co napisał Krzysztof Herdzin, było trudniejsze niż to co grałem do tej pory, ponieważ wykorzystał on szeroki zakres technik gry na harmonijce. Cieszę się, że powstał ten koncert, m.in dlatego, że jest jedynym z niewielu w dotychczasowej literaturze na harmonijkę chromatyczną.

- Jak publiczność poznańska przyjęła koncert?

- Koncert został przyjęty bardzo dobrze. Wielokrotnie mówiono mi, że brzmienie harmonijki sprawiło, że koncert był od początku do końca angażujący. Pomimo tego, że harmonijka nie jest rzadkim instrumentem, w kontekście muzyki klasycznej jej brzmienie jest egzotyczne i myślę, że może zaciekawić słuchaczy.

- Słyszałem, że grał pan z Włodkiem Pawlikiem i Leszkiem Moździerzem. Może opowiedział by Pan trochę o kontaktach z tymi wybitnymi wykonawcami jazzu?

- Fajnie jest zagrać z uznanymi muzykami. Z Leszkiem Moździerzem grałem dwa razy - podczas festiwalu Jazz nad Odrą 2019 i Enter Enea Festival 2019. Z kolei z Włodkiem Pawlikiem grałem już od 2015 r., kiedy stworzył on projekt z muzyką napisaną do poezji Adama Zagajewskiego *Pawlik i Zagajewski. Mów Spokojniej*. Poeta czytał i recytował swoje wiersze, śpiewali: Marek Bałata, Kasia Wilk, Łukasz Jemioła, grał nasz poznański kwintet Weezdob Collective.

- Przejdźmy teraz do przypomnienia drogi, jaką musiał pan pokonać, aby stać się muzykiem jazzowym grającym na harmonijce chromatycznej. Pana dziadek, sztumski akordeonista Zygmunt Smoliński, opowiadał mi, że w wieku dziecięcym niezbyt pociągała pana nauka gry na fortepianie czy też akordeonie...

- Powodem może być to, że w tym czasie słyszałem głównie muzykę ludową (dziadek grał w Zespole Pieśni i Tańca Powiśle). Myślę, że gdybym wtedy miał styczność z jazzem, to wcześniej zająłbym się muzyką. Nie ukończyłem żadnej szkoły muzycznej I czy II stopnia. Pierwszą harmonijkę znalazłem w mieszkaniu dziadka. Poczujęm, że chciałbym spróbować na niej grać. Od pierwszych dźwięków zakochałem się w tym instrumencie. Najbardziej zachwycało mnie to, że chociaż jest to jeden z bardzo niepozornych przedmiotów - można z niego wydobyć dźwięki, których się po nim nie spodziewamy.

- Jak wyglądała dalsza pana droga kształcenia muzycznego?

- Po ogólniaku dostałem się na reżyserię dźwięku na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Były to trzyletnie studia licencjackie. Dopiero po roku od ukończenia tego kierunku dostałem się na Akademię Muzyczną w Poznaniu na Wydział Instrumentalistyki, Jazzu i Muzyki Estradowej, gdzie zacząłem studiować kompozycję i aranżację jazzową. Moim głównym nauczycielem był Krzesimir Dębski. W 2014 r., po roku nauki, zrezygnowałem ze studiów w Poznaniu i zacząłem studia w Instytucie Jazzu w Berlinie, który jest administrowany przez dwie berlińskie uczelnie: Universität der Künste oraz Hochschule für Musik „Hanns Eisler”. Zdałem tam na kierunek „pozostałe instrumenty”, ponieważ osobnego kierunku studiów - „harmonijka jazzowa” - tam też nie ma. W całej historii istnienia Instytutu Jazzu w Berlinie byłem jedyną osobą studiującą har-

monijkę. Moim głównym nauczycielem był tam amerykański kontrabasista Greg Cohen. Po dwóch latach nauki w Berlinie rozpocząłem równoległe studia magisterskie w Akademii Muzycznej w Poznaniu w klasie saksofonisty Macieja Kocińskiego, jednak już formalnie studiując harmonijkę.

W Berlinie miałem również zajęcia z ówczesnym dyrektorem instytutu - saksofonistą Peterem Wenigerem. Jego żona jest wnuczką ostatniej z pań Sierakowskich mieszkających w pałacu w Waplewie Wielkim. Peter powiedział mi, że doskonale zna to miejsce i za każdym razem kiedy go widzę mówi, że kiedyś się tam spotkamy.

- Jak więc wyglądała nauka gry na harmonijce od strony technicznej, skoro nauczycielami byli inni instrumentalści?

- Do techniki gry musiałem dochodzić sam. Właściwie jestem samoukiem, który otrzymywał pomoc od muzyków grających na innych instrumentach. Nie miałem też w czasie studiów kolegów grających na harmonijce. I w Poznaniu, i w Berlinie uczyłem się sam. Oczywiście, oprócz tego zdobywałem również wiedzę z teorii i historii muzyki oraz poznawałem literaturę muzyczną.

- Czy dużo jest w Polsce osób grających na harmonijce ustnej?

- Bardzo niewiele. Wśród najstarszych jest pan Zygmunt Zgraja ze Śląska, grający klasykę. Jest on kompozytorem *Concerto Phantasy na harmonijkę i orkiestrę symfoniczną*, którego prawykonanie odbyło się w 2007 w filharmonii zabrzańskej. Tworzył także i nagrywał muzykę do filmów takich jak: *Vabank* czy *Bolek*.

- Z tego wszystkiego o czym przed chwilą usłyszałem wynika, że przebył pan bardzo nietypową drogę kształcenia muzycznego, albowiem nie miał pan na co dzień swojego nauczyciela - mistrza grającego na harmonijce ustnej...

- Czasami zastanawiam się, czy nie wyszło mi to na dobre. W czasie studiów miałem zorganizowane warsztaty z harmonijkarzami. Usłyszałem od nich dużo narzekania na temat tego, jak trudnym instrumentem jest harmonijka ustna i jak trudno jest na niej grać. Gdybym przez cały okres studiów miał takich profesorów, być może bym w to wszystko uwierzył.

Moja harmonijka jest też inaczej nastrojona niż tradycyjne harmonijki chromatyczne, które kupuje się w sklepach muzycznych. Gdyby w szkole muzycznej uczyło się gry na tym instrumencie, a ja do takiej szkoły bym chodził, raczej nikt nie pozwoliłby mi na taką zmianę.

- W biogramie wyczytałem, że zajmuje się pan również komponowaniem?

- Kompozycję studiowałem jedynie rok w Poznaniu, poza tym miałem też z niej zajęcia w Berlinie. Poświęciłem jej dość dużo czasu. Napisałem sporo utworów w formie piosenek na składy jazzowe. Obecnie piszę swój własny koncert na harmonijkę.

- A jak wspomina Pan projekt, który zakończył się nagraniem płyty pt. *Żuławskie wierzby*?

- Projekt ten powstał trochę ze względów pragmatycznych, szukałem po prostu możliwości, aby móc się rozwijać. Pomimo tego, że jestem z tych nagrań zadowolony, myślę, że

do tematu muzyki ludowej można podejść jeszcze lepiej i na pewno wrócę do niej w przyszłości, bardziej już z potrzeby serca.

- Jakie ma Pan plany na przyszłość związane z muzyką?

- Jeśli chodzi o granie muzyki, to myślę o trzech drogach. Jedną byłoby granie bardziej klasycznej muzyki, podobnej do koncertu Krzysztofa Herdzina. Drugą - granie jazzu. Chciałbym pograć jazz z muzykami ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ tam podejście do tej muzyki jest trochę inne - inaczej się ją gra, inaczej to brzmi. Trzecia droga to założenie zespołu w Polsce, jednak nie chciałbym, żeby był to skład jazzowy. Nie jestem do końca pewien jakie będzie instrumentarium, ale jeśli chodzi o ilość muzyków, to raczej ograniczę się do kwartetu. Chciałbym grać muzykę, jaką wykonuje się na współczesnych festiwalach, bardziej offową niż związaną z jazzem.

- Co nowego z Pana udziałem usłyszymy na płytach?

- Niedługo będziemy wydawać płytę z zespołem Weezdob Collective. Utwory tam umieszczone są jakby tłem do recytacji aktora Mariusza Zaniewskiego. Wciela się on w postać Krzysztofa Komedy będącego w śpiączce i wygłasza monolog. Ten monolog jest napisany przez Tomasza Lacha, pasierba Krzysztofa Komedy, muzyka natomiast stworzona jest przez nas. Założenie było takie, aby zrobić projekt o Krzysztofie Komedzie, nie wykorzystując jednak jego muzyki. Użyta będzie jedynie intrygująca historia ostatnich dni życia Krzysztofa Komedy.

- Czy planuje pan koncert w rodzinnym Sztumie?

- Tak, ale nie zależy to tylko ode mnie. Ktoś w Sztumie musiałby się zająć organizacją takiego koncertu. Rok temu grałem tutaj w duecie z gitarzystą Piotrem Scholzem podczas spotkania Sylwestrowego w Sztumskim Domu Kultury. Z chęcią przyjechałbym do Sztumu z większym zespołem.

- Dziękuję za rozmowę i życzę wszelkiej pomyślności w realizacji planów muzycznych i życiowych.

- Również bardzo dziękuję, życzę wszystkiego dobrego i pozdrawiam wszystkich czytelników „Prowincji”.

W LITERATURZE ZAWSZE I WSZYSTKO JEST MOŻLIWE

Z Marcelem Woźniakiem, pisarzem, rozmawia Adam Kamiński

- Pochodzisz z Kwidzyna. Powiedz, szczególnie młodym czytelnikom, co trzeba zrobić, aby stać się znanym i cenionym pisarzem, jak wybić się z małego środowiska?

Marcel Woźniak: - Myślę, że można być również kimś znanym i mieszkać w Kwidzynie. Oczywiście, życie w Warszawie, czy też innym dużym mieście, znacznie ułatwia wiele rzeczy. I chyba jest z tą sławą jak ze wszystkim w życiu - trzeba czegoś bardzo chcieć i do tego dążyć. Mówię to zawsze młodym ludziom, że mogą osiągnąć wszystko. Potrzebna jest tylko silna wola i mocna determinacja. Nie ukrywam, że w moim przypadku to ludzie byli najważniejsi. Moja znakomita nauczycielka, Beata Szynkiewicz, wpoila we mnie tę myśl, że jeśli chcę pisać, to czemu tego nie robię.

Ważnym jest, aby nie załamywać się po pierwszych niepowodzeniach. We mnie tę silną wolę wyrobili między innymi - znakomity szachista i nieodżałowany trener, i przyjaciel Marian Wodzisławski oraz człowiek - instytucja w piłce nożnej - Grzegorz Obiała.

- Zawsze pokazujesz to, jak silnie jesteś związany ze swoim rodzinnym miastem. Możemy to także zauważyć, czytając twoje książki.

- Chyba trudno, aby było inaczej. Miasto mojego dzieciństwa, o którym mógłbym gadać godzinami. Stąd pochodzę, tu żyje moja rodzina i z tym miastem mam te chyba najwspanialsze wspomnienia związane z moją młodością. Jak choćby budynek dworca, w którym rozmawiamy - z tego miejsca zaczynały się wszystkie moje podróże i wędrówki. Pociągi do Trójmiasta, Torunia i ta słynna kolejka do Prabut. Niestety, tych miejsc, które pamiętam, jest coraz mniej. I tu chciałbym zaapelować do wszystkich. Nieważne, w jakiej formie, ale spisujmy swoje wspomnienia. Pamięć ludzka jest zawodna, a to, co nam wydawało się, że będzie istnieć zawsze, po 20-30 latach się zmienia. Pielęgnujmy pamięć o minionych czasach i obyczajach. Ja sam kiedyś mieszkalem na Marezie, a mój dziadek był motorniczym w tej cudownej kolejce wąskotorowej, o której dziś mało kto pamięta. Pamiętam dawnych sąsiadów, pamiętam skąd i od kogo kupowało się mleko. Z czasem ta pamięć traci ostrość, dlatego warto wszystko spisywać - dla potomnych.

- Czytając trylogię z Leonem Brodzkim miałem mały żal do ciebie, że nie umieszco-
wiłeś żadnej akcji w naszym mieście.



- Ha, ha, ha..., zabawne, ale właśnie wczoraj wieczorem rozmawiałem o tym z moją żoną. Masz rację - Kwidzyn to piękne miasto i literacko w zasadzie nieograne. To jest jakiś pomysł i coraz bardziej skłaniam się ku temu, ażeby umiejscowić tu akcję kolejnej książki. Przyznaję, że taka myśl gdzieś tam mi się błąka po głowie.

- Zrehabilitowałeś się za to swoją ostatnią książką, w której nie tylko wspominasz o Kwidzynie, ale także dałeś imię i nazwisko znanego kwidziniaka jednej z fikcyjnych postaci. Mam na myśli książkę napisaną wspólnie z Gabriellą Gargas „Tysiąc obsesji”.

- To prawda. Główna bohaterka pochodzi z Kwidzyna, w którym ukończyła tę samą szkołę co i ja, czyli II LO. A Grzesia Obiałę umieściłem w książce, bo darzę go ogromną sympatią i sentymentem. A książka to połączenie historii miłosnej przeplatane drobnymi aferami w świecie współczesnej piłki nożnej.

- Czy ciężko pisze się w parze z innym autorem?

- To taka specyficzna praca. Kiedyś z Gabrysią poznaliśmy się na jakiejś kolacji podczas targów książki i tak od słowa do słowa wpadliśmy na pomysł, aby spróbować czegoś innego. Teraz jest to manewr często stosowany przez wielu autorów. U nas było to o tyle zabawne, że obecnie Gabrysia mieszka w Szkocji i te wszystkie kwestie pisarskie rozstrzygaliśmy za pomocą specjalnego programu komputerowego, w którym tworzyliśmy naszą powieść.

- Jest w niej sporo scen erotycznych. Hmm..., żona nie była zażdrośna? No i uchyl trochę tajemnic waszego warsztatu. Jak to się odbywało? Czy Gabriela pisała część miłosną a ty kryminalną?

- A kto Ci powiedział, że ona pisała część miłosną? (Śmieje się). Może ja stworzyłem te sceny... Jak każdy człowiek lubię zmiany i próbować nowych gatunków. Nie lubię szufladkowania. Że autor kryminalów musi pisać tylko powieści sensacyjne. Stworzenie tej powieści było dla nas obojga wspaniałym doświadczeniem. Dla mnie dodatkowo także odskocznią od tematyki Leopolda Tyrmanda, która cały czas się zajmuję.

- Lubisz swoich bohaterów i to widać. W najnowszej książce występuje wspaniały pan Heniu, czyli Ostatni Mohikanin toruńskich taryfiarzy.

- Widzę, że bardzo uważnie przeczytałeś książkę. Pan Heniu był postacią autentyczną. Niestety, odszedł z naszego świata trzy lata temu. Był chyba jednym z pierwszych taryfiarzy w Toruniu i na taxi przeżył całe swoje życie. Legenda miasta, bardzo serdeczny człowiek, który zawsze swoich pasażerów częstował czekoladkami czy cukierkami. To od niego zapożyczyłem pomysł pościgu w powieści z Brodzkim. Pan Heniu zawsze marzył, aby wziąć udział w takiej akcji pościgowej i udało mi się to marzenie spełnić na kartach książki. Jestem dumny, że poznałem go osobiście.

- I tak płynnie przechodzimy do twojej kryminalnej trylogii. Powiedz, czy można te książki traktować jako przewodnik po Toruniu śladami Leona Brodzkiego?

- Myślę, że tak. Te wszystkie miejsca, które opisuję istnieją. No, może niezupełnie. Gdzieś tam wspominam w pierwszy tomie o takiej fajnej knajpce z zapiekankami, której już dziś niestety nie ma, ale na kartach książki żyją wspomnienia po niej. Większość miejsc istnieje i śmiało możemy taki spacer sobie urządzić. Zapraszam do Torunia.

- W książkach mamy całą gamę ciekawych postaci: pan Henio, kobieta w czerni, Heraklit, a przede wszystkim główny bohater Leon Brodzki. Większość polskich detektywów to najczęściej pijacy, nałogowi palacze, degeneraci i rozwodnicy, a twój Leon jest inny.

- Myślisz, że inny? Może i tak... Chciałem go stworzyć właśnie takim. Policjant na emeryturze, mimo młodego jeszcze wieku. Jak u każdego jakieś drobne kłopoty rodzinne. Cięży na nim zagadka z przeszłości związana z jego ojcem - także policjantem. Chciałem, żeby Leon był sympatyczną postacią i jak słyszę chyba mi się to udało.

- Zapewne większość postaci była na kimś wzorowana? Jak choćby barman Łukasz Grotowski?

(Długo się śmieje, żona też) - Jakbym nie wiedział, to pomyślałbym, że czytasz mi w myślach. Właśnie o nim rozmawialiśmy z małżonką, jadąc na to spotkanie. Łukasz istnieje naprawdę. To taki troszkę człowiek renesansu. Po ukazaniu się książki był na mnie lekko naburmuszony. Dopiero po wielu dniach od premiery trochę mi wypomniał to, jak go opisałem. Miał lekką pretensję, że nie spytałem go o to, jak on by się tam odzywał. Ale ja znając go wiedziałem doskonale, że jego wywody filozoficzne nie pomieściłyby nawet najbardziej obszerne tomy.

- Jak powstaje zamysł stworzenia takiej historii umieszczonej w trylogii?

- Pomysł dojrzał bardzo długo. I historie, i poszczególne akcje przeplatały się wielokrotnie. I kiedy z gotową powieścią udałem się do wydawcy to on od razu postawił warunek, że podpiszemy umowę na trzy tomy. Byłem trochę zdziwiony i stwierdziłem, że może najpierw może trzeba wydać tę pierwszą i zobaczyć jak przyjmą ją czytelnicy. Jednak opcja wydawcy wygrała.

- Twoi bohaterowie, jak i my wszyscy, wielokrotnie musimy pokonywać przysłowiowe rzeki czy też inne przeszkody. W życiu bohaterów trylogii przełomową rolę odgrywa Wisła, która dzieli Toruń na dwie części.

- To prawda. Często musimy pokonywać różne przeszkody. W trylogii przeplata się cały czas historia zbrodni i śledztwa sprzed kilkudziesięciu lat. W książce widać ten podział i bohaterowie dosłownie czują to zło przebywając na drugim brzegu rzeki. Nic nigdy nie jest proste i oczywiste. Fajne w powieści kryminalnej jest to, że kiedy wydaje nam się, że już wiemy wszystko, to nagle okazuje się to złudzeniem i iluzją.

- Masz szczęście pisać i tworzyć w czasie, kiedy Toruń ma naprawdę mocną reprezentację pisarską. Jest Przemek Semczuk, Aneta Jadowska, Anna Łacina, Piotr Głuchowski, no i oczywiście Robert Małecki, z którym wymieniacie się swoimi bohaterami.

- Rzeczywiście. Piotr tworzył już dużo wcześniej. Często się spotykamy i sporo dyskutujemy. Mamy chyba nawet taki mały toruński PenClub. I tak się kiedyś nam złożyło z Robertem, że w tym samym czasie zaczęliśmy pisać swoje książki. Po krótkiej rozmowie umieściliśmy akcje swoich powieści w tym samym czasie i tak w mojej trylogii pojawił się Marek Bener - dziennikarz w czerwonych trampkach - bohater książek „Najgorsze dopiero nadejdzie”, „Porzuć swój strach” i „Koszmary zasnę ostatnie”. A mój Leon Brodzki poja-

wił się także w trylogii Roberta. Taki pisarski trik, który okazał się sympatyczną literacką zabawą.

- W twoich powieściach mocną stroną są dialogi, no i takie określenia pokazujące inne epoki, np. wbijaj na chatę, czy też kiedy ktoś zamawia lornetę.

- Tak, książka zapisuje właśnie takie czasy, jakie kiedyś były. Zasadniczo historia przedstawiona w powieści rozgrywa się na przełomie kilkudziesięciu lat. I trzeba także dopasować język to tamtych czasów. No i jeśli piszemy kryminał to też w takiej książce muszą być motywy historyczne, miłosne i komediowe. Jak choćby ten słynny tekst, który powstał na bazie antypatii pomiędzy mieszkańcami Torunia i Bydgoszczy (te miasta rywalizują między sobą też ładnych kilkudziesięć lat). Zgryźliwi mieszkańcy Torunia opowiadają taką zagadkę: dlaczego Neron spalił Rzym? Odpowiedź jest prosta, bo wtedy jeszcze nie było Bydgoszczy.

- Potrafisz się śmiać z samego siebie, fragment, w którym Brodzki widzi dwóch żebraków zbierających na pączki. Gdyby im założyć okulary, to wyglądałoby jak ci toruńscy pisarze...

- Trzeba mieć trochę dystansu do siebie. Jestem człowiekiem z ogromnym poczuciem humoru i lubię się pośmiać. Pisarz ma dodatkowo jeszcze taką możliwość, ażeby w powieściach umieszczać takie smaczki. Od razu przypomina mi się taka historia, kiedy byłem na spotkaniu autorskim w Darłowie. A dodam, że znaczna część drugiego tomu trylogii ma miejsce właśnie w tym nadmorskim miasteczku. Byłem tam kiedyś, ale nigdy nie odwiedzałem tam żadnych placówek czy komisariatów. To, co napisałem, było czystą fikcją. A na spotkaniu jakiś szeregowy policjant mówi, że pięknie opisałem komisariat i ich komendanta - i dosłownie wszystko się zgadza, a inna pani powiedziała, że opisałem szefa ichniego MPO jakbym go znał osobiście. Ja pytam, czyli jak? A ona na to - napisał pan o nim, że „wyglądał jak człowiek, który pół życia spędził w kolekturze toto-lotka”. Roześmiałem się, bo sam nie mam pojęcia, jak taki ktoś powinien wyglądać.

- Po trylogii Brodzki pojawił się jeszcze w opowiadaniu „Szelfowe chmury”. Czy to już koniec przygód sympatycznego detektywa?

- W literaturze zawsze i wszystko jest możliwe. Sam zauważyłeś, że lubię swoich bohaterów. Nie wiem, ale cały czas mi teraz chodzi po głowie pomysł książki z akcją w Kwidzynie, więc kto wie.

- Pytam, bo jakbyś miał w planie tę powieść, to może znajdzie się jakaś rola lokalnego dziennikarza?

- Aaa, tu cię boli. No pewnie. Teraz chyba nie ma dobrej powieści kryminalnej, gdzie na miejscu zbrodni nie pojawiłaby się telewizja czy też rzesza dziennikarzy. Będę miał Cię na uwadze.

- Imiona Twoich bohaterów. O ile jeszcze imię komendanta Gromosława rozumiesz, to skąd wytrzasnąłeś Cyriaka Mauera?

- Kolejna z zabaw słownych. Mauer to oczywiście takie drobne odniesienie do filmu „Psy” i niezapomnianej roli Bogusława Lindy w postaci Franca Maurera. A Cyriak? Hmm, gdzieś mi to imię wpadło w ucho i tak przydzieliłem je prokuratorowi, bo mi fajnie to jakoś spasowało.

- Biografia Tyrmanda - tytaniczna praca i jak ktoś to nie raz określa pewnie sam Tyrmand o sobie tyle nie wiedział, co Ty o nim. Ile lat trwało zbieranie i poszukiwanie materiałów? Wiem, że pracujesz nad drugą książką o Leopoldzie T.

- W końcu dotarliśmy do mojego ulubionego tematu. To prawda. I tu mamy nawiązanie do tej naszej dbałości o historię i o zapisywanie wspomnień. Książka „Zły” była chyba pierwszym kryminałem i od razu się zakochałem i w nim, i w twórczości autora. To niesamowite, ile przeszedł Tyrmand. Dziś to jest niewyobrazalna rzecz. Jego biografia śmiało mogłaby być scenariuszem niejednego filmu. Powiem w skrócie. Tyrmand rodzi się w żydowskiej rodzinie, przechodzi na katolicyzm. Przed wojną studiuje w Paryżu. Wojna rozbiła jego rodzinę. Trafia do Wilna, gdzie redaguje radziecką gazetę. Musi uciekać. Aby przetrwać wojnę, wpada na genialny pomysł i wyjeżdża do pracy w hitlerowskich Niemczech. Stamtąd udaje się do Szwecji, gdzie końcówkę wojny spędza w obozie razem z późniejszym premierem Norwegii. Wraca do Polski, zdając sobie sprawę, że będzie obywatelem komunistycznego kraju. Nie może rozwinąć skrzydeł. Wiecznie śledzony przez bezpiekę, do której donoszą na Leopolda jego najlepsi przyjaciele. Poznaje wszystkie znane wówczas postacie kultury naszego kraju: Cybulskiego, Hłaskę, Kisielewskiego czy Wajdę. Niestety, tworzył głównie do szuflady. „Złego” można było kupić tylko spod lady, bądź za ogromne pieniądze na czarnym rynku. W tym miejscu przytoczę słynną anegdotę, kiedy idzie Tyrmand ulicą i przed księgarnią widzi potężną kolejkę (a były to takie czasy, kiedy najpierw stawało się w kolejce, a dopiero potem pytało, za czym ona stoi) i staje w nim za takim typkiem spod ciemniej gwiazdy z petem w ustach. Tyrmand pyta: Co tu dają? A typ na to: „Złego” panie dają, ale tylko po jednej sztuce na ryło.

Tyrmand był kolorowym ptakiem, dosłownie i w przenośni, a ówczesne władze nie mogły tego znieść. W końcu wyjeżdża do USA, gdzie rozpoczyna nowe życie i tworzy aż do śmierci. To tam właśnie znalazłem najwięcej materiałów.

- Sam Tyrmand sporo ci pomógł, bo był typem człowieka, który wszystko zbierał. Szkice opowiadań, listy, zapisane skrawki papieru czy też bilety i legitymacje.

- Zgadza się. I, co najważniejsze, większość z tych pamiątek po Tyrmandzie ocalała. Pisząc biografię, poznajemy naszego bohatera od dzieciństwa do śmierci. Spotkałem wiele osób, które znały Tyrmanda osobiście. Do dziś żyją osoby, które na niego donosiły. Co więcej, kariera tych osób rozwijała się i rozwija dalej w naszym kraju. Niesamowita historia zawarta w biografii pokazuje człowieka, który swoje życie zaczynał kilkakrotnie od nowa. Najczęściej w przypadkowych utworach o Tyrmandzie znajdujemy stereotypy, że ubierał się kolorowo, że nosił skarpetki w paski, że razem z kolegami balowali całymi nocami i że nie robili nic poza zabawą oraz piciem wódki.

- To były naprawdę dziwne te lata 50 i 60. Dziś to wręcz nie do pomyślenia, że powstaje taka powieść jak „Zły” i nikt nie robi na jej podstawie filmu.

- Prób i to takich poważnych było sporo. Niestety, Tyrmand był tematem tabu w PRL-u. Zlecano mu pisanie książki, a następnie nikt mu jej nie chciał wydać. Jako scenarzysta współtworzył film „Naprawdę wczoraj”. Po krótkim okresie wyświetlania film zdjęto z ekranów i wylądował na półce. Natomiast wszystkie próby ekranizacji „Złego” skutecznie przez kilkadziesiąt lat torpedował chyba największy wróg Leopolda - Aleksander Ford

(reżyser „Krzyżaków”), który był największym pupilkim ówczesnych władz. Najbliżej do powstania filmu było w latach 50, kiedy to w stolicy istniały jeszcze powojenne ruiny i gruzowiska, czyli naturalna scenografia tej powieści. Jeśli by ta powieść miała być sfilmowana, to tak jak w filmie „Miasto 44” musiałaby wkroczyć komputerowa technologia.

- Wspomniałeś wcześniej, że pracujesz nad nową książką o Tyrmandzie.

- To chyba normalne. Jak sam zauważyłeś, do pisania biografii odkryłem niesamowitą ilość materiałów o Tyrmandzie. W książce zawarłem tylko ich część. Jest ogromna masa zdjęć. Poza tym bardzo mało wiemy o życiu Tyrmanda w USA. Jest jeszcze bardzo dużo rzeczy, które można przenieść na karty książek.

- Życzę ci wytrwałości w pisarskiej twórczości i czekam na książkę w kwidzyńskich klimatach. Dziękuję za rozmowę.

***Marcel Woźniak** - urodzony 7 czerwca - słynnego orwellowskiego roku 1984 w Kwidzynie. Absolwent II LO w Kwidzynie i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Debiutował na scenie w Stowarzyszeniu Teatralnym „Scena 2”, był członkiem Teatru Jaworski, a także scenarzystą i współtwórcą Kabaretu Polefka. W latach młodzieńczych grywał w zespołach Kosmodrom, No Exit i Sitelight. Był rzecznikiem prasowym Tofifest, pracował jako spiker i reporter w toruńskim oddziale Radia Plus. Wyreżyserował oparte na własnym scenariuszu filmy krótkometrażowe „Caissa” i „Snufit”. Scenarzysta telewizyjny, copywriter i twórca reklam. Od zawsze fascynowało go pisarstwo, a szczególnie twórczość Leopolda Tyrmanda, co zaowocowało wydaniem w 2016 roku książki „Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja śmierć będzie taka jak moje życie”. Rok później zadebiutował jako autor powieści sensacyjnych pierwszym tomem przygód detektywa Leona Brodzkiego „Powtórka”. Sukces powieści sprawił, że błyskawicznie na rynku pojawiły się kolejne tomy „Mgnienie” i „Otchłań”. Najnowszą powieść „Tysiąc obsesji” stworzył we współpracy z Gabriellą Gargaś.*

Z NOŻEM NA LATARNI

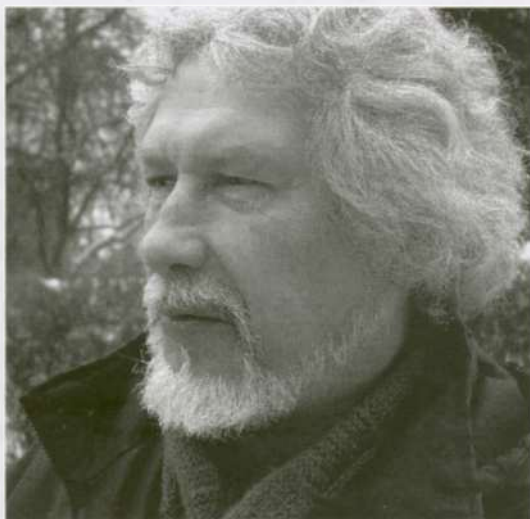
z Lechem M. Jakóbem – pisarzem, redaktorem portalu:
pomorski magazyn literacko-artystyczny „Latarnia Morska”,
rozmawia Artur D. Liskowacki

- Na czym polega fenomen „Latarni Morskiej”? Redaguje ją pan w praktyce prawie sam, a czytana jest w całym kraju przez tak wielu, ciesząc się autorytetem nie mniejszym, niż prowadzone inne sieciowe pisma literackie, redagowane przez duże zespoły.

- Przyznaję, że mnie samego to zaskoczyło: owe powiększające się z roku na rok wzięcie. Bo początki były skromne. Obecnie mamy czytelników nie tylko krajowych, ale też wielu spoza granic. Jako administrator posiadam wgląd w statystyki i mapy ilustrujące zasięgi aktywnych internautów. Obecnie liczonych w dziesiątkach tysięcy. Że o ogromnej ilości odsłon nie wspomnę. Przypuszczam, iż przyczyną rosnącego wzięcia jest trzymanie określonego poziomu portalowych materiałów. Selekcja jest tu dosyć ostra. Drugim elementem jest poważne traktowanie autorów. A trzecim, też istotnym, pewna surowość wizualna – świadoma rezygnacja z epatowania rozbuchaną grafiką, elektronicznymi „wodotryskami”. Odbiorcy zderzają się bezpośrednio z tekstem, nie pokonując irytujących barier oprawowych oraz reklam. Bo reklamy u nas również nie są dopuszczane. Portal nie służy zarabianiu pieniędzy. A odbiorcy to widzą i potrafią docenić.

- Papierowa wersja „Latarni Morskiej” - prekursorka portalu - też nie służyła zarabianiu pieniędzy. No i niestety - z braku pieniędzy właśnie, musiała zakończyć swój żywot. Ale jak to w ogóle było z tamtą wersją pisma, efektownego skądinąd graficznie, dbającego o własny kształt edytorski? Z jego dynamicznym trwaniem, walką o byt i nagłym końcem.

- Pierwszy numer pomorskiego magazynu literacko-artystycznego „Latarnia Morska” ukazał się w styczniu 2006 roku. Planowaliśmy rytm kwartalny. Pojawiło się wsparcie finansowe (lista ówczesnych donatorów zamieściliśmy na portalu). Kwartalnik dostępny był w ogólnokrajowej sieci Empik. W sumie - do roku 2011 - wyszło 15 numerów papierowych. Zdążyliśmy przygotować do druku (łącznie ze składem i korektą całości) podwójny numer następny (16-17), gdy niespodziewanie nastąpiło tąpnięcie. Ustało wsparcie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. I w tym samym czasie z dotacji wycofał się



Lech M. Jakób, fot. H. Szczepańska

Urząd Miejski w Kołobrzegu. A to były dwa fundamenty finansowania. Sumy pozyskiwane od pozostałych ofiarodawców nie pokryłyby wydania nawet jednej trzeciej numeru. Oczywiście wykonaliśmy jeszcze szereg ruchów usiłujących przywrócić jaką taką płynność finansową, ale nasze starania spełzły na niczym. O kamienistej drodze mógłbym całkiem spory artykuł skroić... Szczęściem tuż przed krachem papierowych wydań powiodło się uruchomienie portalu „Latarni Morskiej”. Rzec można - przez przypadek.

- Co znaczy przypadek? Upatrywałbym raczej celowe działanie...

- Nie urodziłem się wczoraj. Urodziłem się przedwczoraj. Z brakiem zaufania do świeżo powstających elektronicznych gadżetów, nadal przedkładając zapis papierowy nad byty wirtualne. Jednak dosyć niespodziewanie pojawił się zastrzyk gotówki. Skąd? Gdańska Biblioteka Cyfrowa zwróciła się z prośbą o zgodę na digitalizację papierowych wydań LM. I właśnie dzięki honorarium za tę zgodę mogliśmy zaprojektować i zbudować obecnie istniejący portal. Miał być dodatkowym łącznikiem z czytelnikami. To był listopad roku 2009 - czyli zaraz minie dziesięć lat od jego uruchomienia. W tamtym czasie jeszcze nic nie zapowiadało końca papierowych wydań. Lecz lata 2011-2012, jak wspominałem, okazały się feralne finansowo. I tak oto, portal – pełniący uzupełniającą rolę - raptem urósł do rangi nośnika głównego. Szybko umieściliśmy na nim wszystkie najważniejsze teksty archiwalne - dzięki czemu zachowana została ciągłość - już w świecie wirtualnym.

Rzecz jasna wciąż żałuję papierowego kształtu LM, ale cieszy przynajmniej elektroniczny byt...

- A co widać z tej „Latarni Morskiej”? Widać chyba niemało, nie tylko w regionie, ale i znacznie dalej.

- Zasięg nominalny światła kołobrzesckiej latarni morskiej wynosi 16 mil morskich (to jest około 30 kilometrów). Jednak z portalowej „Latarni Morskiej” rzeczywiście widać znacznie dalej. I więcej. Pełniąc równocześnie rolę portu, gdzie cumują literackie statki, uważnie obserwujemy ruch wszelkich pływadeł w dającej się ogarnąć przestrzeni. Tej regionalnej, ale również ogólnokrajowej.

Z wysokości i pewnego oddalenia dają się dostrzec symptomatyczne zjawiska. Na przykład dynamiki przyrostu publikacji książkowych. Szczególnie poetyckich, coraz częściej wydawanych przez autorów własnym sumptem (i z pominięciem ISBN). W samym fackie samoobsługi wydawniczej nie ma niczego złego, lecz najczęściej wiąże się to z brakiem samokrytycyzmu. Co z kolei owocuje kiepską jakością oferowanych utworów. Zalewani jesteśmy taką produkcją. Mozolnie wydłubując spośród publikacji zwartych te wartościowsze, staramy się je na portalu pokazać...



- Właśnie, sporo recenzji ukazuje się na portalu.

- Owszem. Rzecz można, że to nasze „oczko w głowie”. Mamy wypracowane grono recenzentów i krytyków, którym zlecane są omówienia. Nie liczyłem ostatnio, ale dotąd ukazało się u nas blisko tysiąc recenzji książek rozmaitego kalibru. W pierwszym rzędzie autorów regionalnych lub przez pomorskie oficyny wydawanych.

- „Port literacki” to prężny dział i, z tego, co wiem, mocno czytany. A inne działy? Cieszą się powodzeniem?

- Mamy kilkanaście działów. Do najbardziej obleganych czytelniczko należą „poezja” i „proza”, dalej „felietony”, „eseje i szkice”, „rozmowy latarni”, wreszcie „pisarze nieobecni, książki zapomniane”. Również na „pocztę literacką” internauci żywo reagują - wbrew pojawiającym się tu i ówdzie opiniom, że ta forma kontaktu z autorami jest już *passé*. Warto też wspomnieć jeszcze o konkursach przyświątecznych (Wielkanoc, Boże Narodzenie) ogłaszanych wspólnie ze szczecińskim kwartalnikiem „eleWator”. Ta forma zabawy literackiej zawsze ma bardzo duży odzew. Mimo że nagrody są raczej skromne: pakiety książek opublikowanych przez „eleWator” i „Latarnię Morską”.

- „Latarnia Morska” nie jest w sieci sama. Dla ciekawych, sporo tam kultury. Choć z poziomem tych e-pism i stron kulturalnych bywa różnie. Na dodatek samotnych entuzjastów pisania ku pokrzepieniu serc własnych oraz rodziny, kolegów i koleżanek jest w sieci Legion. Jak sobie „Latarnia” radzi z tą siecią obecnością w tłumie?

- Prawdę mówiąc brak mi cierpliwości do śledzenia innych portali, e-pism czy blogów literaturze poświęconych. I czasu też szkoda. Rzecz jasna mam ogólny ogląd „produkcji” literackiej w Internecie, mocno zachwaszczonych utworami godnymi ubolewania. Lecz cóż, taka jest cena komercjalizacji kultury i niebywale łatwego dostępu do mediów elektronicznych. Te zjawiska nigdy nie znikną. Ważne, by z sensem czynić swoje i chroniąc wyższe standardy twórcze - bez nachalstwa zabiegać o zaufanie czytelnicze. Ze świadomością funkcjonowania w strefie niszowej i dla odbiorcy bardziej wyrobionego. Co jest dostatecznym wyróżnikiem w tłumie.

- Niewątpliwa to też zasługa autorów „Latarni”. Współpracujących z nią *pro publico bono*... Jak układają się relacje z nimi? I wciąż pojawiają się nowi.

- Rzeczywiście, nie stać nas na honoraria autorskie, ale rozumiejących sprawę nie brakuje. Nie wszystko oparte być musi na pieniądzu. Młodszy zadowalają się samym prestiżem publikacji, dojrzałsi sami z siebie wspomagają.

Przewinęło się kilka setek autorów - z których część współpracuje dłużej. Różnopokoleniowe to bractwo - od nastolatków po twórców sędziwych. Ku naszemu ubolewaniu ostatnimi laty odeszli stali śp. współpracownicy: Janusz Korbel, Jacek Klimżyński i Anatol Ulman. Trudno ich zastąpić. Lecz pojawiają się nazwiska nowe - jak choćby udanie debiutująca niedawno w szczecińskiej Formie Jolanta Jonaszko czy dwudziestokilkuletnia autorka ze Słupska - Ewa Popławska, publikująca ostatnio u nas, obok opowiadań, świetny esej o trochę zapomnianym węgierskim pisarzu Sándorze Márai.

- Czy udało się „Latarni” wykreować jakiegoś „swojego” autora? Poetę? Recenzenta?

- Wykreować to może za wiele powiedziane. Raczej przyczynić się do pełniejszego rozwoju. Niewątpliwie od początków drogi twórczej mocno istnieją w „Latarni” Anna Łozowska-Patynowska i Wojciech Czaplewski. Anna Ł.-P. posiada niezwykle zmysł krytyczny i rzadki dar jasnego wykładania myśli - dotąd ukazało się u nas kilkadziesiąt wnikliwych recenzji jej autorstwa. Z kolei Wojciech Cz. to przede wszystkim eseista, prozaik i poeta - wiele jego utworów znaleźć można u nas. Obojgu zresztą opublikowaliśmy w ramach Biblioteki „Latarni” książki. Annie Ł.-P. „Opowieść o człowieku. Poezja najnowsza w krótkich interpretacjach”, zaś Wojciechowi Cz. „Pochwała niezrozumiałości. Eseje filozoficzno-literackie”.

W kręgu naszych bliższych zainteresowań są jeszcze inni autorzy, których twórczości patronujemy, ale tymczasem nazwisk nie zdradzę – by nie zapeszyć.

- Zapytam jeszcze o aktualną sytuację. Na stronie otwierającej od pewnego czasu widnieje informacja „Witamy w nowej odsłonie Latarni Morskiej. Portal w fazie testowej - przepraszamy za utrudnienia”. Czym te zmiany są powodowane?

- To mocno niepokojąca historia. Mam na myśli konieczność zamknięcia pierwotnej wersji portalu. Wyobraź sobie, że w pewnej chwili zaczął być kąsany atakami typu hakerskiego. A stopień zainfekowania złośliwymi wirusami spowodował blokadę funkcjonowania. Nie wiem, kto za tym się krył (jacyś sfrustrowani literaci?, haker uderzający dla „sportu?”), lecz faktem pozostają zniszczenia. Szczęściem nie nieodwracalne. Udało się uratować i oczyścić ponad 95 proc. zasobów. Teraz, mądrzejsi o wnioski z tamtych wydarzeń, wzmocniliśmy ochronę portalu. A w bieżącej wersji nadal trwają prace od środka, w obszarze administracyjnym – co niewidoczne dla internautów. Jeszcze trochę, a portal będzie na powrót funkcjonował pełną parą.

- Prowadzenie takiego portalu to żmudna praca. Ciekawi mnie jak ta działalność koegzystuje z pańską twórczością. Domyślam się, że bez konfliktów się nie obywa...

- Łagodnie powiedziane. A w gruncie rzeczy to walka na noże. W znaczeniu takim, że jedno wyklucza drugie. Bo portal jest zaborczy, czasochłonny i „zajęciowo” hałaśliwy. Nieuznający kompromisów. Gdy twórczość wymaga skupienia i też czasu własnego - o którym najczęściej tylko pomarzyć mogę. Czyli mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem: coś kosztem czegoś...

- Bardzo dziękuję za rozmowę.

(Przedruk z „Kuriera Szczecińskiego” z 28 listopada 2019 r.)

Krzysztof Czyżewski

NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (10)

NIEPAMIĘTNIK

2 września 2019 rok

Jerzy Ficowski napisał „Niepamiętnik” jako próbę dotarcia do swojego ojca, jego dzieciństwa i rodu, a tym samym do tajemnic odciskających ślad na jego własnym życiu. Dedykował go siostrze, a dziesięć numerowanych egzemplarzy maszynopisu dotarło do kręgu jego najbliższych. Zdawał sobie jednak sprawę, że rzecz jest z pogranicza jego poetyckiego geniuszu i pragnął aby ukazała się ona kiedyś drukiem. Książka jutro opuści drukarnię i zawita do Sejn na „Wieczór urodzinowy Jerzego Ficowskiego” 4 września. Dla tych, którzy nie będą mogli uczestniczyć w spotkaniu, wpisuję tych parę zdań otwierających moją opowieść o Pradziściństwie autora „Niepamiętnika”.

Zamieszkuje nas Niepamięć. Nawarstwiająca się słojami czasu, to ona zalega peryferie pamiętania, zacicha w zakamarkach wspomnień, przenika sny, na dnie życia osadza rudyment. Jest. Nikt jeszcze nie wymyślił sposobu jej utylizacji, mimo że ma status nieużytków i odpadów. W odróżnieniu od pamięci, Niepamięć jest niezatarta. I choć tak istnieje jakby jej niebyło, skrywa się w niej tajemnica naszego bytowania, nasze niewypowiedziane imię. Niepamięć jest rodowa, jej korzeń sięga głęboko w nasze praistnienie. Żyje w rodzinnych niedopowiedzeniach, w nigdy niezawierzonych opowieściach, bo strach, bo nieważne, bo nie do wypowiedzenia, bo tak będzie lepiej dla młodych, bo nic to ich nie obchodzi, bo nie ma czasu, bo można to odłożyć na jutro, bo zmienił się język, bo pamięć niepewna, bo w książkach napisano inaczej, bo nie wolno oglądać się za siebie, bo jest jak jest. Niepamięć żyje w pamiętnikach zjedzonych przez myszy albo listach spopielenych w pożodze, w skreśleniach cenzury, zaginionych dokumentach, zatartych napisach na grobach, nieczytelnych inicjałach, mapach krain od dawna nieistniejących, przestrzeniach niedosiężnych, zgubionych śladach, w dawnościach nieprzeniknionych i sekretach niewyjawionych. Niepamięć nie narzuca się nikomu, lubi przycupnąć pod kurzem, zaniemówić w szeptach głosów niepojętych albo płynąć w czołnach krwi starszej od naszych narodzin. Wystarczy jednak zahaczyć o nią, choćby drasnąć jej materię, snu nie prześnić, a coś się w niej odemknie, niby szpara z powiewem tęsknoty, coś jak wyjęte ze skrzynki na listy zaproszenie do podróży dalekiej. Rzadko kto takie zaproszenie bez adresu zwrotnego traktuje poważnie. Rzadko kto podejmuje wezwanie do podróży, która nie daje się zaspokoić turystyczną ciekawością, reportażem ani też formą pamiętnika, bo jest to podróż w nieznaną, bo inne horyzonty czasu i inna gęstość esencji są jej przeznaczone. Rzadko kto bywa przygotowany do tej podróży tak jak Jerzy Ficowski, wtajemniczony w pierwieści, bywalec Zaocza, potrafiący odczytywać popioły i łączyć zawczas z poniewczasem, władający słowem wiernym niewy-

słowionemu i wyobraźnią zdolną pomieścić wszystko to, czego nie wie. Świat poznał jego podróże w głąb Niepamięci nieocalonego Brunona Schulza, zgładzonych Żydów i owianych tajemnicą Cyganów. Świat dotąd jeszcze nie poznał *Niepamiętnika*, czyli podróży Jerzego Ficowskiego w głąb Kraju Świętej Niepamięci. Jak to zwykle bywa, wiedzieliśmy niejedno o życiu autora *Lewych stron widoków*, ale nie znaleźliśmy jego Pradzieciństwa.

HANDKE

10 października 2019 rok

Kiedyś Handke zasłynął powiedzeniem, że dla niego Europa Środkowa „ma znaczenie wyłącznie meteorologiczne”, manifestując tym samym swój dystans wobec piętna historii, którym naznaczona jest ta część Europy. Był rok 1987. Drago Jančar, pisarz słoweński, w ostrożnej jeszcze wówczas polemice zwrócił uwagę, że „dobrze jest spoglądać w górę i na chmury wędrujące po niebie, ale dobrze jest też patrzeć pod nogi, przynajmniej tak długo, dopóki w tej Europie Środkowej są pola minowe, druty kolczaste i mury berlińskie.” Po tej uwerturze przyszła kolej na sprawdzenie ciężaru słów zaczerpniających papier w intelektualnych dysputach, przyszła Bośnia. Jančar pisze esej pt. „Augsburg”. „Radio mozolnie przekonuje zagranicznych turystów, że Słowenia to kraj spokojny. Wojna jest gdzie indziej. Wojna jest w pudle telewizji stojącym w kącie. W tej dziurze świata, przez którą do pokoju ciągle wpadają nowe trupy.” Pojechał też do Sarajewa, po czym napisał wstrząsający „Krótki raport z długo obleganego miasta.”

Postawa Handkego z tą jego „meteorologią” staje się oślakanie śmieszna. Zatem i on wyrusza w podróż jak tylko wojna w Bośni się skończyła. Na początku 1996 roku publikuje swój raport, swoją „Sprawiedliwość dla Serbii”. Handke staje się bohaterem. Milorad Pavić, który towarzyszył mu w podróży do Kosowa, pisze: „...dobrze jest mieć Petera Handkego. Ale Petera Handkego mogą mieć tylko wielkie narody.” Pomińmy jednak ten wątek narodowościowy, który w wydaniu byłego studenta z Grazu jest jedynie plagiatem też wygłaszanych przez agencję informacyjną w Pale podległą Karadžiciowi (do wierszy tego poety tęskni i często powraca). Handkemu chodzi przede wszystkim o poddanie w wątpliwość realności tragedii w Bośni, tego, co obserwowaliśmy, czytaliśmy i czego doświadczyliśmy. Wszystko to jest nierzeczywiste, jest efektem międzynarodowego spisku mediów. Czy istnieje zatem alternatywna rzeczywistość? Pisarz nie daje odpowiedzi, pisarz zacięra obraz, mówi, że nie jest jasne kto atakował, a kto się bronił, pyta jak to było na prawdę z tym Dubrownikiem i czy pochodzący od Serbów Muzułmanie w ogóle mogą uchodzić za naród? Nie ważna jest



odpowieź, ważne jest zatarcie, odrealnienie. Europejska kuracja dla tych, którzy mogli czuć wyrzuty sumienia z powodu obojętności wobec tragedii wydarzającej się tak blisko, że nie sposób było jej zagłuszyć. „Spokojnie moi mili – zdaje się powtarzać nasz „meteorolog” - Skoro wszystko jest mgliste i wątpliwe, to w co się tu angażować? Nie dajcie się wedrzeć dziennikarzom w wasze sumienia, bo oni są na usługach światowego spisku”.

Jednym z tej „hordy dziennikarzy”, jak ich nazywa Handke, jest Roger Cohen, korespondent „The New York Times”. Pośród jego kolegów po fachu ponad pięćdziesięciu oddało swe życie podczas wojny w byłej Jugosławii. Cohen nie zostawia naszych sumień w spokoju, nie zacier obrazu, daje odpowiedzi. „Serca stają się brutalne” to literatura realistyczna, oparta na faktach i zaangażowana: „To była nie tylko wojna, także otaczające ją hipokryzja i upadek moralny.”

Tak pisałem w eseju „Nasza Bośnia” opublikowanym w paryskiej „Kulturze” w 1999 roku. Z Handkem potem było tylko gorzej, aż po jego manifestacyjną obecność na pogrzebie Milosevicia, którego żegnał słowami podziwu i wdzięczności.

Po jakie licho przywołuję te słowa teraz, kiedy serce się rwie do odczynienia tańca szczęścia z Olgą? Powiecie, że powinienem oddzielać poglądy polityczne autora od jego dzieła. Wiem, ale nie potrafię. Już od dawna nie potrafię. Tym bardziej, że tu nie tylko o poglądy polityczne chodzi, ale o postawę życiową – bez przemiany, bez skruchy, bez słowa „przepraszam” (Gazeta Wyborcza odnotowuje, że przeprosił Żydów za to, iż los Serbów porównał do ich losu w czasie Holokaustu; ale to Muzułmanie byli przez niego wyszydzani i poniżani). Może nie trzeba było jeździć do Bośni w czasie wojny? Wiem, że Nobel to wielka sprawa, ale dla mnie ważniejsze jest móc spojrzeć w oczy mieszkańcom Sarajewa, o których Handke pisał, że sami wyreżyserowują masakry, by wzbudzić litość świata. Tymczasem Akademia Szwedzka uspokaja: wpływowa twórczość, „która z językowym geniuszem bada peryferia i specyficzność ludzkiego doświadczenia”. Powinienem oddzielić, ale nie potrafię, więc – nie chcę.

HANDKE I IDIOCI

24 października 2019 rok

Pozostało ze mną to graffiti uchwycone w przelocie między Berlinem a Rzymem. Dzień jak co dzień w erze Noblisty Handkego. Łapanki na Kurdów w Stambule. W Budapeszcie 50-osobowe komando faszystów w biały dzień demoluje centrum wspólnoty żydowskiej. W Chinach „upolowano” już ponad milion Ujgurów, zamykając ich w obozach, gdzie są zmuszani do wyrzeczenia się swojej narodowości i religii oraz ślubowania lojalności reżimowi. Donosił o tym świtu Ilham Tohti, dzisiejszy laureat Nagrody Sacharowa, skazany na karę dożywotniego więzienia. W Chile na ulicach ponownie słychać: ¡No pasaran!. W Soczi Putin z Erdoganem przyzwalają sobie na dalsze mordowanie mieszkańców Rożawy.

Dyktatorzy i ich poplecznicy czekają na nowego geniusza literatury, który powie światu, że te wszystkie doniesienia to jedynie spisek zachodnich mediów; który podszeptnie intelektualistom, żeby zwrócili uwagę na obecność agencji PR w służbie ofiar w Syrii; który zachwyci miłośników literatury nową „Sprawiedliwością” dla narodów, w których imieniu



planują ludobójstwa. Chcieliby, aby pisarz kłamiący na ich rzecz stał się obrońcą Turków, Węgrów czy Chińczyków. Za każdą cenę dążyć będą do uciszenia głosów takich jak ten serbski, pisarza Bory Cosicia: „Jeżeli ktoś domaga się sprawiedliwości dla Handkego, najpierw powinien wołać o sprawiedliwość dla Serbii, by ją uwolnić od fałszywej adwokatury. Albowiem sposób, w jaki Handke występuje w obronie tego kraju, jest uwłaczający. Serbia to nie uboga ojczyzna ludzi biednych, tępych i zacofanych, ale kraj, który w ciągu ubiegłego stulecia dał światu dobrych pisarzy, awangardową sztukę i rozumne jednostki. Jest tam wielu jawnych przeciwników reżimu.”

„Ludobójstwa zdarzają się i przemijają, literatura trwa wiecznie” – z gorzką ironią o światopoglądzie gremiów nobilitujących Handkego pisze Aleksandar Hemon. Jest pisarzem z Sarajewa, co działa na jego niekorzyść, bo w takich miejscach „trudno o obiektywizm”. Dodatkowo pogrąża go fakt, że tekst swój opublikował w *The New York Times*. „Wiadomo”.

Jakaż to pokusa w takim dniu, jak ten, uchwycić się wieczności. Nie ułatwia tego Noblista Handke. Zmienia zdanie. Nie tylko odnośnie Nagrody Nobla: dawniej domagał się jej zlikwidowania, dzisiaj już bardzo mu się ona podoba. Chodzi o kwestie bardziej zasadnicze, w tym o świętą autonomię literatury, której nie powinno się naruszać stykiem z rzeczywistością, zwłaszcza polityczną. Wprawdzie zaraz po ogłoszeniu decyzji Komitetu Noblowskiego dziennikarzom odpowiadał, że on jest z Homera i Cervantesa, irytując się, że w takim dniu zwracają mu głowę pytaniami o Miłoszewicia, co by wskazywało na domaganie się prawa do pozostawienia go w spokoju w wieży z kości literatury. Oto jednak w wywiadach dla mediów, w tym tych z Belgradu, zaczyna powtarzać, że nie da się oddzielić literatury od politycznego zaangażowania. „Uznał, że Nobel jest potwierdzeniem, iż miał rację, a jego polityczne zaangażowanie w obronie zbrodniarzy wojennych – Karadžicia czy Ratka Mladicia, przywódców bośniackich Serbów – było słuszne” – z Belgradu i Zagrzebia pisze w ostatnim „Tygodniku Powszechnym” Marta Szpala. Nie trudno się domyślić, że

podobnie uznali swoje zwycięstwo osieroceni przez Miłoszewicia i jemu podobnych nacjonalści i negacjoniści, dla których Trybunał Haski był jedną wielką fikcją.

Zaraz, zaraz – powiemy – bez przesady. Handke nie jest pierwszym pisarzem publicznie wygadującym bzdury, nie pierwszym też, który oddaje się w służbę złej sprawie. Wszystko to nic nie znaczy wobec faktu, że mamy jego dzieła literackie. Nikt nam nie odbierze prawa do tej wieczności, którą daje nam „wielka literatura”. Dzień minie, a my wieczorem zapalimy sobie lampkę i oddamy się lekturze. Natrafimy wtedy na urzekającą eulogię, którą pisarz wygłosił nad grobem Miłoszewicia: „Nie znam prawdy. Patrzę. Słucham. Odczuwam. Pamiętam. Pytam. Dlatego jestem tu dzisiaj...” Czyż nie pięknie? Wprawdzie dalej mówi: „...jestem blisko Jugosławii, blisko Serbii, blisko Slobodana Miłoszewicia”, ale bez przesady z tym cytowaniem. Możemy też wyrwać trochę stron z książki „Podróż zimowa nad Dunaj, Sawę, Morawę i Drinę, czyli Sprawiedliwość dla Serbii”, a pozostaniemy z opisami piękna natury dawnej Jugosławii i tak dalej. Możemy nie czytać sztuki, w której pisarz wybiela zbrodniarza wojennego. Reszta jest wiecznością. Może się jednak zdarzyć, że zapukają do naszego domu ludzie bez zbędnych wyrzutów sumienia. Pozostanie nam albo zgasić lampkę i przeczekać do nadejścia dnia, albo otworzyć drzwi. W jednym i drugim przypadku pryśnie wieczność. Poczujemy się, że może przynajmniej dzieciom i wnukom uda się przekazać wiarę w geniusz ludzki, który nie musi mieć nic wspólnego z dobrem i prawdą. Naszą zdradę Greków przemycimy do kolejnego pokolenia idiotów Erdogana czy Putina...

MASZA DINESCU

29 października 2019 rok

Odeszła Masza Dinescu. Wczoraj wieczorem, po długiej chorobie. Klepsydrę w Bukareszcie zawiesił Teatr Narodowy im. Iona Luki Caragialego, w którym była szefową działu literackiego. Wybitna tłumaczka literatury rosyjskiej, przede wszystkim dramatów, w tym „Wiśniowego sadu” Czechowa, „Rewizora” Gogoła czy „UFO” Wyrypajewa.

Przyjechali z Mirceą do Sejn krótko po tym, jak kupili port nad Dunajem. Port? – nie dowierzałem. I po co port poecie i tłumaczce literatury? Na kartkach rysowali mi mapy okolic Krajowej i bieg Dunaju, zrujnowane budynki, w których oczami wyobraźni widzieli rezydencje dla pisarzy, galerie i kino, na zewnątrz amfiteatr i przystań dla łodzi Wędrowców Wschodu. Odpowiadałem im rysunkami Kastalii w parku i ruinach dworu Miłosza. Więc oni o Czetate, ja o Krasnogrudzie. Niepoprawni. Masza była taka szczęśliwa. Zawsze chciała wyjechać z Bukaresztu. Marzyła o ogrodzie, Mircea o kuchni nad kuchniami z jałdospisem, który zadziwi poezją smaków.

Wkrótce potem zawitałem do Czetate, które nosiło już nazwę „Port Kultury”. To wtedy zrobiłem tę fotografię. Za moment położę aparat na ziemi i dołączę do ich szalonego tańca nad brzegiem Dunaju. Nie było jeszcze rezydencyjnych apartamentów ani sal filmowych, nie było festiwalu „Divan”, który narodzi się z ich marzeń o połączeniu kina bałkańskiego ze sztuką kulinarną. Ale byli już Cyganie, i to oni grają nam do tańca, a potem rozpalają ognisko i pomagają Mircei przygotować pyszne jedzenie z winem domowego wyrobu. Następnego dnia dołączą do nas przyjaciele z Domu Canettiego w Ruse, na drugim, buł-



garskim brzegu. Za rok razem popłyniemy statkiem z dawnego Rusztuka do Czetate, po drodze tłumacząc i czytając poezję w prawie wszystkich środkowoeuropejskich językach.

Zakochali się na życie, gdy Masza kończyła liceum. Mircea był od niej o jedenaście lat starszy, wtedy już „cudowne dziecko” literatury rumuńskiej i niesforny dysydent reżimu „Geniusza Karpat”. Wywodzili się z bardzo różnych światów, ich temperamenty mieszały ogień z wodą: ona z domu znanych intelektualistów, znawców literatury rumuńskiej i rosyjskiej, autorów książek o Dostojewskim, Puszkynie i Eminescu; on z niewielkiego miasta, punk i poeta-błazen; ona zacisze dobra i schron przed nawałnicami emocji; on z ogrodu rozkoszy ziemskich, zawsze w wirze mediów, kuszony sławą. W końcu lat 80 ubiegłego wieku ich dom w Bukareszcie i postawa obywatelskiego nieposłuszeństwa stały się symbolem antyreżimowego oporu. Securitate zamknęło ich na wiele miesięcy w areszcie domowym, doświadczyli społecznego ostracyzmu, ale też odważnego wsparcia garstki niezawodnych przyjaciół, w tym Any Blandiany.

Mircea razem z Maszą zbudowali Port Kultury. Ale on cały czas powtarzał mi, że co innego jest najważniejsze, że nie dałby życia rady, gdyby w Maszy nie znalazł cichego portu.

MOST - MOSTAR

9 listopada 2019 rok



Dzisiaj mija 26 lat od śmierci Starego Mostu. Napisałem „Mostar” po tym, jak razem z Tadeuszem Mazowieckim dotarliśmy do obróconego w ruinę miasta i przekroczyliśmy Neretwę przez wąską kładkę zawieszoną w miejscu po Starej Čupriji. Wieczorem przedostaliśmy się konwojem wozów opancerzonych do Tuzli. To tam spotkałem Jasminka. W czas rozpadu jugosłowiańskiego świata i poszukiwania nowych imion dla swoich przynależności, on zwrócił się ku bogomiłom i śladom ich duchowej obecności w Bośni. Zamiast uzbrojonych po zęby tożsamości etnicznych i instytucji religijnych, wybrał człowieka zajętego dobrym uczynkiem i medytacją w modlitwie. Opowiadał mi o ziemskim świecie stworzonym przez upadłego anioła i kamiennych steczakach z wizerunkiem Dobrego. Wieczorem w piwnicy hotelu gromadziło się coraz więcej mężczyzn i kobiet w panterkach. Zdravko Grebo zdawał Mazowieckiemu sprawozdanie z sytuacji w oblężonym Sarajewie. Kostek Gebert i Timothy Garton Ash notowali, by nazajutrz wysłać relacje do swoich gazet. Spotkanie powoli zamieniło się w biesiadę ciągnącą się długo w noc. Ktoś sięgnął po harmonię i zaczęto śpiewać sevdalinki. „Nie myśl - zwrócił się do mnie Jasminko - że oni wszyscy są z armii bośniackiej. Wśród śpiewających są też Serbowie, znają te same pieśni, bawili się na tych samych podwórkach, są rodzinnie spokrewnieni. O świcie wrócą na front, każdy na swoją stronę, i zaczną do siebie strzelać...”

MOSTAR
dla Jasminka

Pełna dobroci bogini tej ziemi, śniada Bossona
błądziła wśród ludzi nie pomnych jej imienia.
Na przeciwległych wzgórzach Ormuzd i Aryman
ładowali granatniki, od których ginęli wierzący

w Jedyne go. Szukałem drogi w mieście
 kamienne białym, o pustych oczodołach.
 Na skraj przepaści doprowadzili mnie zbrojni.
 Ramiona mostu złamane sączyły krew z rzeki,
 w której stał mnich bogomilski i unosił dłoń
 przesyta słońcem. W czerwień załamywało się światło.
 Gdy wstępowałem na kładkę zawieszoną wysoko
 na stalowych linach, Ty, jak przed wiekami,
 siedziałś na mym ramieniu powtarzając:
CO PRAWDZIWIE MA BYĆ JEDNE, JEST TROISTE.
 Lecz pod nami brzegi oddalały się od siebie
 i nie było już ramion zdolnych je objąć.
 Nienawiść dzieliła miasto. Widziałem
 jak zgwałcona rzeka wlewa się w szczeliny pękającej ziemi
 dosięgając coraz dalszych okolic, dosięgając ludzi
 we śnie, ich siedliska w dobrobycie, ich armie
 i państwa w niemocy. Ginąc, nie rozumieli.
 Po drugiej stronie czekał posiwiwały Zaratustra.
 Sprzedawał pocztówki Starego Mostu za grosz ironii.
 Wyciągnął ku mnie zaciśnięte dłonie, ciemną i jasną:
 „Mam tutaj Serba, Muzułmanina, Chorwata, Żyda, Cygana...
 Jeśli zgadniesz w której dłoni, wejdiesz do królestwa.”
 Odwracając się dostrzegłem Bossonę z garstką ludzi
 uchodzącą w góry. Brama mroku zamknęła się za nimi.
 Następnego dnia szukałem ich śladów – na próżno,
 pytałem ludzi – na próżno. „Uszli i nieprędko
 rozpalą ogień w bezpiecznym miejscu” – na nagim kamieniu
 zburzonej świątyni siedział Patrzący. „A ty?” – spytałem.
 „Dopóki choć jedno serce wyczekiwać ich będzie,
 jest nadzieja, że powrócą.”

KRAKAUER I ZEGARYSZKI

11 listopada 2019 rok

Z Davidem Krakeuerem los spotyka mnie często, zawsze zaskakując, jakby chciał powiedzieć, że przypadek w tym świecie jest tylko oddźwiękiem spójni z innego wymiaru. Nauka ciągle pozostaje bezradna wobec tajemnicy przebiegu energii duchowych i mocy, z jaką rozchodzą się one w świecie, zupełnie nie zważając na prawa fizyczne i liczbowe kwantyfikatory, w które racjonalna nowoczesność każe nam ślepo wierzyć. Coś jednak sprawia, że nasze z Davidem ścieżki się przecinają, a nasze nieprzygotowanie do tych spotkań tylko je pogłębia.



Spędzając kiedyś całą rodziną Boże Narodzenie w Nowym Jorku, w samą wigilię wybraliśmy się do świątecznych straganów ustawionych na Union Square i pośród tysięcy ludzi wpadliśmy sobie z Davidem w ramiona. Zaproszeni na święta do Krakauerów, zagailiśmy rozmowę z jego ojcem, Galicjanerem, która przerodziła się w długą opowieść o jego życiu sprzed emigracji do Ameryki. Wzruszony do łez syn dowiadywał się po raz pierwszy o losach i tragediach swoich najbliższych, jak to bywa podczas takich spotkań, kiedy obecność nigdy wcześniej nie widzianych gości uwalnia pamięć, wobec własnych dzieci zamkniętą przez traumę przeszłości i emancypacyjny dystans palących za sobą mosty. Podobnie wzruszony był David w Sejnach, gdy zaprosiłem go do podróży do Galicji poprzez oglądanie i odczytywanie w różnych językach starych pocztówek. Stworzył wówczas jedną z najpiękniejszych swoich kompozycji „Powrót do Lwowa”, zostawiając ją w darze naszej Orkiestrze Klezmerskiej, a płytę z tym utworem ozdabiając fotokopiami wybranych przez nas pocztówek. Obaj roniliśmy łzy we wrześniu 2011 roku. Przyleciałem do Nowego Jorku w kilka, może kilkanaście dni po dziewiątym. Wjeżdżając taksówką z Brooklynu na Manhattan poczułem jeszcze zapach spalonych ciał ludzkich, ten sam, który znałem z Bośni czy Aceh w Indonezji. Dotarłem najbliżej Ground Zero jak to wtedy było możliwe, a potem błąkałem się po dolnym Manhattanie, zanurzony w międzyludzkiem milczeniu „kapliczek” spontanicznie tworzonych przy remizach strażackich, w których wieszano fotografie zmarłych albo zaginionych, przyklejano kartki ze słownymi inkantacjami i zapalano świece. Był już zmierzch, kiedy przy jednej z takich remiz w dolnym biegu Siódmej Alei poczułem na ramieniu dłoń Davida. „Została mi jeszcze tylko jedna świeczka” – powiedział. Kiedy indziej dotarłem do Ann Arbor, gdzie na Uniwersytecie Michigan miałem wygłosić „Copernicus Lecture”. Z Davidem spotkaliśmy się w hotelowej windzie, do której

wcisnął się na ostatniego, ledwo mogąc pomieścić futerał na instrument. Nie tylko przyszedł na mój wykład, ale zagrał do niego uwerturę na klarnecie. Ledwie dwa lata temu tworzyliśmy wspólnie „Misterium Mostu” w Krasnogrudzie. Napisałem poetycką uwerturę do kompozycji Davida i Kathleen Tagg „Strażnicy ognia”, którą odczytałem przed koncertem. Podobnie stało się zeszłego roku, kiedy słowami zaimprovizowałem wstęp do ich koncertu w Symphony Space na Manhattanie. A jak było z Nagrodą Sendlerskiej przyznaną mi przez Fundację Taubego? Już po przyjeździe na krakowski Kazimierz pod koniec Festiwalu Kultury Żydowskiej dowiedziałem się, że ceremonia jej wręczenia odbędzie się w synagodze Tempel, jako uwertura do koncertu Davida Krakauera i jego zespołu Ancestral Groove...

Nie wiedziałem, że David jest już w Krasnogrudzie. Dopiero co przyleciałem z Kijowa. W Białej Synagodze odbywały się próby do ich wspólnego z Orkiestra Klezmerską koncertu podczas festiwalu Eufonie w Warszawie. W Pograniczu z wizytą studyjną gościło stowarzyszenie RzeczJasna z Ostródy. „Czy nie przeczytałbyś wierszy-Żegaryszek?” Coś podobnego musiał usłyszeć David w Sejnach: „Czy nie zagrałbyś do wierszy-Żegaryszek?”. Tak czy siak zupełnie niespodziewanie spotkaliśmy się wczorajszego wieczora w krasnogrudzkiej kawiarence „Piosenka o porcelanie”. Na szczęście mieliśmy Żegaryszki przetłumaczone na angielski przez Michaela Steinlaufa. Tym razem ponownie David zagrał uwerturę. A potem czytaliśmy na przemian po polsku i angielsku, inkrustując dialog ciszą i muzycznymi intermediami. Cisza była już z tych jesiennych, a w dodatku światło świec dosyczał blask oczu słuchających. Klarnet Davida w drodze zestrajał się z minimalistyczną nutą maleńkich wierszy, z każdą odśłoną przybliżając się do brzmienia przypominającego świst fletu zen siakuhaci. Grając kodę zamykającą naszą rozmowę, przypominał jednego z tych japońskich mnichów fuke, którzy grą na instrumencie zanurzają się w głęboką medytację.

Paweł Zbierski

DZIENNIK KATALOŃSKI**(7)****KATALONIA JEDZIE DO PERPIGNON**

Wiele wskazuje na to, że zgodnie z przewidywaniami ekscentrycznego Salwadora Dali, dworzec kolejowy w Perpignon staje się oto centrum wszechświata. Przynajmniej dla Katalończyków. Bo już nie dla mediów głównego, europejskiego nurtu, coraz mocniej rozjeżdżającego się z rzeczywistością.

- I pomyśleć, że jeszcze dziesięć lat temu przed tym samym dworcem, nad głowami podróżnych, fruwały płonące barykady, a dym spowijał Perpignon tak, jakby to było Kosowo a nie jedno z miast południowej Francji. Robert głęboko się zamyślił, przypominając tamtą wojnę Arabów z Cyganami, rozgrywającą się przecież w samym sercu miasta. W życiu widział już niejedno, ale tamta historia do dziś mrozi krew w żyłach. Robert z niejednego chleba już jadł, bo to emigrant ze wschodu: pół Rosjanin, pół Białorusin o polskim obywatelstwie. W Perpignon - wiele lat temu - odnalazł swoją drugą ojczyznę, tak jak inni przybysze z Polski, Rumunii, Ukrainy czy z Maroko...

*

Znajdujące się dokładnie naprzeciwko tego dworca mieszkanie Corin było przed laty pierwszym w kolejności przystankiem na mojej drodze do Katalonii. Na drodze emigranta z Polski malarstwo, rzeźba i literatura wydawały się wówczas w tej katalońskości najciekawsze. Z czasem pojawiło się także zainteresowanie katalońskimi mediami oraz katalońskimi ruchami wolnościowymi.

Tymczasem Katalonia, do której od jesieni 2017 roku wyruszałem z Perpignon za sprawą kolejnych przybliżeń, przyjechała nareszcie do mnie, po to, by spotkać się ze swoim wygnanym z Barcelony prezydentem.

PERPIGNON NA BIEGUNACH EMOCJI

Perpignon - stolica Katalonii Północnej - to w porównaniu z Paryżem miejsce dość prowincjonalne. Jednak od współczesnego Paryża jeszcze chyba mocniej rozpięte na najbardziej skrajnych i ambiwalentnych emocjach. Tak jak podczas wojny arabsko-cygańskiej z 2005 roku.

Robert wyjmuje pożółkły wycinek z wychodzącej w Perpignon francuskiej gazety „L'Independant”, z 25 maja 2005: *Dwie osoby zostały oskarżone w środę o „zabójstwo w zorganizowanym gangu” po śmierci Mohameda Bey-Bachira, zlinczowanego w niedzielę przez grupę Cyganów. Burmistrz zgromadził pastorów i imamów, aby zadowolić dwie wspólnoty, które współistnieją w dzielnicy Saint-Jacques.*



Katalończycy przekraczają granice z Francją, 1939 r., fot. archiwum

Właśnie po tamtym mordzie w Perpignon, a w ślad za tym po rozgrywanej na ulicach miasta rewolcie, w której starły się ze sobą dwie rosnące w siłę etniczne mafie nie mające kompletnie żadnego związku z wielowiekową kulturą Północnej Katalonii, niezdolne do jakiegokolwiek integracji ani z Francuzami, ani z Katalończykami, ani z europejskimi imigrantami z Niemiec, Szwecji, Niemiec, Wielkiej Brytanii - niejednemu lokalnemu politykowi w głowie zapaliło się wtedy czerwone światło. No bo z jakiej racji - w imię jakiejś kompletnie abstrakcyjnej idei multi culti - w miejsce pluralistycznego konglomeratu francusko-katalońskiego miałyby w tym mieście dominować i utwierdzać swój monopol dwie toczące ze sobą śmiertelną walkę przestępcze monokultury? Z jakiej racji wolni obywatele mają się na przykład dobrowolnie opodatkowywać, by zadowalać np. jedną rodzinę wielodzietną kwotą dwudziestu tysięcy euro miesięcznie, rodzinę odmawiającą edukacji i narzucającą autochtonom jako jedynie słuszny swój ryt kulturowo-religijny?

Robert przywołuje dalszą część tekstu z pozostałej kartki papieru: *Młody mężczyzna uderzył jednego z Cyganów w policzek, a potem dźgał go nożem wraz z dwudziestoma mężczyznami uzbrojonymi w kijki, metalowe rurki lub kij golfowy. Mohamed próbował schronić się w jednej z lokalnych kawiarni, ale nikt nie podniósł palca, aby mu pomóc. Upadł na ulicę Lluçia Street, stanowiącą linię podziału między społecznościami i wpadł do małej kawiarni Jama el Fana. Aziz, Zmarł podczas jazdy do szpitala...*

*

Robert doskonale pamięta, jak w kłębach dymu i ognia bezradnie miotał się Sarkozy - ówczesny minister spraw wewnętrznych, a potem prezydent Republiki Francuskiej. I jak to właśnie on, Sarkozy, człowiek niskiego wzrostu, podskakiwał nad głowami imamów oraz królów cygańskich, rozpaczliwie apelując o ład publiczny. Próbując się przebić z tym apelem.

*

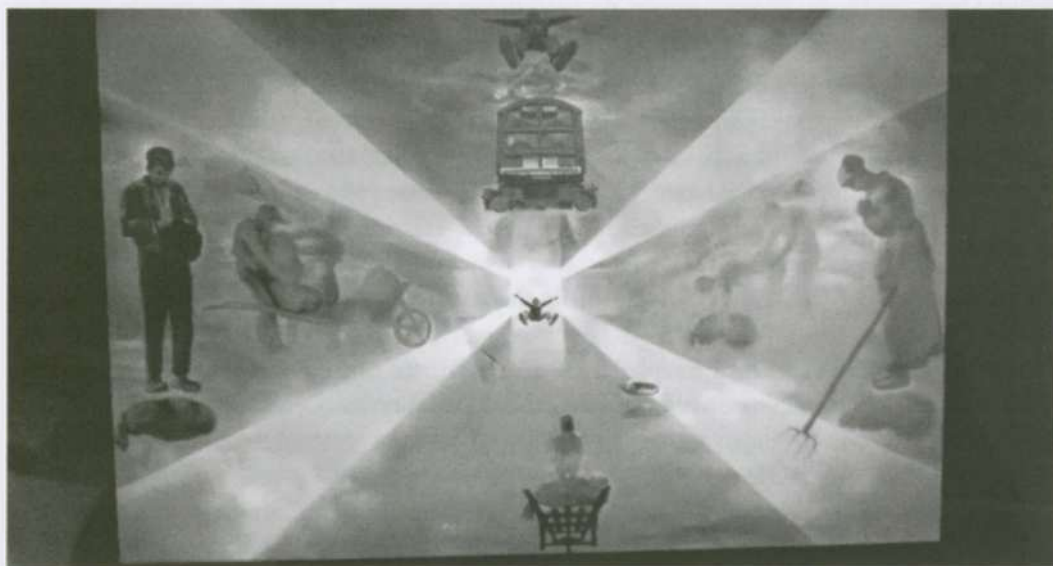
Perpignon to moja baza wypadowa w okolice bliższe: do wiosek północno-katalońskich - wokół Saint Laurent i Ceret oraz na terytoria dalsze - w stronę Tarragony.

*

Patrząc przez okno tamtego mieszkania, malowałem wówczas po raz pierwszy Pireneje i wielokolorowy dworzec. Dworzec z przewagą zgnilej zieleni, żółci i pomarańczy. Dworzec ten więc także dla mnie stał się od samego początku punktem odniesienia w sprawach katalońskich. Nowoczesny - ze szkła i stali, w dodatku z praktycznym i bezpłatnym parkingiem przy Lidlu, wygląda dziś zupełnie inaczej, niż w momencie, gdy Dali malował swój słynny obraz. Wciąż jednak ten sam dworzec łączy Katalończyków. Tych z południa, z tymi z północy. Tak dzieje się 10 lat po wojnie dwóch grup etnicznych, do dziś bardzo kosztownej dla francuskiego podatnika...

Więc po tej wojnie cygańsko-arabskiej, która w roku 2005 za sprawą koktajli Mołotowa i rzeczywistych trupów zakłóciła tradycję miasta i nadwątlila obecną tu od średniowiecza estetykę, Katalonia jedzie do Perpignon. Katalońskość obecna tu przecież od wieków i zanurzona w tradycjach europejskich z mozołem się przebija się do codzienności i potoczności. Na przekór hiszpańskiej cenzurze katalońskiego internetu. I na przekór propagandzie, zarówno tej płynącej z Madrytu, z Moskwy, jak i z Warszawy.

- Szczerze mówiąc, nikt, absolutnie nikt nie spodziewał się tutaj takiej masy ludzi! - mówi Robert. - Od parunastu dni ostrzegano, że przecież coraz bliżej Katalonii jest mknący z Włoch koronawirus, ostrzegano wreszcie przed możliwymi, żywiołowymi kontrmanifestacjami Hiszpanów, przypomniano niedawną brutalność policji francuskiej wobec Katalończyków...



Salvador Dali, Dworzec w Perpignon obraz z 1965 r., fot. archiwum

Robert wie, co mówi. W Perpignon spędził wiele lat. W dodatku ma do Katalonii zdrowy dystans, jako emigrant. Robert przypomniał więc, że niejedna rodzina zapowiadała weekendowy wyjazd z miasta, głównie w obawie przed spodziewanymi rozruchami. Napięcie potęgowały także pogłoski, że jadący z Brukseli do Perpignon na spotkanie z rodakami Puigdemont może zostać porwany tuż przy granicy francusko-hispańskiej, po czym triumfalnie osadzony w więzieniu w Madrycie.

ZACZEŁO SIĘ OD TSUNAMI

W historii internetu fenomenem stało się utworzenie w Katalonii jesienią 2019 roku Demokratycznego Tsunami trafiającego - w ciągu zaledwie paru dni - z przekazem do prawie pół miliona odbiorców i organizującego gigantyczne protesty w 2019 r. Wbrew przekazom propagandowym z Madrytu, Tsunami nie miało kompletnie żadnego związku ani z GRU, ani w ogóle z rosyjską wojną hybrydową w Europie. Ruch stworzył aplikację mobilną, która została wydana jako „pomocnik” dla urządzeń z systemem Android. W tej aplikacji organizowano i mobilizowano małe, precyzyjnie zlokalizowane grupy zwolenników do przeprowadzania akcji protestacyjnych na całym terytorium Katalonii. Aplikacja pozwala demokratycznemu Tsunami monitorować i udzielać wskazówek poszczególnym protestującym lub grupom protestujących, jednocześnie twierdząc, że lokalizacja użytkownika jest przybliżona i zaciemniona, aby uniknąć policyjnego śledzenia. Aplikacja stała się szybsza od hiszpańskich służb specjalnych, co między innymi pozwoliło Katalończykom zablokować dla celów protestu lotnisko w Barcelonie. Od samego początku Tsunami jako cel główny postawiło sobie wolność więźniów, obronę zesłańców politycznych i żądanie ograniczenia represji; obronę praw podstawowych i pokojową, demokratyczną walkę o samostanowienie Katalonii. W oświadczeniu wydanym po wyroku w sprawie katalońskich przywódców niepodległościowych, czytany przez Pepa Guardio, bronili oni prawa do zgromadzeń, wolności słowa i prawa do rzetelnego procesu. Tsunami domagało się także referendum w sprawie niepodległości podobnego do tego z Quebecu i Szkocji oraz wezwało społeczność międzynarodową do zajęcia stanowiska w sprawie „rozwiązania konfliktu opierając się na dialogu i szacunku”.

W dniu 18 października 2019 r. hiszpański sąd nakazał zamknięcie kilku stron należących do grupy. Ta natychmiast migrowała swoją stronę główną na nowy adres. Później opublikowała instrukcje, jak „uniknąć hiszpańskiej cenzury”. Minister spraw wewnętrznych Hiszpanii Fernando Grande-Marlaska stwierdził, że władze hiszpańskie wszczęły dochodzenie mające na celu odkrycie osób stojących za grupą. Według doniesień, rząd hiszpański badał, czym Carles Puigdemont stoi za grupą. Tsunami odmówiło skomentowania zarzutu, a Puigdemont zaprzeczył i stwierdził, że nie wie, kim byli organizatorzy. Hiszpania wysłała prośbę o usunięcie do GitHub, domagając się usunięcia aplikacji Tsunami Democràtic i określając - wbrew oczywistym faktom - organizację jako „przestępczą zmuszającą ludzi do ataków terrorystycznych”.

To co jednak budzi moje najwyższe zdumienie i podziw zarazem, to błyskawiczna zdolność do pragmatycznego i elastycznego reagowania dziennikarzy katalońskich na represje policyjne. Ta zupełnie niebywała zdolność wydaje się umacniać w Katalończykach od czasu

reżimu generała Franco. Wolny przekaz informacji jest dziś najsilniejszą bronią tamtejszego wolnościowego ruchu. Etos dziennikarski nakazuje tym ludziom być w gotowości przez pełne 24 godziny na dobę, gdy trzeba, wysoko w Pirenejach, albo na tyłach policyjnych prowokatorów, pod całą więzienną albo przed szpitalem. Nikt z dziennikarzy nie patrzy tam niecierpliwie na zegarek. Nikt nie odpuszcza, gdy stawka dotyczy wolności. To jest dziennikarstwo w stu procentach obywatelskie. Dziennikarstwo brzydzące się cenzurą, inwigilacją, kolaboracją. Jeśli więc mówimy także o sukcesach frekwencyjnych Katalończyków to bez wątpienia stoją za tym katalońscy dziennikarze. W Polsce możemy sobie o tym pomarzyć...

Po raz pierwszy - właśnie za sprawą katalońskiego Tsunami - tak licznie Katalończycy z południa udali się na (prowadzące do Perpignon) przejście graniczne z Hiszpanią jesienią 2019 r. Pojawiło się wówczas - gruntowane dziś - główne hasło tego katalońskiego przekazu:

HISZPANIO USIĄDŹ I ROZMAWIJAJ

Władze Tsunami Democratic wysyłały za pośrednictwem portali społecznościowych apele do swoich aktywistów o masowe udawanie się w okolice miejscowości La Jonquera, aby wesprzeć prowadzony na autostradzie prowadzącej do Perpignon protest. Wieść rozeszła się także lotem błyskawicy w Saint Laurent. Część moich sąsiadów wyciągało ze strychów zakurzone flagi Katalonii. Niektórzy, ci najmłodsi, jechali nawet na przejście graniczne, by zetrzeć się z policją. Wówczas to - opisywałem to już wcześniej w „Dzienniku” - policjanci francuscy, pałując Katalończyków, nie ustępowali w swej brutalności Hiszpanom. Francuskie: „wolność, równość i braterstwo” okazały się wówczas pustą retoryką. Pamiętam wysiłek, z jakim Josep Puigbert - szef La Casa de la Generalitata Perpinyà - wyciągał wtedy z francuskiego aresztu sporą gromadkę swoich rodaków. Blokada katalońska, która zatrzymała w pobliżu granicy ponad 1000 samochodów, pojawiła się kilka godzin po apelu szefa autonomicznego rządu Katalonii Quima Torry, który wezwał premiera Hiszpanii Pedra Sancheza do rozpoczęcia negocjacji w sprawie uregulowania sytuacji w regionie. Ta sytuacja była tymczasem bardzo napięta od 14 października, kiedy po wyroku hiszpańskiego Sądu Najwyższego, skazującym dziewięciu liderów separatystów na 9-13 lat więzienia, wybuchły nie tylko w Barcelonie, ale w większości wszystkich miast południowej Katalonii masowe protesty. Katalonia domagała się od hiszpańskiego premiera Sancheza wypuszczenia z więzienia skazanych liderów, a także przystąpienia do negocjacji w sprawie uregulowania kryzysu w Katalonii.

*

A teraz moment jest historyczny. Żeby spotkać swego prezydenta na wygnaniu Katalończycy jadą bowiem, nawet przez bardzo przez wiele godzin i przekraczają granicę z Francją - podobnie jak niegdyś ich dziadowie, w czasach generała Franco, wygnani ze swych domów w 1939 roku... Na tym samym dworcu w Perpignon wysypują się więc tysiące Katalończyków z południa kraju. O tym współczesnym, jednorazowym przemieszczeniu ludności milczą media głównego nurtu europejskiego. Tak samo jak konsekwentnie milczą media polskie. Wśród mediów europejskich jedynie aktywne są media francuskie łącznie z AFP, ale też opisywane tu historyczne wydarzenie odbywa się przecież właśnie na terytorium Francji, dokąd specjalnie z Belgii przybywa Puigdemont.

BBC nie daje żadnych przekazów z autostrady AP-7, gdzie na przejściach granicznych z Francją zablokowane są we własnych autach i autokarach - przez celowo utrudniających życie policjantów hiszpańskich - całe rodziny katalońskie próbujące przedrzeć się na terytorium Francji. W efekcie wielu z tych ludzi już po tych kilku godzinach policyjnej obstrukcji wraca zrezygnowanych do swych domów: do Barcelony, Tarragony czy Girony. W sumie przez policję zablokowanych jest wiele tysięcy osób. W ten oto sposób Hiszpania łamie samowolnie i jednostronnie podpisaną przez siebie umowę z Schengen o wolnym przepływie osób na terytorium zjednoczonej Europy. Najbardziej przebiegli Katalończycy wybierają albo kolej, albo jadą na około: przez Andorrę wprost na terytorium Francji.

*

Z dworca w Perpignon można pojechać w różnych kierunkach i tak też jeździłem do niedawna: w stronę Montpellier, Barcelony czy Girony. Kierunek Hiszpania-Francja wydaje się jednak dla Katalończyków dość logiczny i mocno osadzony w historii.

*

Od samego rana tamtej pamiętnej soboty widać całe grupy ludzi otulonych w katalońskie barwy i nie jest to bynajmniej jakiś mecz wyjazdowy FC Barcelona. Całe rodziny przybyłe z Katalonii Południowej gromadzą się w bulanżeriach i cukierniach witani uśmiechami Katalończyków Północnych, a także zupełnie postronnych przechodniów. Od samego początku wyczuwalna jest atmosfera wyjątkowego święta: pogodnego, pokojowego, przyjaznego. Jeśli miał bym to porównać z czymś co najlepiej pamiętam z własnego życia, to pewnie trochę z krakowskimi Błoniami przygotowującymi się do przyjazdu papieża, trochę z gdańskim Sierpniem 80 a trochę z kijowskim Majdanem - z samego początku tamtych wydarzeń, zanim jeszcze Janukowycz nie rozkazał strzelać do demonstrantów. Na placu gęstnieje wspólnota katalońska w sposób dość pluralistyczny, bo oprócz morza flag katalońskich widać także pojedyncze szkockie, flagi UE, a także kilka z półksiężycem. W miarę dopływających w ciągu dnia kolejnych przekazów medialnych tłum poszerza się więc o nie-Katalończyków. Ludzie stoją wszędzie, także na ogromnym wiadukcie za sceną. Wbrew wszelkim obawom nikt nikogo nie prowokuje, nie terroryzuje, do niczego nie zmusza. Jakże inaczej ta sama przecież Francja - w stosunku do wydarzeń z jesieni 2019 roku - reaguje dziś na to katalońskie wołanie o wolność.

Uderzający dla mnie jest pełen profesjonalizm organizatorów spotkania z Puigdemontem. Plac jest idealnie nagłośnieiony, więc każdy przybyły słyszy nawet oddech swoich liderów. W tłumie działają dwie grupy wolontariuszy ubranych w różnokolorowe kamizelki. Pośród tych dwustu tysięcy przybyłych zwinnie się poruszają patrole medyczno-pielęgniarskie i służby roznoszące wodę mineralną. Nikt nikogo nie popycha. Policja i żandarmeria francuska dyskretnie kierują ruchem i są prawie niewidoczne dla postronnego obserwatora. Na ogromnym telebimie transmitowany jest non-stop przekaz z wydarzenia oraz filmy i klipy muzyczne. Sześciogodzinny spektakl trzyma w napięciu przez cały czas. Nie nuży. Jednym głosem, wydobytym z ponad 200 tysięcy gardeł, głośno zapowiedziano w stolicy Katalonii Północnej „ostateczną walkę o niepodległość”. Bodaj najwymowniejszy moment to - identycznie jak podczas wielkiego wołania w Gdańsku przeciwko przemocy i niena-

wiści po śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza „The sound of silence” autorstwa Simon and Garfunkel, w wykonaniu Disturbed. Tłum Katalończyków - tak samo jak w Gdańsku - zastął w wymownym milczeniu, oplakując swoich więźniów politycznych. Wycie i gwizdy pojawiły się tylko na moment, gdy na wielkim telebimie nad sceną pokazało sylwetkę urzędującego króla Hiszpanii. Jeszcze większe emocje były tu, gdy zabrzmiała „Estaca”, którego wierną kopię stworzył w Polsce nasz Jacek Kaczmarski. Do dwustutysięcznego tłumu przemówił między innymi Lluís Llach i zaśpiewał a`capella. W manifestacji oprócz Carlesa Puigdemonta, i innych uchodźców politycznych wziął obecny premier Katalonii Quim Torra.

Kilkakrotnie też wzywano rząd Hiszpanii do uwolnienia dziewięciu katalońskich polityków skazanych 14 października 2019 r. na 9-13 lat więzienia za organizację referendum niepodległościowego z 2017 r.

*

Ludzie długo nie mogli się rozejść. I z pewnym widocznym ociąganiem wsiadali na swoje motocykle, do swych aut, autokarów i pociągów. A dworzec w Perpignon rzeczywiście wyglądał tak, jakby był centrum wszechświata. Zupełnie jak w dziele malarskim Salvadora Dali.

*

Bodaj najtrafniej i najlapidarniej sytuację tę na gorąco skomentowała na własnym profilu FB prof. Monika Bolek z Uniwersytetu Łódzkiego: *Niestety wiadomości ze świata nie uwzględniają faktu, że w Północnej Katalonii, leżącej w obrębie Francji, trwa zjazd zwolenników niepodległości. 200 000 Katalończyków, głównie mieszkających w Południowej Katalonii, która jest obecnie częścią Hiszpanii, przyjechało na spotkanie z politykami mieszkającymi na uchodźstwie w Belgii i Szkocji. Puigdemont, Ponsati i Comin są europarlamentarzystami*



Autokary katalońskie zatrzymane na hiszpańsko-francuskim przejściu granicznym, 29 lutego 2020 r., fot. archiwum

i chroni ich immunitet, ale Hiszpania ignoruje ten fakt, dlatego nie mogą wrócić do domu. Francja okazała się strażnikiem demokracji.

Zezwalając na tę masową manifestację południowych Katalończyków w stolicy Katalonii Północnej władze francuskie sporo zaryzykowały: przede wszystkim zaryzykowały złość Hiszpanów ścigających listem gończym Puigdemonta i wmawiających wolnemu światu, że Katalończycy to terroryści. Być może zaryzykowali także Francuzi niepokoje społeczne w mieście Perpignon oraz spotęgowanie katalońskiego separatyzmu wobec Europy. Wszystkie te obawy zostały rozwiane w Perpignon 29 lutego 2020, pokazując, że Katalończycy to nie tylko naród, ale także świetnie zorganizowane, pluralistyczne społeczeństwo.

A w mediach francuskich przypomniano niejako przy okazji, że rząd hiszpański zatrudnił właśnie aż siedem zawodowych agencji PR, by poprawiać swoją mocno nadszarpniętą ostatnio reputację Hiszpanii w świecie.

Perpignon, Saint Laurent De Cerdans, w marcu 2019 r.

Wacław Bielecki

Zapiski melomana

PROFESOR NA SCENIE

Gdańsk, piątek 22 listopada 2019 r.



Prof. Finn Svit z Danii

W Akademii Muzycznej w Gdańsku często odbywają się zajęcia dla studentów z udziałem muzyków zaproszonych z zagranicy. Pod koniec listopada 2019 r. przez trzy dni kurs mistrzowski prowadził gitarzysta klasyczny prof. Finn Svit z Danii. Były to tzw. lekcje mi-

strzowskie ze studentami i uczniami trójmiejskich szkół muzycznych oraz wykład na temat muzyki gitarowej w Danii. Niepisanym zwyczajem jest, że taki gość występuje z recitalem. Tak było i tym razem. Koncert odbył się w nietypowym pomieszczeniu – w sali Senatu Akademii Muzycznej, gdzie na jednej ze ścian wiszą portrety wszystkich rektorów tej uczelni. Ta kameralna sala jest wręcz idealna ze względów akustycznych na koncert gitarowy, bo jak wiadomo, nie jest to instrument obdarzony zbyt nośnym dźwiękiem.

Zapowiadająca koncert dr Monika Dżuła-Radkiewicz zdradziła kulisy zaproszenia profesora do Gdańska. Do zapoznania się z nim doszło rok wcześniej w Bremie na spotkaniach młodych muzyków z Polski i z Niemiec. Tam prof. Svit był wykładowcą. Po jego lekcjach wszyscy wychodzili „w wielkiej euforii” i stąd wzięło się zaproszenie wykładowcy do Gdańska.

Recital gitarowy trwał godzinę i składał się z kilkunastu utworów skomponowanych przez siedmiu kompozytorów: Heitora Villa-Lobosa, Mauro Giulianiego, Francisco Tarregę, Manuela de Fallę, Reginalda Brindela, Anatolya Ohlanskyego i Manuela Ponce'a. Większość z nich to znani twórcy muzyki na gitarę klasyczną. Profesor Svit wybrał sporo gitarowych hitów, a zaczął od przesławnych *Preludiów* Heitora Villa-Lobosa. Na początku zagrał znane wszystkim gitarzystom *Preludium e-moll*, no i zaczęło się. W pewnym miejscu gitarzysta pomylił się. Nie dał po sobie nic poznać, tylko od razu powtórzył nieszczęsną frazę i grał dalej. To wydarzenie wręcz rozbawiło mnie. Dlaczego? Otóż poprzedniego dnia słuchałem na serwisie internetowym YouTube nagrania tego właśnie preludium w wykonaniu prof. Svita zarejestrowanego podczas Międzynarodowego Festiwalu Gitarowego w Tajlandii w 2017 r. Wtedy, czyli dwa lata temu, profesor pomylił się dokładnie w tym samym miejscu. No cóż, *errare humanum est*, pomyślałem. Niestety, pomyłki na tym recitalu zdarzały się bardzo często, właściwie nie było utworu w którym gitarzysta by się nie pomylił. Oprócz tego, często jego palce nie dawały sobie rady z szybkimi biegnikami. Ciężko się słucha znanych utworów, np. *Kaprysu arabskiego* F. Tarregi, gdzie zdarzają się proste błędy polegające na złym zagraniu melodii, przerywaniu jej i powtarzaniu. Utwory klasyczne i romantyczne wykonywane były jako tako, ale te bardziej współczesne, np. M. de Falli czy R. Brindela, zostały zagrane mało stylowo, bez większego zrozumienia.

A jak się czuł sam gitarzysta? Widać, że nie przejmował się licznymi pomyłkami i był z siebie zadowolony. Z miłym uśmiechem przyjął na zakończenie recitalu kwiatek i zagrał na bis sentymentalnego walca Ulrika Neumanna. Jego zachowanie przypomniało mi postać pewnej amerykańskiej śpiewaczki, sopranistki Florence Foster Jenkins, nazywanej „najgorszą śpiewaczką świata”. Pomimo całkowitego braku talentu cieszyła się dużą popularnością, a jej koncerty miały zawsze pełną widownię. Dlaczego? Bo okropnie fałszując, dostarczała widzom niezłej rozrywki.

Wychodząc z recitalu pomyślałem sobie, że prof. Finn Svit pewnie jest świetnym nauczycielem gry na gitarze, ale wirtuozem tego instrumentu nie jest, i pewnie lepiej byłoby, gdyby zajął się pedagogiką muzyczną, a recitale odstąpił innym.

SUITY ORKIESTROWE GÓRA

Gdańsk, piątek 6 grudnia 2019 r.



Koncertem dyrygował bułgarski mistrz batuty - Vladimir Kiradjev

Ten zwykły koncert w sali Polskiej Filharmonii Bałtyckiej na Ołowiance zakończył się dla mnie inaczej niż zwykle. Zazwyczaj koncert kojarzy się bowiem z nazwiskiem solisty. Był nim urodzony w Ałma-Acie skrzypek Jerżan Kułybajew (Erzhan Kulibaev), kształcony w byłej stolicy Kazachstanu, Moskwie, Nowosybirsku, ale także na Zachodzie Europy - w Madrycie u słynnego prof. Zachara Brona, i w Salzburgu. Jest on zdobywcą wielu nagród na międzynarodowych konkursach, m. in. w Lizbonie, Berlinie, Buenos Aires. W Polsce pamiętamy go jako uczestnika Konkursu Wieniawskiego, gdzie w 2011 r. otrzymał wyróżnienie.

Na koncercie w Gdańsku zaprezentował nienaganną technikę, chociaż nie poraził mnie potęgą brzmienia instrumentu, a grał na Stradivariusie „Rode” z 1722 r. Dlaczego artysta mnie nie zachwycił? To sprawa repertuaru. W czasie koncertu Kułybajew grał przed przerwą „Poemat” na skrzypce z orkiestrą francuskiego kompozytora Ernesta Chaussona, a bezpośrednio po przerwie „Koncert skrzypcowy a-moll” Aleksandra Głazunowa. Oba te utwory należą do dzieł neoromantycznych i odznaczają się, moim zdaniem nadmiernym, liryzmem, nostalgią i bezgranicznym smutkiem. Szczególnie dotyczy to „Poematu” Chaussona, który na początku ma już coś z muzyki impresjonistycznej.

Chausson jest mało znanym kompozytorem, zmarłym tragicznie w bardzo młodym wieku, dożył zaledwie 44 lat. W czasie wakacji spędzanych w miasteczku Limay nad Sekwaną pojechał rowerem na stację kolejową po przybywających do niego kolegów. Zjeżdżając szybko z górki uderzył w ceglana ścianę i tak zakończył żywot. Zauważmy, że był to śmiertelny wypadek rowerowy w 1899 roku!

Natomiast koncert Głazunowa nabiera innych odcieni dopiero po solowej kadencji: skrzypce zaczynają ciekawy dialog z orkiestrą, a muzyka ożywia się, staje się bardziej pogodna. Nawet utwór zagrany przez solistę na bis, także utrzymany był w nostalgicznym nastroju. Za dużo, moim zdaniem, było tego smutku i melancholii, aż dziw bierze, że muzyk nie zagrał czegoś pogodniejszego. Czyżby miał skłonność do takich utworów? Na scenie zachowywał się też niekonwencjonalnie, stał bowiem tyłem do widowni, a przodem do orkiestry. Moim zdaniem Kułybajewowi brakuje charyzmy, jest zbyt spokojny i melancholijny, a taki skrzypek nie porwie publiczności.

W tej sytuacji z tego koncertu zapamiętam dwie suitę zagrane na rozpoczęcie i zakończenie, bo były to po prostu utwory wspaniałe. Najpierw usłyszeliśmy „Suite «La boutique fantasque»” z 1918 r. włoskiego kompozytora Ottorino Respighiego. To także mało znany twórca, ale we Włoszech jest on uznany za największego kompozytora muzyki symfonicznej XIX wieku, bo jak wiadomo Italia to przede wszystkim ojczyzna muzyki operowej. Respighi kształcił się między innymi u Mikołaja Rimskiego-Korsakowa w Petersburgu, a ten uznany jest za niedoścignętego mistrza instrumentacji: któż nie pamięta jego „Szeherazady”. Respighi także został mistrzem instrumentacji. Słysząc to było w muzyce z suitę do baletu „La boutique fantasque” składającej się z ośmiu części. Jest to opracowanie na orkiestrę symfoniczną utworów fortepianowych słynnego kompozytora oper Gioacchino Rossiniego ze zbioru nazwanego „Grzechami starości”. Najbardziej znaną miniaturą z tego baletu jest druga w kolei, żywiołowa „Tarantella”. Słuchając suitę zachwycać się można bogactwem i pomysłowością instrumentacji, wykorzystaniem grup instrumentów oraz barw instrumentów solowych. Jest to po prostu przepiękny utwór.

Podobnie było z zagrana na zakończenie „I Suitą symfoniczną z baletu «Kopciuszek»” Sergiusza Prokofiewa z 1946 r., także ucznia Mikołaja Rimskiego-Korsakowa w zakresie orkiestracji. „Kopciuszek” - balet dla dzieci, jest mniej znany niż „Romeo i Julia”, nie mówiąc już o dziele życia Prokofiewa „Symfonii klasycznej”. Kompozytor ułożył z całości baletu aż trzy suitę. Ta pierwsza, którą wykonali gdańscy symfonicy składa się z siedmiu części, a najbardziej w ucho wpada dziwnie przetworzony przez kompozytora „Walc Kopciuszka”. To muzyka napisana w prokofiewowskim stylu, czyli ni to zachowująca system dur-moll, czy co chwila odchodząca do niego w stronę ostrych dysonansów. W swoim czasie nazywano Prokofiewa muzycznym futurystą. Instrumentacja jest wspaniała. Takie utwór daje możliwość pokazania się wszystkim grupom instrumentów wchodzącym w skład orkiestry symfonicznej oraz wielu pojedynczym instrumentom grających partie solo. Trzeba przyznać, że gdańscy muzycy świetnie zaprezentowali swój kunszt i zarówno w partiach zbiorowych, jak i solówkach wypadli bardzo dobrze. Mnie szczególnie zachwycił artysta grający na największym instrumencie dętym blaszanym, czyli tubie. Znakomicie też zaprezentowali się muzycy grający na: klarncie, piccolo, harfie, oboju, trąbkach, perkusji i inni.

Wychodząc z koncertu doszedłem do wniosku, który przedstawiłem na początku tej relacji: suity orkiestrowe były górą nad utworami skrzypcowymi.

CHIŃCZYCY ŚPIEWAJĄ MONIUSZKĘ

Gdańsk, środa 11 grudnia 2019 r.

W Sali Mieszczkańskiej Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku odbył się koncert z pieśniami Stanisława Moniuszki. Wykonawcami byli studenci Akademii Muzycznej w Gdańsku z klasy prof. Jadwigi Rappé, która jest także nauczycielką śpiewu na Uniwersytecie Muzycznym F. Chopina w Warszawie. Zanim zdam relację z koncertu, wypada przypomnieć kilka informacji o prof. Jadwidze Rappé, bo nie jest to taka sobie, zwykła pedagog wokalistyki.

Pani profesor to wybitna śpiewaczka obdarzona głębokim głosem altowym. W wielu biogramach można znaleźć stwierdzenie, że jest śpiewaczką oratoryjno-kantatową, wykonującą utwory z różnych epok muzycznych, od baroku do współczesności. Dysponuje wielkim repertuarem pieśniarskim, wystarczy wspomnieć, że dyskografia artystki obejmuje aż 52 płyty kompaktowe, w tym wydaną przez wytwórnię DUX w 2010 r. płytę z szesnastoma pieśniami S. Moniuszki.

Grudniowy koncert był ostatnim z serii obejmującej Rok Moniuszkowski. Pierwszy koncert studentów z klasy prof. J. Rappé odbył się w tej samej sali na wiosnę i był poświęcony pieśniom miłosnym skomponowanym przez Moniuszkę. Tym razem, na zakończenie Roku Moniuszkowskiego, tematem koncertu stał się cytat zaczerpnięty z pierwszej wykonywanej pieśni, kołysanki zatytułowanej „Do dziecięcia” nieznanego autora: „...że ziemski raj, to ojca dach...”. Poeta mówi ustami małego dziecka, że dom rodzinny jest dla niego bezpiecznym miejscem, niemal rajem, chociaż życie często weryfikuje ten pogląd.

Na koncert złożyło się 26 pieśni o życiu człowieka wybranych z około trzystu, jakie napisał Moniuszko. Zostały one ułożone w porządku chronologicznym obejmującym siedem etapów: dzieciństwo - śmierć i sieroctwo - miłość do matki i domu rodzinnego - zaloty, kokieteria, porady przed ożenkiem - zamążpójście - dojrzałość - starość i śmierć. W każdej grupie było od 3 do 6 pieśni. Pani prof. J. Rappé wybrała pieśni nieznanne, ale nie ustępujących pod względem wokalnno-muzycznym, tym kilkunastu powszechnie znanym. Przyznam się, że ja także nie znałem większości tych utworów, i to było głównym powodem wybrania się na koncert do Gdańska.

Wykonawcami pieśni było dziesięcioro studentów z klasy prof. J. Rappé: czwórka Polaków (sopran, dwa tenory i baryton), Białorusinka (sopran) oraz 5 Chińczyków (dwa soprany, mezzosopran i dwa barytony). Jak widać, lekko przeważali młodzi artyści z Dalekiego Wschodu. Bardzo byłem ciekawy, jak poradzą sobie z językiem polskim, a z tym było różnie. Wiadomo, że wśród przedmiotów na Wydziale Wokalno-Aktorskim są m.in. dykcja z fonetyką oraz technika i wyrazistość mówienia, jednak niektórych chińskich śpiewaków trudno było zrozumieć. Szeleszcząca polska mowa nie jest dla nich łatwa, ale to przecież jeszcze studenci i mają jeszcze trochę czasu, aby opanowywać, nie tylko polski, repertuar śpiewaczy. Swoją drogą, ciekawe byłoby usłyszeć Moniuszkę w języku chińskim.

Spośród pieśni, które usłyszałem tego wieczora, szczególnie utkwiły mi w pamięci: żywy krakowiak ze wspaniałym akompaniamentem zaczynający się od słów „Tu mi słońce zeszło” (wykonawca Yu Yang, baryton), kołysanka „Do dziecięcia” (Marta Studzińska, sopran), nostalgiczna pieśń „Matko już cię nie ma” (Przemysław Radziszewski, tenor), humorystyczna „Rada” (Paweł Bucki, baryton) oraz utwór z dramatycznym pytaniem „Czy powróci?” (Shan Kun sopran). Na zakończenie z wielką przyjemnością wysłuchałem znanego hitu, ballady „Dziad i baba” do słów J. I. Kraszewskiego w nietypowym wykonaniu przez dwoje śpiewaków: Pawła Buckiego, barytona i Irinę Miedwiediewą, sopranistkę.

Koncert przebiegał w żywym tempie i zmiennych nastrojach zależnych od treści i muzyki wykonywanych pieśni. Trzeba tu zauważyć, że nie tylko linia melodyczna pieśni jest bardzo urozmaicona, ale także akompaniament, dostosowany nie tylko do melodii ale i treści utworów. Widać i słychać w tym wszystkim niesamowitą łatwość tworzenia Moniuszki. Młodych artystów zapowiadała sama pani prof. Jadwiga Rappé, a czyniła to z wielką erudycją. Na fortepianie akompaniowała studentom z ogromnym wyczuciem, pewnością i wprawą Aleksandra Mozgiel.

Koncert był bardzo udany, a jedynym cieniem na nim kładzie się słaba frekwencja publiczności. Niewielu gdańszczan przybyło do Ratusza Staromiejskiego, aby posłuchać nieznanych pieśni Moniuszki...

POMORSKI JAZZ



Na scenie improwizowali czterej saksofoniści, od lewej: Adam Wendt, Henryk Miśkiewicz, Przemek Dyakowski, Wojciech Staroniewicz

Gdańsk, sobota 28 grudnia 2019 r.

Na zakończenie roku byłem z moją żoną Irenką w Centrum św. Jana na koncercie zatytułowanym: „Pomorski Jazz - podsumowanie roku”. Wystąpiło pięć zespołów. Wszystkie z humorem zapowiadał nestor gdańskich jazzmanów Przemek Dyakowski.

Koncert zaczął „Dominik Bukowski Quartet” z muzyką ze swojej ostatniej płyty pt. „Transatlantyk”. Lider zespołu grał na wibrafonie oraz na mało znanym instrumencie szarpanym o afrykańskich korzeniach nazywającym się: zanza. Bardzo często partie wibrafonu współbrzmiały z trąbką znajdująca się w rękach świetnego trębacza Emila Miszka. Niektóre karkołomne frazy muzycy wykonywali z godną podziwu precyzją. Występ zespołu trwał prawie trzy kwadranse i był jednak nieco nużący, bo ciągle dominował wibrafon, co po jakimś czasie spowodowało u mnie stan znużenia. Natomiast mojej żonie ten zespół spodobał się najbardziej, albowiem odebrała tę muzykę jako relaksującą.

Znany nam z wielu koncertów w Waplewie akordeonista Cezary Paciorek zmienił i ożywił nastrój wieczoru przedstawiając wybrane piosenki z płyty „Kaszëbë according to Cezary Paciorek” (2019). Skład zespołu w stosunku do tego, który nagrał płytę został ograniczony tylko do dwóch instrumentów: akordeonu lub fortepianu oraz kontrabasów na którym zagrał Piotr Lemańczyk. Solistką śpiewającą ludowe piosenki kaszubskie była Paulina Grochowska pochodząca z Lublina. Wszystko wypadło dość ciekawie w jazzowych aranżacjach, tym bardziej, że usłyszeliśmy bardzo znane pieśni kaszubskie, np. „Kaszëbscë jezora”, czy słynną „Wele wele wetkę”. Solistka „dobarwiła”, jak to określił C. Paciorek, brzmienie zespołu, szkoda tylko, że prostych piosenek nie zaśpiewała z pamięci. Podobały mi się jej próbki wokalne improwizacji.

Kolejny zespół „Tomasz Chyła Quintet” przedstawił dwa utwory z płyty z płyty „Circlesongs”. Niby utwory były tylko dwa, ale konferansjer ostrzegł, że będą trwały 40 minut. Lider kwintetu jest jazzowym skrzypkiem, więc w prezentowanych utworach dominowały skrzypce. Muzycy różnicowali dynamikę wykonywanych melodii, ale nad momentami kontemplacyjnymi, dominowały fragmenty z bardzo głośną muzyką, trudną na dłuższą metę do uważnego słuchania i przeżywania.

W zupełnie innym stylu zagrał kwartet Adama Wendta, który zaprosił do udziału w koncercie znanego saksofonistę altowego Henryka Miśkiewicza. Szef grający na saksofonie tenorowym żartobliwie określił styl swojego zespołu jako „rythm and jazz”. Niewątpliwie usłyszeliśmy świetny zespół. Już na początku znakomitą solówką popisał się perkusista Marcin Jahr. Można podziwiać tego muzyka za to, jak potrafi się wczuć w przebieg gry i dostosowywać rytm wszystkich swoich instrumentów perkusyjnych do partii granych solo czy przez zespół. Na stosunkowo rzadko słyszonym instrumencie – organach Hammonda znakomicie akompaniował i improwizował Artur Jurek. Opisanie tego, co na saksofonach wyczyniali Adam Wendt i Henryk Miśkiewicz przekracza możliwości relacjonującego to wydarzenie. Ich solówkami i fragmentami granymi razem można się było tylko delektować i zachwycać.

Na koniec wieczoru wystąpił Przemek Dyakowski z innym saksofonistą, Wojciechem Staroniewiczem. Nie jest tajemnicą, że nestor gdańskich jazzmanów ma 85 lat, a gra dobrze wyczuwając rytm i świetnie improwizując. Pomagali mu w tym członkowie kwartetu Adama Wendta oraz Henryk Miśkiewicz. I tak koncert powoli dobiegł końca. Zaczął się

o godzinie 18, a zakończył po czterech godzinach. Był to doprawdy maraton muzyczny. Publiczność dopisała pod względem frekwencji oraz w towarzyszeniu i dopingowaniu instrumentalistom. Po solówka rozlegały się oklaski, a na zakończenie występu artyści otrzymywali wielkie brawa.

Tym koncertem zakończył się dla mnie muzyczny rok 2019, zaczął się w Operze Bałtyckiej od operetki „Kandyd” Leonarda Bernsteina, a zakończył na jazzowo. Oby tak dalej.

PREMIERA „DON BUCEFALO” W OPERZE BAŁTYCKIEJ



Artyści po zakończeniu spektaklu, w środku dyrygent Massimiliano Caldi, po jego prawej ręce - Artur Janda (Don Bucefalo), po lewej - Ewelina Osowska (Rosa)

Gdańsk, sobota 1 lutego 2020 r.

Wyjazd do opery czy filharmonii jest przedsięwzięciem, które zawsze wymaga od melomana na prowincji sporego samozaparcia, albowiem do najbliższego teatru operowego w Gdańsku mam 80 km, czyli godzinę z kwadransiem jazdy samochodem. Poza tym, deszczowa pogoda z zimnym wiatrem także nie zachęcała do wyjazdu. Jak zwykle, i tym razem przeważała zwykła ciekawość, no bo: co to jest za opera ten *Don Bucefalo*, skoro nie ma go w przewodnikach operowych Józefa Kańskiego i Piotra Kamińskiego? O włoskim kompozytorze Antonio Cagnonim, twórcy tego dzieła, znalazłem w „Encyklopedii Muzycznej PWM” zaledwie kilkanaście drobnych wierszy.

Jak magnes pociągało mnie do wyjazdu nazwisko dyrygenta - Massimiliano Caldiego, którego miałem okazję widzieć i słyszeć kilka razy, ostatnio, przed dwoma laty podczas Festiwalu im. Jerzego Waldorfa w Radziejowicach. To znakomity muzyk, Włoch z pochodzenia, który polubił polską muzykę i popularyzuje ją na świecie, a w Polsce przypomina zapomniane włoskie dzieła. To jemu zawdzięczamy wystawienie opery całkowicie nieznanego kompozytora o polskich korzeniach i polskim nazwisku: Józefa (Giuseppe) Michała

Poniatowskiego, księcia de Monterotondo herbu Ciołek. To właśnie Massimiliano Caldi doprowadził do premiery *Piotra Medyceusza (Pierre de Medicis)*, najbardziej znanej opery księcia wystawionej po raz pierwszy w Paryżu w 1860 r. Obecnie nie udało się u nas wykonać tego dzieła na scenie operowej, a jedynie w wersji koncertowej, które jest dostępne w postaci nagrania na płycie CD. Nie ma tu miejsca, na szczegóły, ale nie mogę nie wspomnieć, że Józef Poniatowski skomponował kilkanaście oper i wystawiał je w Mediolanie, Rzymie, Wenecji, Londynie, i w Paryżu, co nigdy nie udało się naszemu Stanisławowi Moniuszce.

Tym razem Massimiliano Caldi doprowadził do wystawienia w Operze Bałtyckiej zapomnianej opery Antonio Cagnioniego pt. *Don Bucefalo*. Maestro dyrygował tą operą w 2008 roku na Festival della Valle d'Itria, letnim festiwalu operowym, który odbywa się w miejscowości Martina Franca na południu Włoch, niedaleko Bari.

Gdańska premiera opery odbyła się 31 stycznia, ja byłem na drugiej premierze w sobotę 1 lutego. I nie żałuję, bo to przepiękna muzyka. Gdyby ktoś mnie zapytał, co mi przypomina, to odpowiedziałbym: jest to bardzo udana kompilacja muzycznych stylów operowych najwybitniejszych kompozytorów włoskich z XIX w.: Rossiniego, Belliniego, Donizettiego i Verdiego. Z historii powstania i wystawiania *Don Bucefalo* wiemy, że opera została skomponowana przez Antonio Cagnioniego kiedy był studentem w Mediolanie i miał zaledwie 19 lat.

Opera składa się z trzech aktów, w których poznajemy historię starego kompozytora – Don Bucefalo, postanawiającego napisać operę, ostatnie dzieło u kresu życia. Główny bohater przebywa w luksusowej klinice i aby wykonać operę musi zaangażować do niej pracujące tam osoby. Są oni amatorami w dziedzinie sztuki śpiewu i musi ich wszystkiego uczyć od podstaw. Nawiasem mówiąc, sceny z nauką śpiewu przypominają słynną lekcję śpiewu w *Cyruliku Sewilskim* Rossiniego. Pośród pracowników kliniki pracuje piękna Rosa, której mąż zaginął, a o jej względy ubiegają się Don Marco – właściciel kliniki oraz hrabia Belprato. Jest też Carlino, mąż Rosy, który dla niepoznaki przebiera się w strój komandosa i chce sprawdzić, czy Rosa jeszcze czeka na niego. Różne spięcia i nieporozumienia kończą się szczęśliwie, jak to jest w operze komicznej.

Tytułową rolę w gdańskim spektaklu śpiewa Artur Janda, bas-baryton, i czyni to przepięknie pod względem głosowym i aktorskim. W operze jest wiele arii i scen zbiorowych z udziałem Don Bucefalo, ale mnie szczególnie utkwiła scena z początku drugiego aktu, gdzie śpiewak doskonale przedstawia problemy z brakiem natchnienia twórczego, a towarzyszy mu w tym śliczny aniołek stróż (rola baletowa).

Opera Cagnioniego wymaga zaangażowania dwóch sopranów koloraturowych. Rola Rosy w drugiej premierze śpiewała młoda sopranistka Ewelina Osowska, która w maju ubiegłego roku otrzymała Nagrodę Specjalną dla najbardziej obiecującego sopranu koloraturowego na XVII Konkursie Sztuki Wokalnej im. Ady Sari. Ma bardzo ładny, jasny głos i przepięknie oraz z dużą biegłością wykonuje koloratury, może tylko w najwyższych rejestrach jej głos brzmi nieco za ostro. Jest też bardzo sprawna i wdzięczna aktorsko. Można powiedzieć, że nie dość, że ładnie śpiewa, to jeszcze jest ładna, co nie zawsze widzimy na scenach operowych. W pozostałych rolach bardzo spodobał mi się Aleksander Kunach, jako hrabia Belprato oraz Łukasz Motkowicz znakomity komicznie w roli Don Marca.

Z wielką przyjemnością słuchałem też orkiestry: jakaż to piękna i lekka muzyka wydobywała się z kanału orkiestrowego. Ciągłe zmiany tempa, zwolnienia, przyspieszenia, zawieszenia, gwałtowne lub bardzo ciche frazy, znakomite towarzyszenie solistom i chórowi. Tak wspaniałego wykonania nie dało by się usłyszeć bez ręki i batuty dyrygenta Massimiliano Caldiego. To co pokazał maestro, to absolutna finezja, od pierwszego taktu słychać było, że doskonale czuje włoską muzykę.

W gdańskim wystawieniu *Don Bucefalo* na uwagę zasługują też inni realizatorzy. Reżyser Paweł Szkotak przeniósł częściowo akcję opery do czasów współczesnych. Zasadniczo jestem przeciwnikiem takich zabiegów, ale tym razem to mi nie przeszkadzało. Dlaczego? Pewnie dlatego, że nie mam żadnych odniesień do wcześniejszych wykonań tej opery, po prostu nie ma jej do czego porównywać. Ładnie została zaprojektowana scenografia przez Damiana Styrnę oraz projekcje multimedialne autorstwa Eliasza Styrny. Śliczne i bogate są kostiumy solistów i chórzystów opracowane przez Annę Chadaj, jednym słowem, jest na co patrzeć.

Wracając do muzyki, to wręcz zachwycała mnie scena zbiorowa kończąca II akt zaczynająca się od słów „Per colpo di una femmina” (Z powodu kobiety). Ten trwający zaledwie trzy minuty fragment zaczyna Don Bucefalo, a potem przyłącza się do niego jeszcze sześciu solistów, jest ich więc siedmioro, czyli septet oraz chór i orkiestra. To muzyka wręcz niebiańska. Maestro Massimiliano Caldi w drukowanym programie pyta: „Czy to nie brzmi zupełnie jak znany kwartet Bello figli dell'amore z „Rigoletta” Verdiego, które powstało później...?”

Jak już mowa o drukowanym programie, to trzeba przyznać, że został on wydany bardzo starannie i gustownie, ale zamiast tekstów tłumaczonych na język angielski, które zajmują połowę objętości książeczki wołałbym, aby wzorem Opery Poznańskiej, zostało zamieszczone całe libretto opery w języku włoskim z tłumaczeniem na język polski. Angielską wersję programu można by wydać jako osobną książeczkę. Ciekawe, czy doczekamy się nagrania Don Bucefalo na płycie CD a może na DVD?

KONCERT NA 100-LECIA ZAŚLUBIN POLSKI Z MORZEM

Państwowa Filharmonia Bałtycka w Gdańsku, niedziela 9 lutego 2020 r.

Jak się mieszka na prowincji, to o wejściówki na taki koncert z udziałem vipów i pomorskich samorządowców nie jest łatwo, ale udało się. Koncert zaczął się od dwóch hymnów - Narodowego i Kaszubskiego z muzyką F. Nowowiejskiego, śpiewanych przez dwa połączone chóry - Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego z towarzyszeniem Orkiestry Symfonicznej Polskiej Filharmonii Bałtyckiej. Następnie wysłuchaliśmy krótkiego wystąpienia Marszałka Sejmiku Mieczysława Struka przypominającego zdarzenie sprzed stu lat, kiedy to w Pucku generał Józef Haller „zaślubił Polskę z morzem”, wrzucając do wody złoty pierścionek.

Potem zaczął się właściwy koncert w czasie którego mogliśmy wysłuchać czterech utworów symfonicznych o tematyce morskiej przedzielonych patriotycznym kazaniem księdza



Leszek Możdżer, Agnieszka Duczmal i orkiestra Polskiej Filharmonii Bałtyckiej na koncercie z okazji 100 rocznicy zaślubin Polski z morzem, fot. L. Sarnowski

ppłk Józefa Wryczy z 1920 roku, odczytany przez aktora Mirosława Bakę. Dyrygowała słynna maestra Agnieszka Duczmal z Poznania.

Najpierw zabrzmiała uwertura do opery „Legenda Bałtyku” Feliksa Nowowiejskiego. Dzieło to było wystawione po raz pierwszy w Poznaniu w 1924 r. i tak się spodobało, że w czasie roku było grane niemal we wszystkich polskich teatrach operowych około 50 razy. Niestety, po wojnie bardzo rzadko pojawiało się na scenach. Uwertura zaczyna się i kończy patetycznym motywem przewodnim, potem smyczki i inne grupy instrumentów podejmują melodię arii Bogny pt. *Kocham Bałtyku wody*. Punktem kulminacyjnym uwertury jest przepiękny obraz muzyczny burzy morskiej. Dzieło jest napisane w konwencji neoromantycznej.

Po nim usłyszeliśmy impresjonistyczny szkic symfoniczny *La mer* Claude Debuss’ego. Kompozytor stara się środkami muzycznymi oddać wrażenia zawarte w tytułach trzech częściach dzieła: *Od świtu do południa na morzu*, *Gra fal*, *Rozmowa wiatru z morzem*. To jest zupełnie inna muzyka niż u Nowowiejskiego i całkowicie odmienne potraktowanie orkiestry i wydobywanie z niej i poszczególnych instrumentów charakterystycznych barw i odcieni dźwięków. Czy słuchacz, który by nie znał tytułu utworu i jego części, jest w stanie domyślić się lub odczuć, że chodzi tutaj o morze? Bardzo wątpię.

Po przerwie orkiestra zagrała fantazję *Morze* rosyjskiego kompozytora Aleksandra Głazunowa. Ten muzyk opisał swoje dzieło tak: najpierw ma to być muzyczny obraz mężczy-

zny snującego refleksje nad brzegiem spokojnego morza, potem nadchodzi gwałtowna burza, a w końcu uspokojenie - znowu pojawia się słońce. Prowadzący koncert konferansjer Konrad Mielnik nieco krytycznie odniósł się do tego utworu nazywając je „uczniowskim”, jako że napisanym przez Głazunowa w czasie studiów. Moim zdaniem wiek kompozytora nie ma znaczenia, a utworu tego słuchałem z dużą przyjemnością, bo po prostu lubię romantyczną melodykę, harmonię i specyficzne użycie instrumentów, np. dużą rolę miał wielki bęben (tołumbas) podczas muzycznego opisu burzy.

Wszyscy słuchacze z napięciem czekali na ostatni utwór tego wieczoru, kompozycję Leszka Możdżera pt. *Balticetta*, specjalnie zamówioną na tę uroczystość. W drukowanym programie koncertu mogliśmy przeczytać, jakie założenia miał kompozytor przystępując do napisania dzieła. Pisze on, że *Balticetta* jest to „utwór obrazujący moją fascynację tajemnicą wody” oraz że „inspiracją do powstania tej partytury było *La Mer* - orkiestrowe dzieło Claude'a Debussy'ego”, ale: „postanowiłem zaprzeczyć idei kompozytora, który wyraźnie mówił, że muzyka nie powinna naśladować przyrody”. Jak te założenia udało się zrealizować w praktyce?

Jest to trwający ok. 18 minut na fortepian z orkiestrą symfoniczną, składający się według kompozytora z trzech części: *Intrada*, *Walc*, *Chorał*. W kompozycji tej dominuje fortepian. Chociaż pianista miał przed sobą nuty, to przez cały czas improwizował w stylu jazzowym wykonując bardzo szybkie przebiegi melodyczne, a rzadziej wykorzystując akordy. Fortepian był do tego koncertu specyficznie przygotowany, czyli spreparowany, ze zdjętą klapą i obstawiony mikrofonami. Jego dźwięk czasem przypominał barwę ksylofonu z którym pianista grał jednocześnie w kilku fragmentach. Trzy części utworu były trudne do wychwycenia, bo kolejne zaczynały się bez żadnej przerwy, czyli jak to się określa terminem muzycznym: *attacca*. L. Możdżer pisze, m.in.: „nie budowałem wyraźnych tematów, posługiwałem się krótkimi motywami”, zauważmy, że tak właśnie komponował Debussy. Z punktu widzenia słuchacza, takie założenie powoduje trudność w odbiorze muzyki, szczególnie gdy tych „krótkich motywów” jest wiele, co powoduje, że w zasadzie zanika melodia. Jednak cały utwór został przyjęty przez publiczność bardzo gorącymi oklaskami i owacją na stojąco, która skłoniła artystów do wykonania bisu.

Co zagrano na bis? Po koncercie sprzeczaliśmy się o to gorąco, bo jedni słyszeli jakby powtórzenie któregoś z fragmentu *Balticetty*, a drudzy zupełnie inny utwór. Tego dylematu nie udało się rozstrzygnąć Ewie Palińskiej z internetowego portalu Trójmiasto, która zapytała o to zaraz po koncercie jedną ze skrzypaczek orkiestry. Ta odpowiedziała jej, że przygotowywali ten utwór na ewentualny bis, ale jak się nazywa, nie potrafiła powiedzieć. Nam, na prowincji, szybko udało się uzyskać odpowiedź, i to od samego kompozytora, dzięki Małgosi Sarnowskiej wielkiej fance Leszka Możdżera: - „To 9 utwór z płyty: *Możdżer – Danielsson – Fresco* z Atom String Quartet, nagrany w Filharmonii Berlińskiej.” Sprawdziliśmy. Utwór ten nazywa się dość osobliwie: „Hunchback Porn Angel”. Moim zdaniem, wykonany z dużą orkiestrą symfoniczną Filharmonii Bałtyckiej zabrzmiał lepiej, niż wersja z Atom String Quartet, którą wysłuchałem na YouTube. Powiem więc, ten bis spodobał mi się bardziej niż prapremierowa *Balticetta*.

KARMANIOLA, ALE CZY MONIUSZKI?

Gdańsk Teatrze Wybrzeże, niedziela 23 lutego 2020 r.

Do obejrzenia operetki Stanisława Moniuszki pt. *Karmaniola czyli od Sasa do Lasa* skłoniła mnie nieprzemierzalna chęć zobaczenia tego dzieła w wersji zupełnie odbiegającej od oryginału. Wersję oryginalną pt. *Karmaniol czyli Francuzi lubią żartować* widziałem w maju ubiegłego roku w Operze Nova w Bydgoszczy w wykonaniu studentów z Akademii Muzycznej we Wrocławiu (zob. relacja w nr 36 „Prowincji”). Jej akcja rozgrywa się w roku 1800 podczas wojny francusko-austriackiej tuż przed bitwą pod Marengo. W oryginale *Karmaniol*, to młody kowal z włoskiego Piemontu, który chce się zaciągnąć do armii napoleońskiej. Natomiast w przeróbce pt. *Karmaniola czyli od Sasa do Lasa* akcja jest przeniesiona do Paryża i roku 1794, czyli do czasów Rewolucji Francuskiej. Tutaj „karmaniola” jest nazwą pieśni i tańca często wykonywanego w czasie egzekucji na gilotynie (wielu z nas zapewne słyszało „Karmaniolę” w wykonaniu Jacka Kaczmarskiego).

Przeróbki dzieła Moniuszki wystawione w Wilnie w 1842 r. dokonała poetka Joanna Kulmowa. Operetkę w jej wersji wystawiono w Warszawie w roku 1972 r. i do niej sięgnęli gdańscy realizatorzy z reżyserem Pawłem Aignerem na czele. Premiera odbyła się w Teatrze Wybrzeże 12 października 2019 r. Ja byłem na kolejnym przedstawieniu w niedzielę 23 lutego br. Zaraz po obejrzeniu spektaklu przeczytałem kilka recenzji na stronach internetowych. Wszystkie były pozytywne. Na przykład, Tomasz Domagała pisze tak: - *Spektakl Aignera to jedna z najlepszych propozycji klasycznych tekstów na polskich scenach. Odkrywa dla współczesności znaną, ciekawą i wartą uwagi sztukę, czci Moniuszkę (coś dla rocznicofilów), a przede wszystkim stara się, używając jej sztafażu, powiedzieć o nas i naszym świecie coś ważnego. Wszystko to robi na dodatek z humorem i ironią, z pełnym zaangażowaniem twórców oraz znakomitym rzemiosłem aktorów. Niektórzy mają kłopoty ze śpiewaniem, ale nie ma to znaczenia, jesteśmy w teatrze dramatycznym i nie o wysokie „C” tu chodzi. Słowem – sukces.* Wtórzy mu Dominik Paszliński: ...*żarty na scenie bywają rubaszne - nigdy nie osuwają się w zły gust. Jest błyskotliwie. A ponieważ to w końcu operetka, od aktorów dramatycznych wymaga też śpiewania. Radzą sobie z różnym skutkiem - ale bawią znakomicie, bo nie sztuka umieć zaśpiewać, ale zagrać, że się śpiewa - to jest coś!* W sukurs poprzednikom przychodzi Łukasz Rudziński, który w ostatnim zdaniu stwierdza, że: ...*to jedna z najlepszych komedii ostatnich lat w Teatrze Wybrzeże, choć pewnie zaproponowany przez twórców humor nie każdemu przypadnie do gustu.*

No właśnie, ja jestem jednym z tych, którym tego rodzaju humor nie bardzo odpowiada, no bo z czego każe się nam śmiać autorka przeróbki i realizatorzy? Ze śmierci na gilotynie. Operetka zaczyna się od pochwały tego narzędzia egzekucji, za pomocą której podobno, zacytujmy: Śmierć staje się godna, jak życie. Cała akcja toczy się wokół gilotyny i trudno zliczyć ile ściętych głów musi oglądać widz. Do tego dochodzą teksty arii, duetów i chórów w rodzaju: - *Aby osiągnąć wolność wyboru, trzeba gilotyn, trzeba terroru;* - *Aby dla Francji nastał dzień złoty, potrzeba terroru, potrzeba gilotyn;* - *Już lepiej za żonę weź tę dziewczynę, niżli zaślubić masz gilotynę;* - *Jestem ciotka rewolucji, sprawca wszelkiej egzekucji.*



Agata Bykowska w roli Maryni, fot. Internet

Przyznam, że oprócz tego rodzaju tekstów, od pozytywnej oceny tej realizacji zniechęciła mnie warstwa muzyczna. Jest to przecież operetka z muzyką nie byle kogo, tylko Stanisława Moniuszki. Jak potraktowano ojca opery narodowej? Dość nonszalancko. Zachowano większość muzyki oryginalnej, ale została ona mocno zmieniona i uzupełniona. Operetka zaczyna się od uwertury, której nie słyszymy, bo zagłusza ją donośny głos narratora z głośnika i rozkrzyczanych aktorów. Całe szczęście, że ta muzyka pojawia się w zakończeniu spektaklu i tam można jej posłuchać. Kierownictwo muzyczne i aranżacje to dzieło Tomasza Lewandowskiego. Nie miał on do dyspozycji dużej orkiestry, tylko sextet, zespół w składzie: fortepian, I i II skrzypce, altówka, wiolonczela oraz instrumenty dęte (klarnet, saksofon), na których grał jeden z muzyków. Ten zespół mógł się podobać. Gorzej było ze śpiewem. W oryginalnej wersji występują śpiewacy: tenor i dwa soprany i chór. W gdańskiej realizacji jako śpiewacy wystąpili aktorzy. Lepiej w tej roli wypadli mężczyźni, gorzej kobiety, a szczególnie aktorka śpiewająca Marynię. W jej ariach i duetach sporo było nieczystości, a emisja głosu wymaga, moim zdaniem, dużo, dużo ćwiczeń.

W sumie muszę powiedzieć, że gdański spektakl nie zachwyił mnie ani od strony tekstowo-dramatycznej, ani wokalne. Daleko mu do oryginału. Nie dziwię się zatem, że znakomity znawca twórczości S. Moniuszki, dr Grzegorz Zieziula z Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk, nazywa przeróbkę Joanny Kulmowej – fałszywką, a ja jestem przekonany, że Stanisław Moniuszko nie zaakceptowałby tego widowiska.



Michał Majewski

RODOWO

WIOSKA SZTUK I CUDÓW





A gdyby tak w wiosce zrobić „Pole Sztuk” i wszędzie, gdzie nie spojrzeć, poustawić dzieła artystów? Wszędzie, gdzie tylko się da, nawet na szkolnym boisku, gdzie dzieci miałyby kontakt z prawdziwą, znakomicie wtopioną w wiejski pejzaż sztuką, kształtującą ich estetyczną wrażliwość i gusta od najmłodszych lat?

Gdzie spotkany na chodniku dorosły powiedziałby, że jest poetą i że jest dumny z tego, że mieszka w takim miejscu, tak bardzo wyjątkowym, że aż uzyskało miano „Wioski Cudów”?

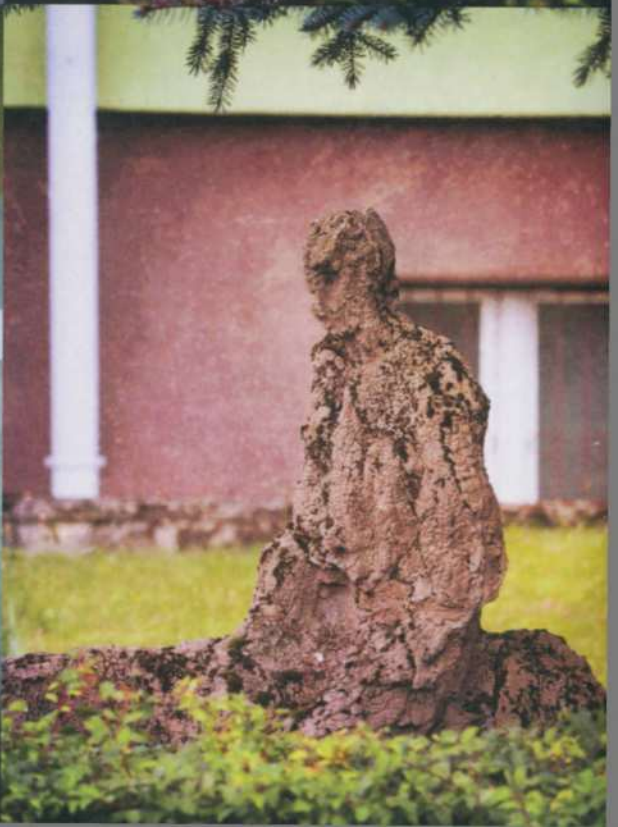
To wcale nie jest jakaś bajka.

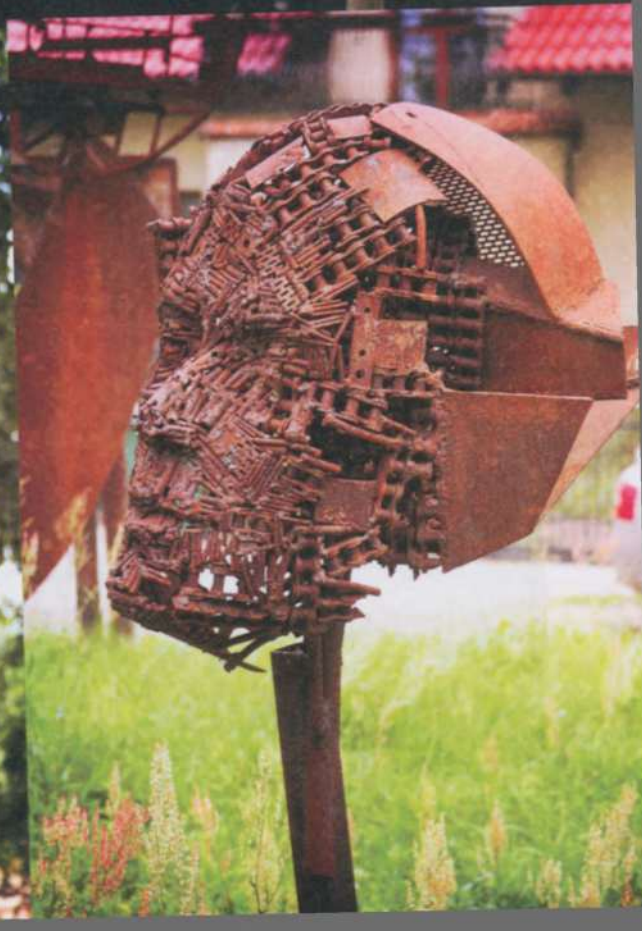
Przekonaliśmy się o tym, jadąc na Mazury – tym razem całkiem inną drogą – przez Sztum, Prabuty oraz Iławę. I przez Antonin przed Prabutami, gdzie trzeba bardzo uważać, żeby nie przeoczyć strzałki w lewo, z napisem „Rodowo 3”. W Rodowie od lat odbywa się Międzynarodowy Plener Malarsko-Rzeźbiarski pod nazwą „Pole Sztuk”, o którym wiele razy słyszeliśmy, a teraz też z bliska zobaczyliśmy, namacalnie, biegając po całej wsi zaurzeczni, od czasu do czasu wołając:

„Chwała twórcom, chwała organizatorom!”.









Michał Laskowski

MARTYNY BARANOWICZ „WŁAMANIE SIĘ DO STRUKTURY WIDZIALNEGO”

„Polityczność” i „widzialne” w przekonaniu Jacques’a Renciere’a, to ciągle przesuwanie granic pomiędzy tymi, którzy mają udział we władzy kreowania otoczenia, a tymi którzy są wykluczeni. Martyna Baranowicz, jak przystało na malarzkę, skupia się na aspekcie władzy dzielenia postrzegalnego. Obraz w tym wydaniu jest manifestacją: nie tylko świadomością egzystencji w Lacanowskim „porządku symbolicznym”, lecz także próbą przeredagowania tego porządku. Martyna zręcznie rozkodowuje otaczającą rzeczywistość, dzieli ją i dokonuje na niej śmiałych subwersji. Przykładem są obrazy takie jak „Dzieciok”, w którym portret małej dziewczynki uległ transferowi w twarz diabełka, czy „Sytuacja w parku”, gdzie naga kobieta w przestrzeni miejskiej zbliża ziemię do genitaliów. Wielokrotne wyeksponowanie na siebie samą w obrazach artystki, sposób, w jaki to robi, nie ma charakteru oderwania od społeczeństwa czy surrealizmu, przeciwnie – jej próby modelowania relacji skuteczniają przedstawiane postawy, mają swą symboliczną realność.

Tak samo można odebrać tytuł jednej z indywidualnych wystaw artystki zaczerpnięty z Alicji w Krainie Czarów: „Mogłabym powiedzieć kim byłam dziś rano, ale od tego czasu





zdażyłam się zmienić wiele razy”. Ta postawa nie ma cech utraty przytomności czy społecznego gruntu pod nogami. W przypadku twórczości Baranowicz zawiera w sobie pewność podmiotu na zmianę, przesuwanie granic w celu głębszego poszukiwania znaczeń. Mierząc się z problemami patriarchy i własnej płci odnajduje na płótnie przestrzenie, w których mieszczą się jej własne gesty, poza werbalne i poza racjonalne, takie, które pozwoliłyby jej na włamanie się do struktury widzialnego.

Martyna Baranowicz, rocznik 1992. W 2011 r. rozpoczęła studia na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, na wydziale malarstwa. W 2017 r. otrzymała tytuł magistry sztuki w pracowni prof. Piotra Józefowicza. Prezentowała prace na wielu wystawach zbiorowych (m.in. w Gdańskiej Galerii Miejskiej, BWA w Nowym Sączu, Galerii Sztuki Wozownia, CKE Starej Rzeźni w Szczecinie) oraz indywidualnych (m.in. w Kolonii Artystów w Gdańsku). Miała okazję także pokazywać swoją twórczość w zagranicznych galeriach sztuki, m.in. w Berlinie, Mediolanie i Wilnie. Finalistka konkursów ogólnopolskich, Gdańskiego Biennale Sztuki w 2018 r., oraz Triennale Małych Form Malarskich w Toruniu w 2019 r. Nominowana do 13. Konkursu Gepperta we Wrocławiu w 2020 r. Jej twórczość opiera się przede wszystkim na malarstwie i fotografii. Pochodzi z Barcic w gminie Ryjewo.

Okiem fotosnajpera

Piotr Opacian

Żurawie





Do wschodu słońca pozostało jeszcze około półtorej godziny, ale pola, przez które się przekradam, wyglądają prawie jak za dnia – oświetlone silnym światłem księżyca w pełni. Długi cień mojej sylwetki maszeruje w odległości gdzieś sto, może i dwieście metrów po zboczu silnie pofalowanego terenu. Ciemny, na tle białego szronu pokrywającego wszystko dookoła, może zdradzić moją obecność tak samo jak i skrzywienie gruntu pod moimi butami. Na szczęście od niewielkiej dolinki, w której nocuje około sto do dwustu żurawi, oddziela mnie pas gęstych zakrzaceń. Znam je bardzo dobrze i cieszę się, że zamaskują moje zbliżanie się. W zakrzaczeniach panuje półmrok. Kiedy dochodzę do ich skraju zakładam na siebie strój maskujący – Ghillie Desert, najlepszy na suche marcowe trawy i kładę się na zmarzniętą ziemię.

Mam dużo czasu. Do wschodu słońca i zachodu księżyca po przeciwnej stronie nieba pozostaje około godziny. Taka konfiguracja zdarza się rzadko. Delikatne światło wschodzącego słońca oświetli dolinkę, w której nocują żurawie. Duża tarcza zachodzącego księżyca w pełni, będzie w idealnym miejscu, by stworzyć tło dla budzących się ze snu żurawi. Światło słoneczne będzie jeszcze na tyle słabe, by nie przyćmić światła księżyca, ale równocześnie na tyle silne, by oświetlić dolinkę z żurawiami. Idealny balans światła. To co mi jeszcze pozostało to podczołgać się do lekkiego podwyższenia dna dolinki, z której będę miał najlepszy widok na żurawie. W południe poprzedzającego dnia wyciąłem tam wysokie, suche badyle traw, by mieć czysty kadr. Teraz leżę na ziemi w temperaturze około -5° i co kilka minut pokonuję na brzuchu kilka metrów.

Docieram do podwyższenia kiedy żurawie zaczynają się budzić. Dolinkę zaczyna wypełniać donośny klangor dochodzący do mnie z odległości 20-30 metrów i jednocześnie emitowany przez kilkadziesiąt gardel. Tego nie da się opisać ani sfotografować, ani sfilmować. Nawet przestaję odczuwać doskwierające mi od momentu położenia się na brzuchu zimno.

Żurawie przylatują do nas wczesną wiosną, w marcu i obwieszczają to donośnym głosem trąbki, zwanym klangorem, niosącym się echem po całym powiecie kwidzyńskim. Zaraz po przylocie ptaki zaczynają przepiękne tańce godowe. Po zakończeniu zalotów para buduje gniazdo w trudno dostępnym, bagnistym terenie i samica składa najczęściej dwa jaja. Po około miesiącu wykluwa się pierwsze pisklą, a po kilku dniach następne. Ptaki wysiadują jaja na zmianę. Pisklaki opuszczają gniazdo już po kilku dniach po wykłuciu i udają się na coraz dłuższe "wycieczki po okolicy". Troskliwa opieka trwa do jesieni, kiedy rodzice z potomstwem odlatują do ciepłych krajów. Zbierają się setkami tak jak bociany na sejmikach przed odlotem i poźegnalny klangor niesie się echem po okolicy.

Obserwowane przeze mnie żurawie nie utworzyły jeszcze pary lub jej w tym roku nie utworzą. Najczęściej są to młode osobniki, które nie osiągnęły jeszcze dojrzałości płciowej – młode podlotki poniżej 4-6 roku życia. Nie budują gniazd i wiodą życie hulaszcze, bez rodzinnych obowiązków. Spotykają się co noc na noclegowisku. To zapewnia im bezpieczniejsze przetrwanie nocy, bo setka par uszu i oczu to nie to co jedna czy dwie.

Żurawie powoli rozpoczynają swój kolejny dzień. Nie reagują na moją zastygłą w bezruchu sylwetkę wtopioną w otaczające trawy. Tylko od czasu do czasu kiedy migawka aparatu trzaśnie w mroźnym powietrzu w wyraźnym dysonansie do otaczającego ją klangoru, naj-





blizsze mnie osobniki wpatrują się przez chwilę z uwagą w miejsce, z którego to fałszywe brzmienie do nich dotarło. Czują jakbym krzyżował z nimi wzrok, ale nic więcej się dzieje. Wracają do swoich porannych zwyczajów.

Niektóre powoli odchodzą na przylegające do dolinki pola, rozpoczynając swoje rutynowe spacerowanie w poszukiwaniu pokarmu, inne odlatują w eskadrach po kilka, kilkanaście osobników na odleglejsze, wcześniej wypaczone żerowiska. Na noclegowisku pozostaje coraz mniej żurawi. Tarcza księżycy schowała się już pod linią horyzontu. Słońce jest już na tyle wysoko, że pryska czar bajecznego światła, ale też zmarznięte ciało zaczyna odczuwać jego zbawcze ciepło. Kładę głowę na ramieniu i jeszcze raz przeżywam tę unikalną godzinę, w której światło słoneczne zrównoważyło się ze światłem księżycy, a żurawie zaprezentowały światu swój koncert na dziesiątki głosów.

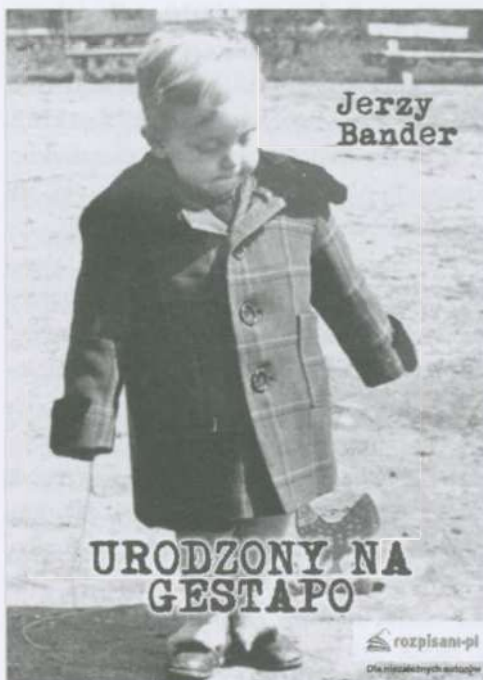
Dopiero kiedy scena opustoszała i nie pozostał na niej już żaden śpiewak, ostrożnie podnoszę swoje zziębnięte członki i wycofuję się w stronę zakrzaczeń. Tam ściagam swój maskat i wychodzę po drugiej stronie na pola demaskując swoją obecność, która jednak nie będzie utożsamiana z dziwnymi trzaskami o świcie, które zaniepokoiły niektóre z żurawi.

Andrzej Kasperek

ŚWIADECTWO URODZENIA

„Świadek urodzenia” – to tytuł filmu Stanisława Różewicza z roku 1961. Trzy nowele o tematyce wojennej – ostania opowiada o żydowskiej dziewczynce ukrywanej w sierocińcu. Wspominam o tym dziś już zapomnianym filmie, bo losy Jerzego Bandera to także gotowy materiał na scenariusz. Urodzony 24 sierpnia 1942 r. w więzieniu Gestapo w Samborze koło Lwowa był ukrywany w sierocińcu prowadzonym przez zakonnicę. Historię tego dziecka Holokaustu opowiedziałem czytelnikom „Prowincji” w 2014 r. (nr 1) w artykule „Jerzy Bander – żywot urlopowanego nieboszczyka”. Pisałem wówczas o jego zadziwiających kolejach losu – od cudownego ocalenia, przez życie w całkowitej nieświadomości, że jego prawdziwa matka zginęła zaraz po jego urodzeniu aż do poznania prawdy o swym żydowskim pochodzeniu. Miał wtedy 45 lat i jego życie zmieniło się zupełnie. Wspominał: „...to wszystko zaczęło się jesienią 1987 roku. Wtedy moje życie pękło na pół, nic do siebie nie pasowało i na wszystko było już dla mnie za późno”.

Sześć lat temu, w styczniu 2014 r., zaprosiłem go na lekcję z okazji Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu do nowodworskiego ogólniaka. Opowiadał o swym losie ocalonego Żyda. Pokazywał zdjęcia zamordowanych członków rodziny, czytał wiersz „Maryla” poświęcony „pamięci o siostrze [...] stryjenki z Tarnowa, której tatuś romantyk dał na imię Maryla”. Popęłniła samobójstwo - skoczyła z okna w czasie akcji wyłapywania tarnowskich Żydów...



Kiedy patrzyłem wówczas na Niego, pochylonego, smutnego, melancholijnego, człowieka, który z trudem powstrzymuje płacz, pomyślałem, że cena prawdy była bardzo wygórowana. Przypomniał mi się Edyp, który poznał prawdę o swym pochodzeniu i przeznaczeniu i nie udźwignął jej. Nigdy już nie powtórzyłem takiego zaproszenia. Umówiłem się z panem Jurkiem na rozmowę, ale nie dotarłem do Sztutowa, gdzie obecnie mieszka. Bo musiałbym zadać pytania bardzo trudne, o to, jak owa prawda przełamała Jego życie, jak je zburzyła, jak zgruchotała Jego psychikę. Nie miałem odwagi o to pytać, bo kto mi dał prawo do stawiania takich pytań, do rozdrapywania czyichś ran.

W czasie spotkania w LO pan Jurek podarował mi swe książki: „My ocaleni i inne opowiadania” (w „Prowincji” 2013/2 drukowaliśmy dwa opowiadania z tego tomu) i „Kadisj jatom i inne wiersze” (obie z 2011 r.). Pod koniec 2019 r. ukazała się nowa książka J. Bandera – „Urodzony na gestapo”. Jest to wybór ze wspomnianych książek i kilka nowych tekstów. Na okładce widzimy małego chłopca w eleganckim zimowym płaszczku, trochę za dużym, ale wtedy zamawiało się u krawca taki, na wyrost, bo miał starczyć na kilka zim. Chłopczyk ma zaciśnięte usta, niepewnie patrzy na ziemię, jakby dopiero uczył się chodzić. Ma jasne włoski i wcale nie wygląda na żydowskie dziecko. W opowiadaniu „La Cumparsita” znajdujemy taki fragment: „Ja także w młodości nie wyglądałem jak Żyd, a teraz, kiedy pytam żony, jak wyglądam, ona odpowiada: *Jak Czech*. Pytam więc, jaki Czech. Na co wyjaśnia: *Nie jak Czech, durniu, tylko jak trzech Żydów w kupie, tak wyglądasz*. Człapię do lustra, no faktycznie coś się stało z moją twarzą. Dobrze, że od wojny minęło sporo czasu, bo z takim wyglądem, byłbym pewnym kandydatem do gazu”. Genów nie oszuka się i pewnie prędzej czy później prawda o pochodzeniu i prawdziwej matce, która powiła go na barłogu gestapowskiej katowni wyszłaby na jaw. „Bo nieświadomiony strach dziecka trwale okalecza jego psychikę, pozostawia ślad na całym późniejszym życiu” – czytamy w opowiadaniu „Wojna”, które jest zapisem kilkuletniej emigracji do Izraela. Trafił tam w czasie tzw. II wojny libańskiej i żył pod ostrzałem – Hezbollah wystrzelił kilka tysięcy rakiet na teren, który zamieszkiwał z żoną. Nie mógł tak żyć, wrócił do Polski. Dziś mówi o sobie, że jest obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej i Państwa Izrael.

Współczesna nauka zna pojęcia: post trauma i pamięć komórkowa. Człowiek pamięta rzeczy, zapachy, smaki, których nie powinien znać. Pamięta strach przodków, znowu doświadcza ich lęków... Dzieje się tak na przykład z dziećmi (a nawet wnukami) ocalonych z Zagłady. Można sobie tylko wyobrazić, jak owe lęki i koszmary przetrwały w człowieku, którego matka spędziła cały okres ciąży w getcie i więzieniu, w ciągłej obawie o życie swoje i swego nienarodzonego dziecka. A późniejszy czas ukrywania niemowlaka, uciszania jego płaczu w obawie przed zdemaskowaniem i denuncjacją, czas ukrywania w zakonnym sierocińcu, gdzieienne racje żywności były głodowe i mały Jureczek ciężko chorował. „...wskutek tego jestem przygluchy i wariat. [...] zaliczyłem w czasie ostatnich dwudziestu pięciu lat osiem pobytów w najlepszych uniwersyteckich klinikach psychiatrycznych, których utytułowany personel [...] za każdym razem, gdy od nich wychodziłem po udanej kuracji [był pewny], że i tak do nich niedługo wrócę”. Ten cytat pochodzi z opowiadania „My, ocaleni”, ale w obecnym wydaniu go nie ma – autor je skrócił. Według mnie niepotrzebnie. Przeczytamy tam znamienne słowa: „OSMALENI. Tacy właśnie jesteśmy. Zbyt blisko i zbyt długo, my lub nasi rodzice, przebywaliśmy blisko ognia krematoryjnych pieców, płonących stosów trupów, synagog i budynków gett, zbyt długo by móc żyć dalej tak jak inni ludzie. Do końca naszych dni będziemy rozpamiętywać śmierć naszych bliskich. Ich dusze jak w dramacie *Dybuk* opanowały nasze wnętrza, zadomowiły się w nas. Nie możemy mieć o to pretensji, w końcu każdy szuka sobie jakiegoś miejsca, azylu, nawet dusze zmarłych nie są tu wyjątkiem”.

Ta książka jest próbą autoterapii. Jest napisana z ogromnym wysiłkiem, bo każde

zdanie boli. Ale wiersze i opowiadania oraz artykuły w niej zawarte pomagają autorowi poradzić sobie „z bólem po stracie rodziny, której nie zdążył poznać. Bo czy można komuś opowiedzieć, co znaczy ból po stracie matki, której się nigdy nie widziało? Albo po półtora miliona żydowskich dzieci zamordowanych przez Niemców w czasie zagłady. Tego się nie da opowiedzieć, bo słowa więzną w gardle. Ale można spróbować to opisać. [...] [To książka] o człowieku, który wiele lat poświęcił na szukanie prawdy o swojej tożsamości, o tym, jak ocalał oraz jak zginęła jego matka i większość rodziny”.

W ciągu ostatnich lat mamy zalew książek o Auschwitz: „Tatuażysta z Auchwitz”, „Kołysanka z Auchwitz”, „Anioł z Auchwitz”, „Bibliotekarka z Auchwitz”, „Położna z Auchwitz”... To kilka tytułów z tej upiornej wyliczanki. Prawie wszystkie te książki to literatura brukowa, jak kiedyś takie wypociny nazywano. Sprawnie napisane

wyciskacze łez, tandetne romanse żerujące na największej tragedii w dziejach. Szkoła na nie czasu. Książka Bandera nie jest pewnie tak efektowna, nie czyta się jej tak szybko, jak wymienionych, ale jest do bólu uczciwa. Polecam, choć to nie jest przyjemna lektura. Może jednak w czasie zarazy warto pomyśleć o takich sprawach na serio. Kończę jego wierszem „Ojciec nasz”:

Ojciec nasz – Ty patrzyłeś gdyśmy umierali
Przyjdź - i odpowiedz, czy tak być musiało?
Bądź wola Twoja – skoro nas skazałeś
Chleba naszego – głodni wołaliśmy
daremnie
I odpuść nam – winy, których nie
popelniliśmy
I nie wybaczej – tym co mordowali
I nie wódź nas – drogami śmierci
Ale nas zbaw – od naszych licznych
nieprzyjaciół
Amen!

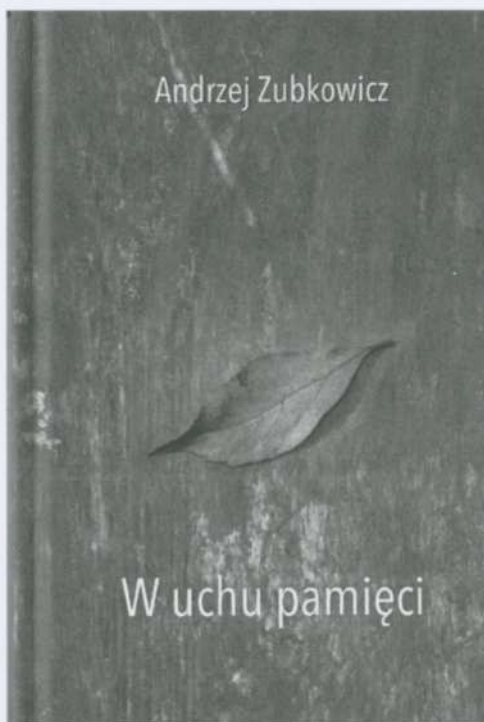
Janusz Ryszkowski

LEKTURY NA CZAS EPIDEMII

Jako blisko czterdziestolatek **Andrzej Zubkowicz** zadebiutował równie dojrzałym tomikiem „Guziki zgubione w rozmowie” (Oficyna Wydawnicza Retman, Dąbrówno 2008). Bardzo spodobały się te wiersze wybitnemu poecie Erwinowi Krukowi, który pochwałami gospodarował nader oszczędnie. Mimo obiecującego startu dopiero po jedenastu kolejnych latach ukazała się w tej samej oficynie jego druga książka „**W uchu pamięci**”.

Trochę nieskromnie przypomnę, co pisałem o debiucie na łamach elbląskiego kwartalnika „Tygiel”.

„[Zubkowicz] nazywa siebie „poetą prowincji”, ale bardziej chyba pasuje tu określenie: piewca „małych ojczyzn”. Wiersze te bowiem wpisują się w ten właśnie paradygmat. Coraz to trudniejsze zadanie, literacko ryzykowne, bo przez kilkanaście ostatnich lat temat ten obrósł już dość okazałą li-



teraturą (choćby krąg poetów związanych z olsztyńską „Borussią”).

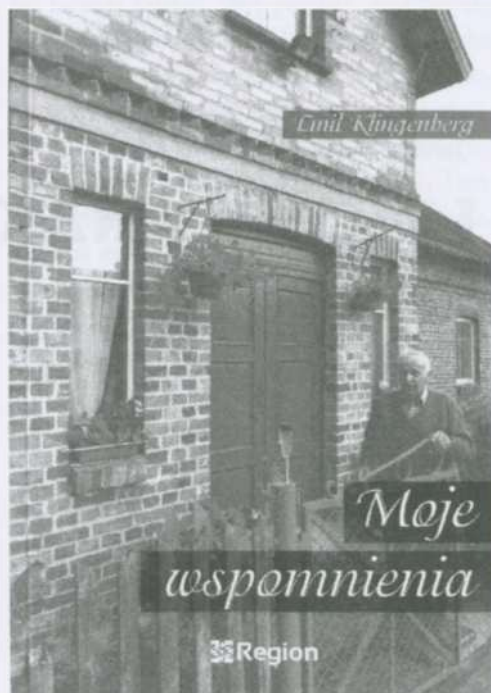
Czy można jeszcze dodać coś nowego? Autor „Guzików...” zastosował odmienną niż do tej pory perspektywę. Bohater jego wierszy nie został przez Historię strącony na Warmię i Mazury, nie musi tej przestrzeni dramatycznie oswajać, nie czuje się w niej sublokatozem, bo ma z nią trwale więzi, dzięki zakorzenieniu przodków. „Moi święci niemieccy krewni/ z warmińskiej wioseczki/ nosili umlauty w nazwisku” - czytamy w wierszu „Kieszeń”.

Czy coś po latach zmieniło się w poezji lirnika z Węgorzewa? Zubkowicz pozostał wierny swojej prowincji (także tej wewnętrznej), to jej puls ciągle przenika tkankę większości wierszy. Przypomina flâneura, który niespiesznym krokiem przemierza swoje miasteczko, bez jasno sprecyzowanego celu. Podczas spaceru są spotkania, jakieś zasłyszane historie, odkry-

wane na nowo zaufki, klimaty... Opisuje je potem tak, jakby oddychał. Naturalnie, bez sięgania po modne instrumentarium, może i efektowne, ale zniekształcające prawdziwy głos. Nie znaczy to jednak, że dochodzenie do tego jest proste. W „A z pisaniem wierszy to jest tak” wyzna: „*przebiegam wybieram/ przycinam wycinam/ sklejam i znowu i jeszcze słowa zdania pauzy/ zestawienia niewygodne/ by zabrzmiały jak/ samo życie (...)*”

I taka jest ta poezja. Naturalna, jak życie.

Pozostaniemy w kręgu „małych ojczyzn”. Emil Klingenberg w swoje 80 urodziny wydał „**Moje wspomnienia**” (Gdynia-Sztumska Wieś 2019). Opowiadać ma naprawdę o czym, bo jego rodzina trwa od 350 lat na tym samym gospodarstwie w Sztumskiej Wsi, a przybyła tu ze Szwecji. 120-stronicowa książeczka składa się z około trzydziestu rozdziałików traktujących o rodzinie, gospodarstwie, historii okolicz-

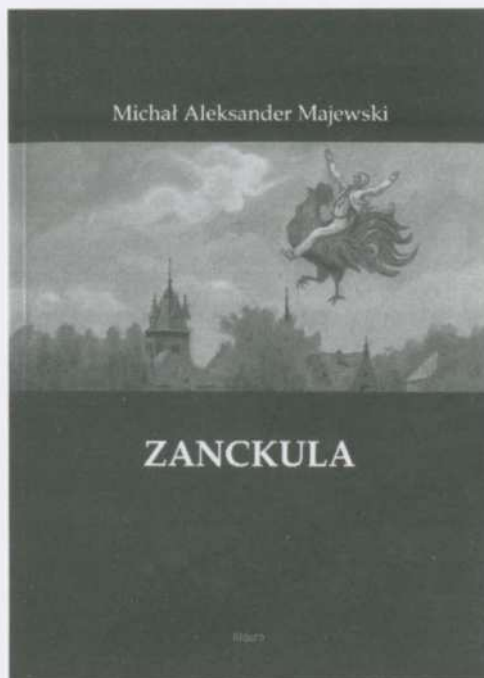


nych miejsc i ludziach. Klingenberg jako uważny obserwator rejestruje zmiany, jakie na przestrzeni lat następowały w lokalnej społeczności. Od procesu integracji ludności po wojnie (wielką rolę, jak podkreśla, odegrał w niej Kościół katolicki), po smutną dzisiejszą konstatację: „bieda jednoczy, bogactwo dzieli”. Kiedy w latach 70. zwrócił się do posiadaczy samochodów we wsi z propozycją, by przywozili proboszcza ze Sztumu, który auta nie miał, na niedzielną mszę do ich kościoła filialnego, swoją gotowość zadeklarowało 60 proc. z nich. „Niestety, odmawiali najczęściej ludzie młodzi. Ich rodzice potrafili wozem konnym jechać do Sztumu te 4 kilometry, aby przywieźć i później odwiedzić księdza”.

W tytule pan Emil eksponuje, że są to jego wspomnienia. Ma na myśli to, że zostały napisane przez niego, bez udziału autorów widmo. Może wypadło skromniej, niż jego barwne opowiadania, których słuchałem wielokrotnie, ale książka bardzo porusza autentyzmem, empatią i szczerością. Jest taka, jak autor.

Michał Aleksander Majewski jako prozaik pierwsze kroki stawiał na łamach „Provincji” i zadomowił się tu na stałe także jako fotografik. Pod koniec ubiegłego roku w ramach Stypendium Prezydenta Miasta Starogard Gdański wydał (self publishing) tomik opowiadań pod nader intrygującym tytułem **„Zanckula”** (Ridero 2019). To druga jego książka, po dobrze przyjętej powieści **„Jadzia”** (2015), potwierdzająca zarazem duży dar narracyjny autora.

„Zanckula ma teraz już kształt tylko jednego półdupka. Szkoda. Kiedyś, jak mówią dorośli, była cała. To znaczy wyglądała jak normalna góra, czy też górka, albo pagórek”. To brawurowe pierwsze zdanie opowiadania (zostańmy przy określeniu



Majewskiego, bo gatunkowo nie jest to precyzyjne) wyjaśnia, skąd wziął się tytuł. Nie trzeba być uważnym czytelnikiem, by dostrzec, że odwołań do „Zanckuli” jest w tej prozie jeszcze kilka. I nie chodzi o górę...

Narrator sięga pamięcią do czasu i przestrzeni swojego dzieciństwa: pokoju, podwórka, ulicy. Przewijają się najbliżsi - Mamusia, Doktor Tatuś, braciszek Adaś, dziadkowie, koledzy i koleżanki, sąsiedzi... Wskrzeszane są zabawy bliskie zwłaszcza pokoleniu dzisiejszych sześćdziesięcio- i pięćdziesięciolatków, wywołujące uśmiech i często wzruszenie. W epilogu tomiku - „Romek - pięćdziesiąt lat później” to arka-dyjskie dzieciństwo nagle rozpada się, zmienia się przez to także nasza optyka widzenia całości.

„Aktorstwo. Z dziennika Witolda Sulkowskiego” (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Olsztynie, 2019) **Zbigniewa Chojnowskiego** to z kolei napisana w formie dziennika powieść o dojrzewaniu.

Zbigniew Chojnowski

AKTORSTWO.
Z DIENNIKA
WIKTORA
SULKOWSKIEGO

Autor jest uznanym poetą, eseistą, krytykiem literackim, historykiem literatury, profesorem wykładającym w Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie o bogatym dorobku książkowym. Teraz wzbogacił go o pozycję prozatorką.

Dziennikopowieść zaczyna się od zapisów z listopada 1977, kiedy narrator był w drugiej klasie licealnej. Ostatni zaś pochodzi z 29 czerwca 1980 roku tuż przed jego egzaminem na polonistykę. „Wiktor Sulkowski, zanim zniknął, oddał mi różnoformatowe kajety i notesy z zapiskami (...). Postanowiłem je ocalić. Zapisany czas otrzymał szansę powrotu” - czytamy w prologu. Jest też krótka charakterystyka diarysty: „marnował szansę”, „odczuwał niedopasowanie do miejsc, w których przebywał, i ludzi (...)”, „odmieniec”, który kochał sport i poezję. Z prologu dowiadujemy się także rzeczy już spoza ram czasowych dziennika, że Sulkowski, będąc na studiach, odrzucił propozycję teścia, by pokierować

milicyjną izbą dziecka, a w czasie karnawału Solidarności biegał po mieście, rozwieszając plakaty nawołujące do rozwiązania MO. To ma stanowić kontrapunkt dla emanującego z zapisów sprywatyzowania świata. Kilka przykładów: „Wydarzyło się coś bardzo ważnego. Spotkałem się osobiście z aktorem naszego teatru...”, „Wielkie dzieła powstają w samotności”, „Czy w niedzielę wieczorem u Stasi w domu (...) zakochałem się w Beacie Romeyko?” „Siedzę na ławce w pobliżu pomnika Stefana Jaracza. Bardzo się nudzę”. „Czytam „Dzieje literatury polskiej” Juliana Krzyżanowskiego (...)” Zapisy typowe dla licealisty. Życiopisanie, mały realizm, dokument dorastania u schyłku Peerelu.

Ta historia młodego człowieka, który nie dostał się na studia aktorskie, może niespejnalnie porusza. Domyślamy się bowiem, że znalazł dla siebie inną rolę do odegrania. Umarł dla aktorstwa, narodził się dla czego innego.

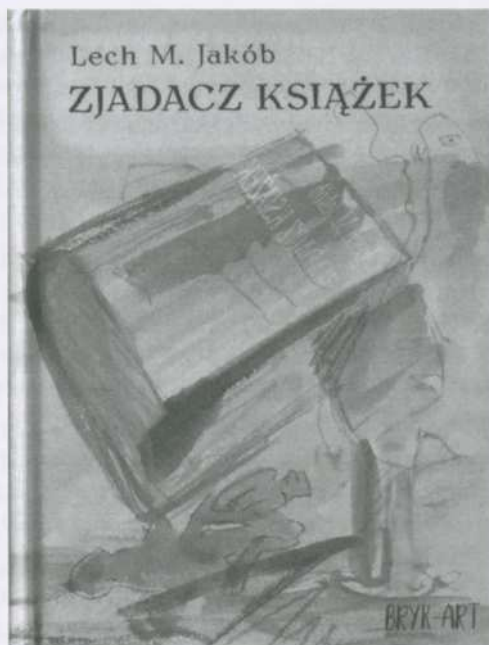
A w co gra z nami pisarz? Zbigniew Chojnowski, tak jak jego bohater, w listopadzie 1977 roku zaczął prowadzić swój dziennik licealisty... Aktorstwo ma tu zatem kolejny wymiar.

Lektura tak wydanej i napisanej książeczki jak „Zjadacz książek” Lecha M. Jakóba (Wydawnictwo Bryk-Art, Łobez 2019) po prostu sprawia radość. „Nowelę dedykuję nie tylko tym, którzy używają książek jako podstawki do patelni” - pisze przekornie autor. Proza ukazała się wcześniej w „Antologii współczesnych opowiadań” (Wydawnictwo FORMA 2008), a na użytek nowego, samodzielnego wydania została rozszerzona.

Metaforyczne określenie zjadacz, czy pożeracz książek, Jakób potraktował jako koncept dla swojej prozy. Zabieg może ryzykowny, ale efekt wyborny. Trudno np.

nie uśmiechnąć się, kiedy np. „Gargantuę i Pantagruela” Rabelaisa bohater zjadał „nie tylko w języku oryginału, ale i niezłym przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego”. Albo wizje po lekturowym obżarstwie. A tak na marginesie, pisarz prezentuje katalog dzieł, które mogły być ważne dla obecnego pokolenia 60+. Warto zasiąść do wspólnej uczty.

11 marca 2020 r.



Noty o autorach

Borys Bartfeld – ur. 1956 w Nowostrojowie, w Obwodzie Kaliningradzkim, pisarz, poeta, animator kultury. Jest przewodniczącym kaliningradzkiego oddziału Związku Pisarzy Rosyjskich, założycielem i przewodniczącym Rosyjskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Kanta, członkiem PEN-Clubu. Z wykształcenia fizyk teoretyk, absolwent Wydziału Matematyczno-Fizycznego Państwowego Uniwersytetu Kaliningradzkiego. Jest popularyzatorem twórczości E.T.A. Hoffmanna. Od wielu lat organizuje poświęcony współczesnej twórczości inspirowanej postacią królewieckiego bajkopisarza konkurs literacki.

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/1981 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/1990 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Długoletni dyrektor Liceum Medycznego Pielęgniarstwa w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Krystyna Błaszczuk-Ryszkowska – pomysłodawczyni Ogólnopolskiego Przeglądu Sztuki Więziennej w Sztumie i organizatorka pierwszych edycji tego konkursu. Współredaktorka antologii literatury więziennej „Okno Judasza” (Sztum 2006). Pracuje w Bibliotece Sztumskiego Centrum Kultury.

Krzysztof Bochus – ur. w Kwidzynie, absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował m.in. w „Nowej Wsi” i koncernie prasowym „Burda”, w latach 1998-2000 redaktor naczelny miesięcznika „Sukces”. Jego teksty ukazywały się m.in. w takich tytułach jak Przegląd Tygodniowy, Wprost, Focus. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autor popularnych kryminałów, *Czarny manuskrypt* (2017), *Martwy błękit* (2017), *Szkarłatna głębia* (2018), *Lista Lucyfera* (2019), *Miasto duchów* (2019) oraz *Boski znak* (2020).

Krzysztof Czyżewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztora i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawanej przez miasto Gdańsk.

Nina Jurewicz – ur. w 2001 r. w Gdańsku. Tegoroczna maturzystka I LO w Malborku. Interesuje się muzyką oraz fotografią. Swoje teksty publikuje w serwisie Instagram (@jurewicz_nina). Mieszka w Sztumskim Polu.

Adam Kamiński – ur. 1965 w Kwidzynie. Miłośnik gier mało popularnych – bocce, boules, cornhole. Lubi wędkarstwo, grzybobranie. Od urodzenia lokalny kwidzyński patriota. Miłośnik, laureat i finalistą wielu telewizyjnych teleturniejów – Jeden z dziesięciu, Va banque, Najstabsze ogniwo. Dziennikarz i pasjonat kryminałów. Pracuje w Bibliotece Miejsko-Powiatowej w Kwidzynie.

Andrzej Kasperek – ur. w 1958 w Stegnie. Od ćwierć wieku nauczyciel w nowodworskim liceum. Autor tomu *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010), który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie opublikował książkę poświęconą inspiracjom malarzkim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie*. W 2013 roku jako pierwszy tom „Biblioteki Prowincji” ukazała się *Koronczarka*. Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Adam Langowski – ur. w 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu. Mieszka w Sztumie.

Andrzej C. Leszczyński – nauczyciel akademicki filozofii, eseista. Autor wielu publikacji z zakresu antropologii filozoficznej, estetyki i etyki. Ostatnio wydał: *Ojciec człowieka Szkice afiniczne* (2012), *Owoc tamtego grzechu* (2013), *Najgłębsze, spokojne morskie dno. Próby antropologiczne* (2014). Prowadzi warsztaty ekspresji i komunikacji. Mieszka w Gdańsku.

Alicja Łukawska – absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy i pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka pism lokalnych. Pracowała m.in. w prasie bydgoskiej, gdańskiej, malborskiej i tczewskiej. Od kilkunastu lat stała współpracownikiem miesięcznika „Czwarty Wymiar”. Autorka książki *Duchy kresów wschodnich. Zjawiska paranormalne na dawnej Łotwie, Litwie, Białorusi i Ukrainie*, która ukaże się w tym roku. Mieszka w Malborku.

Piotr Napiwodzki – ur. w 1972 w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006-2010 rektor Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. Wydał *Blżej niż się wydaje. O końcu świata, millenaryzmie i chrześcijańskiej nadziei* (2010). Od 2010 mieszka w Koścince koło Sztumu.

Grażyna Nawrońska – ur. w Chodzieży. Absolwentka archeologii UAM w Poznaniu i Studium Podyplomowego Muzealnictwa na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1980 do 2010 roku badania archeologiczne na Starym Mieście w Elblągu. Od 2010 roku pracowała w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Autorka kilkudziesięciu publikacji naukowych w Polsce i Belgii, Irlandii, Szwajcarii, Niemczech. W 2010 roku obrona doktoratu na Uniwersytecie we Wrocławiu. Mieszka w Elblągu.

Izabella Nierojewska-Driemel – absolwentka I LO w Gdańsku, studiowała na wydziale architektury Politechniki Gdańskiej. Pracowała w Spółdzielni Artystów Plastyków w Gdańsku, gdzie urządziła wystawy dzieł sztuki, nawiązując kontakty z centralami zagranicznymi (Ars Polona), by otworzyć rynki zagraniczne dla polskich artystów plastyków. Wspólnie z mężem ratowali dziedzictwo kulturowe Żulaw. W latach dziewięćdziesiątych była redaktorem naczelnym gazety Stowarzyszenia Morskiego w Gdyni „Wiatr od morza”. Interesuje się zjawiskami paranormalnymi. Kocha jazz, operę, balet, poezję, zwierzęta i ludzi. Mieszka w Sopocie i na Żuławach.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Piotr Opacian – podróżnik, kajakarz i fotograf przyrody, zainteresowany głównie Ameryką Południową, gdzie zorganizował już wiele wypraw. Za samotne przepłynięcie kajakiem Rio Madidi znajdującej się w słabo poznanej Amazonii Boliwijskiej otrzymał statuetkę Kolosa 2005 i nagrodę dziennikarzy. Podróżował również do Afryki, w góry Altaju, wyprawy syberyjskie i na Spitsbergen. Instruktor kajakarstwa i członek Rady Kolosów w kategorii Wyczyn Roku. Jedną z ostatnich podróży odbył na Syberię po rzece Oleniok, śladami Aleksandra Czekanowskiego, zesłańca po powstaniu styczniowym, podróżnika i badacza Syberii.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 r. w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806-1945* (2014).

Łukasz Rzepczyński – ur. w 1981 r. w Sztumie. Z wykształcenia politolog, muzealnik, zabytkoznawca i konserwator zabytków architektury. Absolwent: Wyższej Szkoły Zarządzania w Kwidzynie;

Instytutu Zabytkoznawstwa i Konserwatorstwa na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu (Zabytkoznawstwo i Konserwatorstwo Dziedzictwa Architektonicznego, Ochrona i Zarządzanie Kolekcją Muzealną oraz Ochrona Dóbr Kultury - specjalizacja Konserwatorstwo). Znany w Kwidzynie i powiecie popularyzator wiedzy o przeszłości i zabytkach regionu. Członek Towarzystwa Miłośników Ziemi Kwidzyńskiej, Społeczny Opiekun Zabytków, Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków oddział Toruń. Pracownik Muzeum w Kwidzynie, oddział Muzeum Zamkowego w Malborku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* oraz *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej*.

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 r. pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 r. zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzonym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

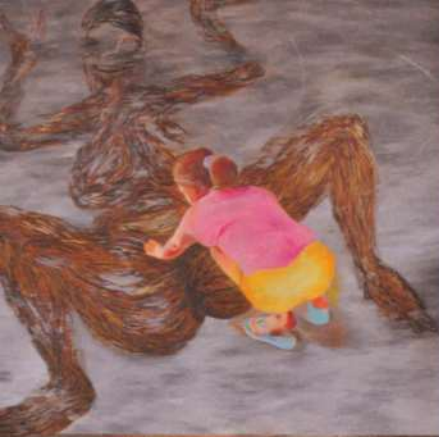
Tomasz Wandzel – absolwent socjologii na UMK w Toruniu. Pisarz mieszkający w Prabutach. Zadebiutował w 2011 roku powieścią „Dom w chmurach”. W kolejnych latach wydał kilka powieści: „Hycel”, „Grzeczna dziewczynka”, „Żółty długopis”, „Czyste zło”, „Córka zakonnika” i w tym roku „Chłopiec z Kresów”.

Bogumił Wiśniewski – ur. w Kwidzynie. Absolwent archeologii na UMK w Toruniu. Znawca i miłośnik Kwidzyna i okolic. Pracuje w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie.

Mariusz Wiśniewski – Gdańszczanin z urodzenia, Żuławiak z wyboru. Na co dzień w nowoczesnych szklanych biurkach reprezentuje w negocjacjach największe światowe korporacje w tematach związanych z nieruchomościami. Po pracy – mąż, ojciec trójki córek oraz wielki miłośnik historii i sztuki. Czas prywatny w całości poświęcił na renowację swojego XVIII-wiecznego domu podcieniowego nr 6 w Żuławkach (tzw. Danziger Kopf). Obecnie jest to jeden z najlepiej zachowanych tego typu obiektów na Żuławach. Kolekcjoner fliz holenderskich, zabytkowych mebli i obrazów. W swoim domu zorganizował swoisty dom kultury, w którym społecznie organizuje koncerty, wernisaże, projekcje filmowe, spektakle i spotkania autorskie. Pomysłodawca utworzenia na terenie Żuławek i Drewnicy żywego skansenu na Żuławach.

Stanisława Wojciechowska-Soja – absolwentka Liceum Pedagogicznego w Tczewie, Uniwersytetu Gdańskiego – filologia polska, Podyplomowego Studium Wiedzy o Filmie, Teatrze i Telewizji, Podyplomowych Studiów Dziennikarstwa. Autorka powieści *Na oszmiańskich rozstajach*, licznych reportaży prasowych w „Dzienniku Bałtyckim”. Długoletnia nauczycielka LO im. H. Sienkiewicza w Malborku, obecnie na emeryturze.

Paweł Zbiński – pochodzący z Gdańska scenarzysta i reżyser. Absolwent UJ i łódzkiej filmówki. Emigrant z Polski. Dyrektor artystyczny założonej w Paryżu firmy Fontaine Media. Wspólnie z Aleksandrą Fontaine wystawił w Teatrze w Perpignone w marcu 2018 francuskojęzyczną, kryminalną sztukę *La file a la valise* osnutą wokół wydarzeń związanych z atakiem terrorystycznym na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo”. Od lipca 2018 współzałożyciel wybudowanej w Saint Laurent de Cerdans w Katalonii Galerii „Poray”.



**Prace plastyczne
Martyny Baranowicz**



